W NUMERZE: Zanim doszło do zjednoczenia partii – dyskusja historyków ■ „Nic tu nie jest twoje" – opowiadanie nagrodzone „Rubinową Hortensją" ■ Jak tłumaczyć poezję z obcych języków? – zwierza się T. Chróścielewski ■ Co myśli o piłce nożnej Jacek Gmoch? ■ Kto traci na spóźnieniach pociągów? ■ Jakie kłopoty ma największy dom towarowy w Polsce? ■ Terroryzm ■ Kto to jest Andrew Young? ■ Recenzje ■ Felietony ■ Magazyn Kulturalny

tygodnik społeczno-kulturalny

odgłosy

Łódź 2002

NR 23 (1069) ROK XXI 4 CZERWCA 1978 R. CENA 3 ZŁ

Foto: Archiwum

TRZYDZIEŚCI LAT WCZEŚNIEJ

15 grudnia 1948 roku w auli Politechniki Warszawskiej obradował Kongres Zjednoczeniowy. Obrady trwały siedem dni. Odbywały się one w niezwykle podniosłej atmosferze. Dla wielu delegatów, tak jak i dla wielu członków PPR i PPS, otwierał się nowy okres w dziejach ruchu robotniczego, spełniały się ich oczekiwania, powstawała możliwość prowadzenia szerokiej ofensywy socjalizmu.

Kongres Zjednoczeniowy powołał do życia POLSKĄ ZJEDNOCZONĄ PARTIĘ ROBOTNICZĄ. Uchwalono Statut i Deklarację Programowo-Ideową. Wybrano Biuro Polityczne, na czele którego stanął Bolesław Bierut. Uchwalono wytyczne planu 6-letniego.

W jakich warunkach dokonało się zjednoczenie partii? Jak sprawy te widzą historycy? Zaprosiliśmy do redakcji pracowników Międzyuczelnianego Instytutu Nauk Politycznych w Uniwersytecie Łódzkim: doc. dr hab. **STEFANA WOJTKOWIAKA**, magistrów: **EDWARDA NOWAKA, EUGENIUSZA PONCZKA** i **MARKA WIKTOROWSKIEGO.** Oto zapis rozmowy odbytej w redakcji „Odgłosów".

S. WOJTKOWIAK: — Zjednoczenie polskich partii robotniczych dokonało się pod koniec procesu, jaki zachodził w ruchu robotniczym Europy wschodniej. W Rumunii partie komunistyczna i socjaldemokratyczna zjednoczyły się w lutym 1948 roku, w czerwcu tego roku zjednoczyły się partie komunistyczne i socjaldemokratyczne na Węgrzech. Trwały intensywne przygotowania do zjednoczenia w Czechosłowacji i Bułgarii.

Polski ruch robotniczy znalazł się w ogólnym nurcie, jaki panował w ruchu robotniczym krajów należących do obozu demokracji ludowej. W tamtym okresie historycznym, kiedy — jak to się wówczas mówiło — świat podzielił się na dwa obozy, ZSRR i kraje demokracji ludowej nie dysponowały takim potencjałem gospodarczym, jakim dysponował świat kapitalistyczny. Trzeba więc było jednoczyć naród wokół partii, które spełniały kierowniczą rolę w procesie budowy socjalizmu.

Zgoda na rozbicie ruchu robotniczego, na współdziałanie dwu partii robotniczych — komunistycznej i socjaldemokratycznej czy socjalistycznej jak w naszym przypadku — groziła infiltracją do ruchu robotniczego obcych idei i poglądów, stwarzała możliwość oddziaływania na ten ruch przez reakcyjne ośrodki międzynarodowego imperializmu. Takie były historyczne przesłanki zjednoczenia ruchu robotniczego.

Trzeba też pamiętać, że w polskim ruchu robotniczym istniały od dawna w miarę silne tendencje integracyjne. Ja bym je nawet widział już na przełomie XIX i XX wieku oraz później — przez cały okres XX wieku, do chwili wybuchu wojny. Warunki dla zjednoczenia ruchu robotniczego powstały dopiero w Polsce Ludowej.

Dalszy ciąg na str. 3

BYĆ POTRZEBNYM

Prestiż zawodu pisarza w Polsce jest na tyle wysoki, że bywamy często zapraszani na spotkania. Publiczność spodziewa się od nas jakichś rewelacji, czasem wystarcza jej zwykła rozmowa, ale i my dowiadujemy się wiele o naszych rozmówcach, albo o placówce, która nas zaprosiła.

Ostatnio wespół z Andrzejem Makowieckim gościliśmy w Dzielnicowym Domu Kultury na Bałutach. Pod kierownictwem Zbigniewa Ołubka placówka ta odgrywa ważną rolę w upowszechnieniu kultury w mieście. W jej polu widzenia znalazły się potrzeby dorosłych i dzieci, najbliższych mieszkańców i tych wszystkich, którzy chcą się tu wybrać z odległych nawet dzielnic, bo cały szereg imprez ma takie, ponadpartykularne, ambicje.

Jako ludzie bywali w świecie (Makowiecki, jak wiadomo, często podróżuje na inne kontynenty) rzadko bywamy zaskoczeni. Ale też rzadko bywamy świadkami takich rodzinnych uroczystości, które mamy uświetnić swoją obecnością.

Z okazji Święta Muzyki, Poezji i Plastyki Dom Kultury zaprosił swoich najbliższych współpracowników, przedstawicieli bałuckich fabryk, szkół i instytucji. Dopiero widok przepełnionej sali uprzytomnił nam jak wielu sprzymierzeńców posiada bałucka placówka, która chce znaczyć swoją obecność w życiu swej dzielnicy. Cały szereg zakładów przekazuje nieodpłatnie resztki surowców, które w pracowniach Domu Kultury stają się rękodziełami. Wystawkę takich prac moglibyśmy obejrzeć na sali widowiskowej. Zespół Szkół Budowlanych na Żubardziu korzystając z pomocy Domu prowadzi już od dłuższego czasu cykl spotkań pod nazwą „O muzyce inaczej". Jest to atrakcyjnie wyłożona historia różnych instrumentów muzycznych wraz z prezentacją najwybitniejszych miniatur napisanych na te instrumenty. A więc w dobie dyskotek młodzież szkół zawodowych ma okazję poznać reprezentatywne dzieła muzyki poważnej. Na podkreślenie zasługuje także, że świadczenia są wzajemne. Dom korzysta z pomocy różnych instytucji, ale odpłaca im się dobrą robotą.

Jest także silnie wpisany w społeczny pejzaż najbliższej okolicy. Niedawno uczestniczył, na zasadzie partnerstwa, w Tygodniu Osiedla Wielkopolska „B". Chciał w ten sposób podkreślić, że imprezy kulturalne, a jest ich w każdym miesiącu niemało, stanowią równie ważny czynnik aktywizacji mieszkańców, co czyny społeczne i inne działania na rzecz najbliższego osiedla. Przy administracji tego osiedla jest zresztą stanowisko koordynatora do spraw kultury, co dowodzi, że gospodarze tego rejonu także doceniają znaczenie kultury.

Wypiszmy z programu działania DDK Łódź-Bałuty tylko imprezy najbliższych tygodni. Działa tu klub lingwistów (oryginalne filmy obcojęzyczne), odbywają się systematyczne spotkania z lekarzem, wystawy plastyczne, prowadzi swoje zajęcia w środowisku robotniczym („Elta") dyskusyjny klub filmowy i działająca niezależnie od niego Dziecięca Akademia Filmowa Kota Filemona, muzyczna giełda gromadzi miłośników płyty. W Domu tym działa wreszcie teatr poezji „44" kierowany przez Czesława Pawłowskiego.

KONRAD FREJDLICH

NOWY ZARZĄD ŁÓDZKIEGO ODDZIAŁU ZLP

21 maja odbyło się zebranie sprawozdawczo-wyborcze łódzkiego oddziału Związku Literatów Polskich. Prezesem zarządu ponownie został wybrany **Jerzy Wawrzak.** W skład zarządu wchodzą także **Honorata Chróścielewska, Włodzimierz Krzemiński, Andrzej Makowiecki, Władysław Orłowski, Bogdan Pasternak, Jerzy Rzymowski, Ziemowit Skibiński, Jerzy Urbankiewicz. Komisja rewizyjna — Wacław Biliński, Jan Czarny, Tadeusz Giegier, Jan Huszcza, Sąd koleżeński — Karol Obidniak, Horacy Safrin, Edward Szuster.**

„RUBINOWA HORTENSJA"

Już po raz czternasty odbywał się w Piotrkowie Tryb. ogólnopolski konkurs literacki o „Rubinową Hortensję", organizowany staraniem ZW ZSMP, Wydziału Kultury i Sztuki UW, WRZZ, Łódzkiego Oddziału ZLP, Piotrkowskiego Klubu Literackiego oraz HSH „Hortensja" i redakcji „Gazety Ziemi Piotrkowskiej". W bieżącym roku napłynęło 311 prac z całego kraju. Jury, pod przewodnictwem **Jerzego Wawrzaka,** w dziale poezji najwyżej oceniło wiersze **Aleksandra Migo** z Krosna. Kolejne miejsce przyznano **Markowi Braszczyńskiemu** z Radomska oraz **Markowi Pilichowskiemu** z Torunia. Ponadto wyróżniono trzech poetów.

Spośród utworów prozatorskich, pierwszą nagrodę za opowiadanie „Nic tu nie jest twoje" zdobył **Edward Zyman** z Katowic. Drugie miejsce zajął **Alfred Siatecki** z Zielonej Góry za opowiadanie „Wielkie wykopki", trzecie zaś — **Marian Żabiński** ze Szczecina za opowiadanie „Sekretarz". Trzem prozaikom komisja konkursowa przyznała wyróżnienia.

W bieżącym numerze drukujemy wyróżnione pierwszą nagrodą opowiadanie „Nic tu nie jest twoje" Edwarda Zymana.

LISTY do REDAKCJI

ŁSM WYJAŚNIA

Z zainteresowaniem przeczytano w Łódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej artykuł Jerzego Urbankiewicza p.t. „Szczęście i łyżka dziegciu" zamieszczony na łamach „Odgłosów" 23. 04. 1978 r. Porusza on bardzo interesujące i aktualne sprawy dotyczące przekazywania mieszkań, projektowania, wykonawstwa usług oraz braku zaplecza dla zwiększenia możliwości wykonawczych osobom pragnącym realizować różne prace we własnym zakresie itp.

O ile w gruncie rzeczy artykuł nie budzi zastrzeżeń i należałoby życzyć sobie spełnienia wszystkich jego wniosków popartych przykładami zza „Kanału" o tyle wstęp do rozwinięcia tematu potraktowany jako perypetie Ani T. dowodzi, że autor zna niektóre zagadnienia jedynie teoretycznie bądź z nierzetelnych informacji, a lekkość pióra pozwala mu na ciężkie dowcipy zamieszczane na wstępie omawianego artykułu.

Ponieważ niewybredne zarzuty pod adresem Łódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej wymagają komentarza — wyjaśniamy:

Spółdzielnia Mieszkaniowa przed wydaniem decyzji umożliwia członkom oględziny wstępne przydzielonych lokali, jak również przed otrzymaniem przydziału przegląd lokalu z przedstawicielem administracji Spółdzielni. Wykluczа to możliwość przyjmowania mieszkań bez dokładnego wcześniejszego dokonania oględzin. Opisany przypadek zaskoczenia lokatora jest więc wynikiem twórczej werwy autora bądź niewłaściwej informacji. Spółdzielnia Mieszkaniowa otrzymuje do dyspozycji obiekt mieszkalny zgodnie z zatwierdzoną dokumentacją techniczną i w momencie odbioru obiektu i mieszkań zgłaszanie zastrzeżeń co do rozwiązań funkcjonalnych np. szerokości kuchni, rozmieszczenia grzejników centralnego ogrzewania, gniazdek antenowych, gniazdek wtykowych itp. jest mimo obiektywnych racji tzw. musztardą po obiedzie.

Uwagi dotyczące tych tematów są zgłaszane zgodnie z postulatami mieszkańców do inwestora, którym jest Wojewódzka Spółdzielnia Mieszkaniowa „Inwestoprojekt" celem rozpatrzenia i uwzględnienia w następnych realizowanych obiektach. Tego rodzaju zastrzeżeń Łódzka Spółdzielnia Mieszkaniowa oceniając rozwiązanie projektowe budynków rejonu Śródmieście zgłosiła bardzo wiele i tu się z J. Urbankiewiczem zgadzamy, że w projektowaniu można i należy wiele poprawić nawet w zakresie istniejących normatywów.

Natomiast karygodnym jest fakt korzystania z usług różnych naciągaczy, którzy z racji znajomości rzemiosła i pracy na budowie, częstokroć namawiają użytkowników lokali do dokonywania zbędnych bądź nawet zabronionych przeróbek instalacji i w stosunku do tych pracowników kierownictwo budowy po ujawnieniu nazwisk i konfrontacji stosuje sankcje aż do zwolnienia dyscyplinarnego włącznie (kradzież materiałów). Konieczna jest jednak w tym zakresie współpraca między lokatorami a administracją ŁSM o tyle trudna, że lokatorzy zdają sobie sprawę iż roboty, które w pewnym sensie poprawiają im funkcjonalność lokalu są z przyczyn technicznych zabronione, wykonywane z materiałów „organizowanych" na budowie i świadomie korzystają z usług ludzi omawianego przekroju. Stanowi to plagę dla administracji osiedla SDM i problem dla kierownictwa budowy.

Co się tyczy usterek to przyznajemy, że rzeczywiście Łódzka Spółdzielnia Mieszkaniowa daleka jest od tzw. hurra-optymizmu w ocenie jakości budownictwa mieszkaniowego. Jednak nie stwierdzono przypadków przekazywania lokalu użytkownikowi bez wspólnych wcześniejszych oględzin, a zauważone usterki, które nie umożliwiają zamieszkiwanie, są sukcesywnie usuwane przez brygady wykonawców obiektu.

Celem zabezpieczenia interesów lokatorów i Spółdzielni zgodnie z obowiązującymi przepisami powoływane są komisje przeglądu technicznego działające w okresie gwarancyjnym i wszelkie dodatkowe ujawniające się w czasie eksploatacji usterki są przekazywane tą drogą wykonawcy do usunięcia. Prawdą jest jednak, że nie zawsze lub nawet bardzo rzadko wykonawca dotrzymuje umówionych terminów ich usuwania lub wykonuje prace w okresie niedogodnym dla niektórych mieszkańców. Sytuacja ta może w pewnej mierze przyczynić się do angażowania ludzi wykonujących odpłatnie to, co leży w obowiązku wykonawcy.

Spółdzielnia Mieszkaniowa wszelkimi prawie dostępnymi środkami nacisku oddziaływuje na wykonawcę celem poprawy sytuacji, nie ma jednak żadnego wpływu na prywatne działania jej członków.

Mamy nadzieję, że niniejsze pismo choć pobieżnie wyjaśni sprawy poruszane na wstępie artykułu i przyczyni się do właściwej i obiektywnej oceny niektórych zagadnień dotyczących budownictwa oraz pracy Łódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej.

Zarząd Łódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej

„PADAJĄ DRZEWA"

W odpowiedzi na artykuł zamieszczony w Odgłosach Nr 12 19. 03. 1978 roku p.t. „Padają drzewa" Zjednoczenie Budownictwa Komunalnego wyjaśnia uprzejmie co następuje:

1. Trasę W-Z m. innymi na odcinku od Al. Włókniarzy do ulicy Żeromskiego realizują przedsiębiorstwa budowlano-montażowe podległe różnym Zjednoczeniom. Są to: Zjednoczenie Budownictwa Komunalnego, Zjednoczenie Gospodarki Komunalnej, Łódzkie Zjednoczenie Budownictwa, Zjednoczenie Przedsiębiorstw Robót Drogowych i Mostowych oraz Mazowieckie Zakłady Gazownicze oddział w Łodzi.

2. Inwestorem budowy trasy W-Z jest Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Dróg i Mostów zaś Generalnym Wykonawcą Kombinat Robót Drogowych.

3. Na wspomnianym odcinku trasy W-Z roboty, zgodnie z zakresem działania wykonują: Kombinat Robót Drogowych, Miejskie Przedsiębiorstwo Instalacyjne, Miejskie Przedsiębiorstwo Robót Elektrycznych i Ciepłowniczych, Miejskie Przedsiębiorstwo Robót Wodociągowych i Kanalizacyjnych, Łódzkie Przedsiębiorstwo Ogrodnicze, Płockie Przedsiębiorstwo Robót Mostowych — Oddział w Łodzi, Łódzkie Przedsiębiorstwo Robót Inżynieryjnych oraz Miejskie Zakłady Gazownicze.

Niektóre z w/wymienionych przedsiębiorstw zakończyły już swój zakres robót. Aktualnie wykonują swe roboty: Miejskie Przedsiębiorstwo Robót Instalacji Elektrycznych i Ciepłowniczych, Płockie Przedsiębiorstwo Robót Mostowych oraz Miejskie Przedsiębiorstwo Instalacyjne. Są to: oświetlenie trasy W-Z, roboty konstrukcyjne na węźle w ul. ul. Żeromskiego — Mickiewicza oraz instalacje wodociągowo-kanalizacyjne w przejściu podziemnym dla pieszych w ul. Żeromskiego.

4. Zjednoczenie Budownictwa Komunalnego wyjaśnia jednocześnie iż określony teren parku im. Poniatowskiego na odcinku od ulicy Al. Włókniarzy do ul. Żeromskiego od strony północnej, tak pod roboty inwestycyjne jak i zaplecze został przekazany w/wymienionym Przedsiębiorstwom przez Generalnego Wykonawcę na podstawie protokółu przejęcia placów budowy od Inwestora.

5. Inwestor przygotowując teren pod budowę trasy komunikacyjnej dokonał za pośrednictwem Łódzkiego Przedsiębiorstwa Ogrodniczego wycięcia drzew kolidujących z budową trasy. Brak placów składowych dla budowy obiektów inżynierskich spowodował konieczność wykorzystania pół nocnych obrzeży parku pod zaplecza, do których odbywa się ruch kołowy z materiałami. Z braku innych możliwości zaplecze Łódzkiego Przedsiębiorstwa Ogrodniczego zostało również przeniesione z terenu trasy na teren parku im. Poniatowskiego. Należy zaznaczyć iż utrzymanie ruchu tramwajowego w ul. Żeromskiego w czasie budowy trasy uniemożliwiało inną organizację zaplecz niż została przyjęta.

6. Drzewostan parku w pobliżu budowanych obiektów nie został zniszczony. Był zabezpieczony odpowiednią obudową. Uległy natomiast zniszczeniu pasy trawników zajęte pod roboty i zaplecza. Trawniki te, częściowo już obsiane trawą, zostaną przywrócone do stanu pierwotnego po zlikwidowaniu pozostałych zapleczy MPRJEiC, MPJ i PPRM oraz zakończeniu robót t.j. w III kwartale br.

7. Zjednoczenie Budownictwa Komunalnego dokonało kontroli zapleczy podległych przedsiębiorstw wykonujących roboty dotyczące budowy trasy W—Z na odcinku od Al. Włókniarzy do ul. Żeromskiego. Stwierdzono częściową słuszność zarzutów postawionych we wspomnianym na wstępie artykule „Odgłosów". Dyrekcjom: Kombinatu Robót Drogowych, Miejskiego Przedsiębiorstwa Robót Instalacji Elektrycznych i Miejskiego Przedsiębiorstwa Instalacyjnego oraz Płockiego Przedsiębiorstwa Robót Mostowych — Oddział w Łodzi wydano polecenie dotyczące usunięcia stwierdzonych nieprawidłowości w zakresie: ogrodzenia zaplecza, składowania materiałów i narzędzi, parkowania sprzętu i transportu, utrzymania w należytym porządku terenu zaplecza oraz poszanowania terenów zielonych parku.

8. Wyjaśnia się jednocześnie iż budowa, wspomnianej w publikacji fontanny, jest realizowana w czynie społecznym przez cały szereg jednostek spoza Zjednoczenia Budownictwa Komunalnego pod bezpośrednim nadzorem Urzędu Dzielnicowego Łódź-Polesie.

9. Wobec poruszonych w publikacji spraw dotyczących działalności Przedsiębiorstw podległych Zjednoczeniu Gospodarki Komunalnej, Zjednoczenie Budownictwa Komunalnego informuje, iż odpis cytowanego na wstępie pisma przekazało do Zjednoczenia Gospodarki Komunalnej celem załatwienia wg kompetencji.

inż. EDMUND WIŚNIEWSKI
naczelny inżynier

★ ★ ★

Artykuł w „Odgłosach" na temat Parku Poniatowskiego pokrywa się z odczuciami wielu mieszkańców Łodzi, zwłaszcza tych, którzy, jak ja, mieli sposobność obserwować jego otwarcie.

To, co się dzieje z Parkiem Poniatowskiego, obserwować można i gdzie indziej. Na ulicy Scaleniowej (przystanek 42 i 26 — Farna) przy przeprowadzaniu kolektorów odprowadzających wodę ze stacji pomp, wycięto całą aleję drzew kasztanowych, bo, jak mi wyjaśnił jeden z pracowników, „zastąpiały".

Nieliczne już enklawy drzewne powinny być potraktowane jak relikty, bo inaczej grozi nam całkowite wyłysienie Łodzi. A przecież tyle się mówi o ochronie środowiska.

Z poważaniem
BRONISŁAW CHUDZIK
(ŁÓDŹ)

★ ★ ★

To, o czym piszecie w 12 numerze „Odgłosów" z dnia 19 marca (Padają drzewa), dotyczy w ogóle parków na terenie Łodzi. Ja od paru miesięcy wojuję z wycinaniem drzew w parkach: ZUS (przy ul. Bednarskiej) i im. Hübnera (między Bednarską, Pabianicką i Pl. Niepodległości). Ale cóż my, zwykli śmiertelnicy, możemy zdziałać. Zwróciłam się w tej sprawie do „Głosu Robotniczego" — oni przesłali tę sprawę do Straży Ochrony Przyrody. Na tym się skończyło. Wycina się drzewa i chore i całkiem zdrowe. Nie wiem, czym się tu kierują pracownicy Zieleni Miejskiej czy jak się to tam teraz nazywa. Wycina się wszystkie topole (te zwykłe, nie włoskie) z wielkimi, pięknymi koronami — mają podobno „kruche" konary — oraz wierzby, także zupełnie zdrowe i piękne drzewa. Widziałam pokrojone piłą mechaniczną pnie tych kilkudziesięcioletnich drzew — były całkowicie zdrowe. Budzi to powszechne oburzenie mieszkańców, ale cóż możemy poradzić? Poza tym w ramach „renowacji" w parku ZUS wycięto wszystkie krzewy i wypiłowano wszystkie drobne drzewka. Krzewy z czasem odrosną, ale bzy i inne większe drzewka kwitnące już nie odrosną. A tak pięknie kwitły!

Wszystkie wycinki drzew są jakoby ustalane komisyjnie, ale jakimi kryteriami te komisje się kierują i jaki jest ich skład? Osobiście odnoszę wrażenie, że to w Zarządzie Zieleni Miejskiej jest ktoś, kto postawił sobie za cel przetrzebienie drzewostanu na terenie miasta. Na podstawie przeprowadzonych rozmów telefonicznych mogę stwierdzić, że Zarząd Zieleni Miejskiej jest ogromnie zadowolony z dokonywanych w tej dziedzinie robót. Dano mi do zrozumienia, żebym nie zabierała głosu na temat spraw, na których się nie znam, są bowiem od tego znakomici fachowcy. A drzewa wycina się nadal.

Jestem przekonana, że podobne praktyki są stosowane w pozostałych parkach, zwłaszcza tam, gdzie są wieloletnie drzewa. W małym parku im. Hübnera wycięto już kilkanaście drzew, a jeśli pójdą wszystkie topole, to będzie ponad 20. Wygląda na to, że stopniowo będą usuwane wszystkie stare drzewa — gdzie robi się podobne rzeczy? Dawno nie byłoby w Warszawie Łazienek, gdyby i tam były stosowane podobne metody „konserwacji" zieleni. Na Zachodzie stare drzewa zabezpiecza się różnymi sposobami, aby trwały jak najdłużej, bo docenia się ich rolę, wartość i znaczenie. U nas po co? Najprościej wyciąć. Mamy nadmiar tlenu i znakomite powietrze.

KRYSTYNA JARZYŃSKA
(ŁÓDŹ)

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny) Stale współpracują: JAN BABIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY URBANKIEWICZ.

TRZYDZIEŚCI LAT WCZEŚNIEJ

Dalszy ciąg ze str. 1

E. PONCZEK: — Patrząc z perspektywy czasu na historię polskiego ruchu robotniczego nie można pomijać istotnych różnic, jakie dzieliły partie. Choćby stosunek do niepodległości inny był w SDKPiL, inny w PPS czy też stosunek do taktyki i strategii, rewolucji i tendencji reformistycznych.

Nawet w latach Frontu Ludowego różnice doktrynalne nie znikały. Łączyła wspólna walka ze wspólnym niebezpieczeństwem, ale ona nie niwelowała tego, co partie dzieliło.

Dopiero powstanie PPR zmieniło sytuację. PPR przede wszystkim jasno określiła swój stosunek do niepodległości, stworzyła niepodważalną płaszczyznę dla integracji ruchu robotniczego. To stanowisko PPR nie zawsze było dobrze rozumiane przez wielu byłych członków KPP. Niektórzy byli nawet skłonni podejrzewać, że jest to albo posunięcie taktyczne, lub zerwanie z tradycją ruchu, a przecież historia pokazała, że wynikało to ze zrozumienia ówczesnej sytuacji, z marksistowskiej analizy.

Po wojnie odrodzona PPS zerwała z prawicowymi tendencjami, zbliżyła się w swoich ideologicznych koncepcjach do marksizmu i opowiedziała się za budownictwem socjalizmu w odrodzonej Polsce. I to też był dalszy krok do zjednoczenia obu partii.

Czy w taki sposób wówczas oceniały to masy członkowskie? Myślę, że obok tendencji integracyjnych występowały też ugruntowane przez przeszłość różnice. Ale to inna sprawa. My dziś, z perspektywy czasu, tak oceniamy ówczesny okres w historii ruchu robotniczego.

M. WIKTOROWSKI: — Jestem zdania, że doszukiwanie się tendencji integracyjnych już na przełomie XIX i XX wieku jest co najmniej ryzykowne. Takie stanowisko jest uproszczeniem. Różnice między tą częścią ruchu robotniczego, która stała na stanowisku marksistowskim, a tą, którą określamy mianem reformistycznych, były dość istotne i w różnych okresach w czym innym się wyrażały.

Do 1918 roku oba odłamy ruchu robotniczego dzieliła kwestia niepodległości Polski. Różnica poglądów na ten problem była tak silna, że w 1906 roku doszło do rozłamu nawet w PPS, kiedy to powstała PPS-Lewica i PPS — Frakcja Rewolucyjna. W tym czasie jakiekolwiek tendencje zjednoczeniowe nie były do pomyślenia. Można raczej mówić o procesie pogłębiania się rozbicia w polskim ruchu robotniczym.

Po 1918 roku do różnicy poglądów na temat niepodległości dochodzą jeszcze inne, a mianowicie różnice poglądów na kształt ustrojowy Polski. Nurt rewolucyjny w ruchu robotniczym uznawał przecież, że przyszła Polska powinna mieć zbliżony kształt ustrojowy do Rosji Radzieckiej. Mówiło się o Radzieckiej Polsce, a w praktyce powoływało się Rady Delegatów Robotniczych i Chłopskich. Ten nurt przeważał wówczas w całej Europie środkowo-wschodniej. Dla PPS natomiast Polska miała być państwem parlamentarnym, demokratycznym, ale w istocie stosunków społeczno-gospodarczych — państwem burżuazyjnym.

Możliwości zbliżenia obu nurtów w ruchu rewolucyjnym w moim przekonaniu wystąpiły dopiero po roku 1923.

E. PONCZEK: — Kiedy to w Józefie Piłsudskim widziano polskiego Kiereńskiego, a sam przewrót traktowano jako pierwszy etap rewolucji.

M. WIKTOROWSKI: — To są szczegóły. Dokonując pewnego skrótu i uproszczenia chciałbym powiedzieć, że w późniejszym czasie, aż do 1938 roku, kiedy to KPP została rozwiązana przez III Międzynarodówkę, a i później do wybuchu wojny nie ma raczej tendencji integracyjnych. Zresztą w tym okresie zarzucano KPP dogmatyzm i sekciarstwo.

E. PONCZEK: — A Front Ludowy?

M. WIKTOROWSKI: — Istotnie, w latach 1936—1937 dochodzi do szeregu przypadków współpracy. W Łodzi komuniści i pepesowcy występują ze wspólną listą w wyborach do Rady Miejskiej. I wygrywają. Ale działania jednolitofrontowe nie likwidowały różnic i nie można traktować ich jako tendencji integracyjnych.

S. WOJTKOWIAK: — Można się zgodzić, że tendencje integracyjne były słabsze od różnic, ale trudno ich w ogóle nie widzieć. Występowały one przede wszystkim wśród klasy robotniczej, wśród szeregowych członków partii. Przecież jeszcze przed Rewolucją 1905 roku dochodziło do organizowania wspólnych strajków przez członków SDKPiL i PPS. Współpraca ta nasiliła się w okresie rewolucji, a i po jej stłumieniu takie przypadki miały miejsce. Obserwujemy przecież w tym czasie zbliżanie się PPS-Lewicy do SDKPiL.

Warto może zwrócić uwagę na niektóre dane. Otóż w 1906 roku PPS-Lewica miała 40 tys. członków, SDKPiL — 30 tysięcy, a PPS-Frakcja, która nie przejawiała tendencji jednościowych, miała tylko 19 tysięcy członków, co prawda w późniejszym czasie liczebnie wzrosła. Ale to już inna sprawa.

Po 1918 roku również obserwujemy silne tendencje jednoczeniowe, lecz raczej innej natury. 16 grudnia 1918 roku SDKPiL i PPS-Lewica jednoczą się tworząc Komunistyczną Partię Robotniczą Polski. W listopadzie 1920 roku w skład KPRP wchodzi część Komunistycznej Partii Górnego Śląska. W latach 1920—1921 do KPRP przechodzi część lewicowych grup z PPS byłego zaboru rosyjskiego i PPSD Galicji. W 1921 roku do KPRP przyłącza się — lewica byłej PPS zaboru pruskiego, głównie działacze z Poznania. W 1923 do KPRP na zasadzie autonomicznej wchodzi Komunistyczna Partia Zachodniej Ukrainy, później Komunistyczna Partia Zachodniej Białorusi.

W tym samym czasie dokonuje się także proces konsolidacji ruchu reformistycznego. W kwietniu 1919 roku połączyły się PPS byłego zaboru rosyjskiego i pruskiego oraz PPSD Galicji i Śląska Cieszyńskiego.

Nie zapominajmy również, że wówczas w ruchu robotniczym działały partie burżuazyjne: Narodowa Partia Robotnicza, Stronnictwo Chrześcijańskiej Demokracji, Narodowa Demokracja. Na Górnym Śląsku, Pomorzu, w Łodzi i Wielkopolsce miały te stronnictwa duże wpływy. Pogłębiało to jeszcze rozbicie polskiego ruchu robotniczego. Jak to wyglądało, niech pokaże fakt, że w 1920 roku na 750 tysięcy pracujących w przemyśle, tylko 300 tysięcy należało do tzw. klasowych związków zawodowych, a więc tych które były pod wpływami komunistów, PPS czy Bundu.

Tendencje integracyjne wzmogły się dopiero w okresie narastania niebezpieczeństwa wybuchu wojny, w okresie nasilania się faszyzmu.

M. WIKTOROWSKI: — Ale czy były to istotne tendencje integracyjne? Czy tylko potrzeba współpracy?

S. WOJTKOWIAK: — W 1935 roku kierownictwo PPS i KPP nawiązały porozumienie w sprawie zaniechania wzajemnych ataków. Od 1934 roku w polityce KPP powraca hasło jednolitego frontu dla działalności ruchu robotniczego. Myślę, że pomijając spór terminologiczny czy to były tendencje integracyjne czy tylko chęć wspólnego działania, to fakt zbliżenia się do siebie obu partii, szukania płaszczyzn, które by łączyły a nie dzieliły — jest bezsporny.

W tym samym czasie zaczyna się obserwować współpracę ogniw terenowych obu partii w Warszawie, Łodzi, na Górnym Śląsku, Bielsku-Białej. W rok później już w Krakowie, Lwowie, Lublinie. W tym czasie współprace nawiązują kierownictwa organizacji młodzieżowych obu partii: KZMP i OM TUR. Te kontakty były tak silne, że prawicowe kierownictwo PPS wyciągnęło sankcje dyscyplinarne wobec członków kierownictwa OM TUR. Myślę, że tych faktów w ocenie tendencji integracyjnych występujących w polskim ruchu robotniczym nie można lekceważyć. Świadomość tego odegrała wielką rolę w roku 1948, kiedy to obie partie przystąpiły do zjednoczenia.

M. WIKTOROWSKI: — To oczywiście prawda. Zresztą już na XXVI Kongresie PPS, w czerwcu 1945 roku i na I Zjeździe PPR w grudniu 1945 roku właśnie na te momenty położono wielki nacisk, wydobywając z przeszłości obu partii to, co je łączyło. I to było słuszne między innymi i dlatego, że takie działanie posiadało określone wartości emocjonalne. Ale my dziś patrzymy na ten okres trochę już inaczej. I mamy prawo, a nawet obowiązek widzieć szerzej i głębiej.

Ja nie neguję faktów współpracy. Podkreślam tylko różnice, aby pokazać jak trudna była droga do zjednoczenia. Może trochę inaczej oceniam niektóre fakty. Na przykład trudno nie zgodzić się, że po 1918 roku nastąpił proces scalania ruchu komunistycznego w Polsce. Ale taki sam proces dokonywał się też w ruchu reformistycznym. Już dla tego samego nie można tych tendencji przeceniać i wyolbrzymiać. Dokonujące się scalania partii w obu odłamach ruchu robotniczego wcale nie zmniejszało różnic doktrynalnych między nimi. Przeciwnie, umacaniało je.

W czasie wojny PPS i PPR zmieniły swoje stanowiska. Ale w czasie wojny PPS i PPR nie miały wielkich możliwości dotarcia ze swoimi programami do szerokich rzesz społeczeństwa. Po wojnie te możliwości zmieniły się radykalnie, ale inne były już problemy, inne zadania, wokół których trzeba było społeczeństwo skonsolidować. Stąd i inne musiały być argumenty w partyjnej propagandzie, a przecież i wtedy, kiedy już decydowano o zjednoczeniu, występowały jeszcze różnice i to nie tylko wśród kierownictwa, ale i wśród członków obu partii.

E. NOWAK: — Powstanie odrodzonej Polski zmieniło zasadniczo warunki działania partii robotniczych, zmieniło też cele ich działania. Ale warto też uświadomić sobie, że również wśród całej rzeszy ludzi o przekonaniach lewicowych i komunistycznych panowały różne poglądy i tendencje. Wiadomo przecież, że w początkowym okresie drugiej wojny światowej wielu komunistów, nie oglądając się na różnice ideowe, a kierując się patriotyzmem włączyło się do walki z najeźdźcą i to nie tylko w 1939 roku, ale i później. Byli i tacy, którzy problemy walki narodowej odsuwali na plan dalszy, albo w ogóle je negowali i twierdzili, że jedynie walka o wyzwolenie społeczne, to jest zadanie dla komunistów. Najsilniejsze jednak były te tendencje, które nakazywały tworzenie własnych ugrupowań, tworzenie własnej partii. Wiadomo przecież, że takie ugrupowania powstały i wcale nie było ich mało. Wymienię tu choćby „Sierp i Młot" czy powstały w Łodzi „Front Walki za Wolność Naszą i Waszą". W chwili powstania PPR wszystkie te ugrupowania połączyły się, przyciągając do partii ludzi nastawionych lewicowo, dla których najważniejszym celem było wówczas pokonanie wroga, ale którzy nie mieli jednocześnie zamiaru rezygnować z celów wyzwolenia społecznego. PPR dążyła przecież do stworzenia jednolitego frontu walki z wrogiem, podejmując nawet próbę porozumienia się z Delegaturą rządu londyńskiego.

E. PONCZEK: — Bez skutku zresztą.

E. NOWAK: — To już inna sprawa. Różnice ideologiczne okazały się silniejsze niż to, co powinno łączyć.

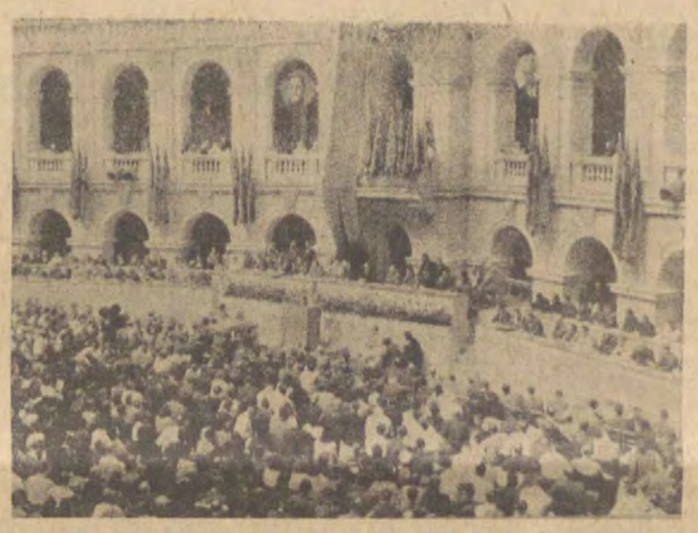

Foto: Archiwum

Ale ja chciałbym zwrócić uwagę na skutki tego programu narodowego PPR w czasie późniejszym. Bo według mnie program ten zjednywał również wieś, powodował, że chłop traktował partie robotniczą jako własną. Widział w jej programie możliwość spełnienia swoich dążeń. To miało ogromny skutek już po odzyskaniu niepodległości.

Dzisiaj możemy to powiedzieć, oceniając tamten okres naszej historii z perspektywy czasu i oceniając go jako historyczny, że reforma rolna miała przede wszystkim znaczenie polityczne. Hasło reformy rolnej zawarte w programie PPR zjednywało ją niej chłopów. Reforma rolna była konkretnym wyrazem, urzeczywistnieniem hasła sojuszu robotniczo-chłopskiego. Po ogłoszeniu reformy rolnej szeregi PPR zaczęły szybko wzrastać, bo do PPR wstępowali chłopi.

E. PONCZEK: — Mimo istnienia ruchu ludowego.

E. NOWAK: — Oczywiście. Ruch ludowy był przecież rozbity i nie zawsze mógł gwarantować chłopu spełnienia jego nadziei. Proszę też nie zapominać, że PPR była jedną z partii rządzących, jej członkowie zajmowali ważne stanowiska w rządzie i jej program był realizowany. To się przede wszystkim w praktyce liczyło. Poza tym PPR stawiała na biedotę wiejską. To oni dostawali ziemię z reformy. I oni w PPR widzieli gwarancję tej reformy. A przecież tę ziemię trzeba było niekiedy bronić własnym życiem. W tej walce sojusznikiem była przede wszystkim PPR.

S. WOJTKOWIAK: — Powstanie Polski Ludowej rozwiązało kwestię i rozstrzygnęło spór na temat, jak zdobyć władzę. Teraz pozostała do rozstrzygnięcia inna kwestia, jak zbudować socjalizm?

M. WIKTOROWSKI: — Chyba byłoby zbytnim uproszczeniem, gdybyśmy się zgodzili na takie stwierdzenie. W pierwszych latach Polski Ludowej problem władzy był nadal istotny. Walka o charakter władzy została rozstrzygnięta dopiero w styczniu 1947 roku. Przecież jeszcze w lutym 1945 roku, przewidywano dopuszczenie do życia politycznego w Polsce również opozycji politycznej.

S. WOJTKOWIAK: — PSL i Stronnictwo Pracy miały w rządzie swoich reprezentantów. Ale przecież najważniejsze stanowiska: obrona narodowa, bezpieczeństwo wewnętrzne, przemysł znajdowały się w rękach członków PPR. I to decydowało już o charakterze władzy.

E. NOWAK: — To decydowało o klasowym charakterze władzy, chociaż w świadomości społecznej silne były jeszcze elementy niesocjalistyczne.

E. PONCZEK: — Sprawa nie była jeszcze wówczas przesądzona. Walka toczyła się nadal. I to nie tylko walka polityczna, ale i walka zbrojna.

M. WIKTOROWSKI: — Nie zapominajmy też, że referendum z 1946 roku było testem popularności programu społecznego nowej Polski, a przede wszystkim programu społecznego partii robotniczych. Przy czym popularność nie jest równoznaczna z akceptacją.

E. NOWAK: — Chodziło głównie o odpowiedź na pierwsze pytanie: Czy jesteś za zniesieniem Senatu? PSL — chociaż jej wcale nie chodziło o Senat — wzywała do głosowania „nie" na pierwsze pytanie, podczas gdy inne partie w tym PPR i PPS, wzywały do głosowania na to pytanie „tak". Walka toczyła się więc nie o Senat, a o poparcie społeczeństwa, o poznanie rzeczywistych wpływów w społeczeństwie.

M. WIKTOROWSKI: — I w tej walce pewne sukcesy zanotowało PSL. W Krakowie na przykład większość głosów padła — mówiąc w uproszczeniu — na PSL. W Łodzi 28 procent głosujących również na pierwsze pytanie odpowiadało „nie".

E. PONCZEK: — W całym kraju udział w referendum wzięło 85,3 proc. uprawnionych, na pierwsze pytanie „tak" odpowiedziało 68,2 proc. głosujących, na drugie, czyli za przeprowadzonymi reformami opowiedziało się 77,1 proc. głosujących, a na trzecie, czyli za utrzymaniem Ziem Zachodnich i Północnych — 91,4 proc.

M. WIKTOROWSKI: — Partie polityczne bardzo uważnie analizowały wyniki referendum. Przecież wybory do Sejmu planowano na 1945 rok. Ale obawiano się wówczas o wynik tych wyborów, co dziś — z perspektywy przeszło 30 lat — możemy uznać za w pełni nie uzasadnione.

Jeśli o tym wszystkim wspominam, to dlatego, aby pokazać, że idea zjednoczenia ruchu robotniczego miała ogromny wpływ na kształtowanie się świadomości społecznej narodu polskiego. Przecież jeszcze w 1946 roku w samej PPS występowały tendencje odśrodkowe — jeśli to można tak określić. W Łodzi również. Reprezentował je między innymi sekretarz WK PPS — Henryk Wachowicz. Obawiano się „wchłonięcia" PPS przez PPR, utraty samodzielności, a myślano nawet o możliwości odegrania kierowniczej roli przez PPS w ruchu robotniczym i w państwie.

Rzeczywistość polityczna pokazała jednak po czyjej stronie jest racja, czyj program zdobywa sobie popularność.

E. NOWAK: — Można powiedzieć, że w PPR nie było tych wahań, chociaż w partii byli ludzie, którzy pamiętali z własnych doświadczeń i jednolitofrontowe działania i walkę ideologiczną. Do PPR przychodzili nowi ludzie, młodzi robotnicy, a także chłopi, dla których tradycją była już tylko walka zbrojna z czasów okupacji. Oni, a wśród nich chłopi, którzy przyszli do PPR, nie mieli żadnych wątpliwości w sprawie zjednoczenia ruchu robotniczego. Dla nich potrzeba jedności była oczywista.

E. PONCZEK: — To samo można powiedzieć i o PPS. Do tej partii też przychodzili nowi ludzie, którym obce były partyjne kontrowersje przeszłości.

Istotniejsze były jednak inne przemiany, jakie dokonały się w świadomości narodu. Od przełomu XIX i XX wieku, a nawet od drugiej połowy XIX wieku w świadomości polskiego społeczeństwa dokonał się proces integracji narodowej. Moment ten znalazł swoje odbicie w programie ideowym PPR. Wojna i patriotyczne dążenie do walki z okupantem, do walki o wyzwolenie narodowe tę integrację jeszcze pogłębiły, mimo, że dochodziło przecież do walki bratobójczej. Silniejsze jednak były więzi jedności narodowej. I one sprzyjały temu, aby dalszym losem kraju kierowała partia zjednoczona. Doświadczenia wynikające z rozdrobnienia politycznego okresu II Rzeczypospolitej, uwieńczone klęską, też tu miały swoje znaczenie.

Partie robotnicze, a przynajmniej PPR, musiały te czynniki brać pod uwagę. Jednocześnie musiały brać pod uwagę świadomość klasową społeczeństwa. My dziś jeszcze zbyt mało wiemy na ten temat, gdyż mało się ten problem bada. Ale z tego, co wynika z dokumentów, z przekazów, wiemy, że integracja społeczeństwa na płaszczyźnie narodowej nie niwelowała walki klasowej. I to pokazują wyniki referendum.

M. WIKTOROWSKI: — Walka o władzę została właściwie rozstrzygnięta w wyborach do Sejmu, to znaczy na początku 1947 roku. Blok Demokratyczny zyskał wtedy w skali kraju 80,1 proc. głosów, a PSL — 10,3 proc. Inne ugrupowania polityczne, które już nie odgrywały większej roli w życiu politycznym Polski — 9,6 proc.

S. WOJTKOWIAK: — Byłoby jednak błędem, gdybyśmy — mówiąc o zjednoczeniu ruchu robotniczego w Polsce — nie widzieli także uwarunkowań międzynarodowych. Te uwarunkowania znalazły odbicie nawet w łonie PPR. Pamiętajmy, że w tym czasie potępiono Jugosławię, która nie podporządkowała się pewnym tendencjom panującym w ruchu robotniczym krajów demokracji ludowej. Głównie na tym tle, jak i na tle różnicy poglądów na temat dalszego rozwoju polskiego rolnictwa doszło w kierownictwie PPR do poważnej kontrowersji, co skończyło się niesłusznym oskarżeniem grupy działaczy PPR z Władysławem Gomułką na czele o odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne.

E. NOWAK: — A był to już okres „zimnej wojny", która później w Korei przerodziła się w „gorącą wojnę".

S. WOJTKOWIAK: — Było więc niebezpieczeństwo zbrojnej konfrontacji między obozem kapitalizmu a socjalizmu. A potencjał gospodarczy naszego obozu wówczas nie był duży. Związek Radziecki miał na przykład w rolnictwie mniej traktorów niż przed rokiem 1941. Wysiłek poniesiony w drugiej wojnie ze strony ZSRR kosztował bardzo drogo. Na naszych Ziemiach Zachodnich i Północnych w 1947 roku jeszcze 47 proc. gruntów ornych leżało odłogiem. Nie mieliśmy przemysłu ciężkiego, stalowego, nie mówiąc już o wielu innych gałęziach. Naczelnym zadaniem stawało się więc nie tyle odbudowanie zniszczeń, co dążenie do stworzenia nowoczesnego przemysłu i nowoczesnej gospodarki. Aby te cele zrealizować, niezbędna była jedność światowego i polskiego ruchu robotniczego, który przecież przewodził i odpowiadał za dalsze losy narodu. To była konieczność historyczna, wynikająca nie tylko z przesłanek ideologicznych, ale i z właściwej oceny ówczesnej sytuacji międzynarodowej.

Józef Stalin miał wtedy ogromny autorytet w międzynarodowym ruchu robotniczym, a w światowym ruchu komunistycznym oficjalny był pogląd o zaostrzającej się walce klasowej. To pozwalało zwalczać wszelkie kontrowersyjne poglądy, nie mieszczące się w ogólnie przyjętych wzorach, poprzez oskarżenia o prawicowo-nacjonalistyczne odchylenia, ulegania wpływom imperializmu, czy wręcz służenie wrogowi, jako agentura w ruchu robotniczym. Przyjmowano wzór radziecki i radziecką drogę do socjalizmu, jako jedynie możliwą, bo sprawdzoną. Wytworzony wokół Józefa Stalina „kult jednostki" sprzyjał takim tendencjom w ruchu robotniczym, które później — jak wiemy — zostały przezwyciężone.

M. WIKTOROWSKI: — Te procesy dokonywały się równolegle. W historii nie można wyważać, co bardziej, a co mniej wpływało, bo to może zamienić się w spór czysto akademicki.

E. NOWAK: — Oczywiście. W PPS też do głosu dochodziły elementy lewicowe. Ich wpływ uzyskany w partii socjalistycznej przygotowywał płaszczyznę do zjednoczenia obu partii. I tego nie można nie widzieć, ani tym bardziej nie doceniać.

M. WIKTOROWSKI: — W lutym 1948 roku w Czechosłowacji dochodzi do próby oderwania jej od obozu demokracji ludowej. W tym czasie bawiła tam delegacja PPS, która prowadziła rozmowy z socjaldemokratami. W delegacji byli między innymi Józef Cyrankiewicz, Henryk Świątkowski, Kazimierz Rusinek i Henryk Jabłoński. Wyciągnęli oni wnioski z tego, co działo się w Czechosłowacji i to też miało wpływ na politykę PPS w kwestii zjednoczenia.

W PPS po wyborach do Sejmu przezwyciężono tendencje prawicowe. Powstała następnie konieczność przezwyciężenia tendencji centrystycznych. Były one już znacznie osłabione, ale myślę, że wnioski wyciągnięte z „wydarzeń praskich" w lutym 1948 roku przez niektórych członków kierownictwa PPS pomogły w przezwyciężeniu i tych tendencji. Wówczas to PPS oświadczyła, że koncepcjom wiązania się prawicy socjaldemokracji z siłami imperializmu trzeba przeciwstawiać program jednoczenia się rewolucyjnych partii klasy robotniczej.

W kwietniu 1948 roku odbyło się wspólne posiedzenie KC PPR i CKW PPS, które nakreśliło główne kierunki działania w przygotowaniach do zjednoczenia obu partii.

W Łodzi w tym czasie dokonuje się zmiana — takie zmiany dokonywały się też w innych miastach Polski — kierownictwa PPS. Odchodzi Henryk Wachowicz, a do ścisłego kierownictwa WK PPS wchodzą: Stanisław Duniak i Eugeniusz Stawiński, reprezentanci tendencji lewicowych, dążący w praktyce do zacieśnienia współdziałania z PPR.

E. NOWAK: — Nie bez znaczenia dla procesu jednoczenia obu partii jest i ten fakt, że już pod koniec 1947 roku nie było problemu opozycji legalnej, jak i nielegalnej. Stanisław Mikołajczyk uciekł za granicę. A jeśli gdzie jeszcze dochodziło do zbrojnych wystąpień, to były to już przeważnie napady rabunkowe, którym nadawano jeszcze na siłę znaczenie polityczne, często zresztą bezskutecznie.

E. PONCZEK: — W lutym 1947 roku ogłoszona została amnestia, która załatwiła problem podziemia reakcyjnego.

M. WIKTOROWSKI: — Zmienił się też stosunek PPS do kwestii dyktatury proletariatu, jako koniecznej formy demokracji socjalistycznej w początkowej fazie jej rozwoju. PPS, która wcześniej stała na gruncie demokracji parlamentarnej, w wyniku doświadczeń walki politycznej z lat 1944—1947 uznała, że demokracja parlamentarna jest nie do przyjęcia w ówczesnej rzeczywistości politycznej. To też zbliżyło obie partie.

Praktyka życia politycznego Polski Ludowej rodziła coraz więcej i coraz silniejszych więzów, nasilała tendencję integracyjne, których uwieńczeniem był Kongres Zjednoczeniowy w grudniu 1948 roku.

Zanotował: LUCJUSZ WŁODKOWSKI

NIC TU NIE JEST TWOJE

EDWARD ZYMAN

1.

Nie wiem, kiedy umarła moja matka. Babka, którą o to pytam, najwyraźniej unika rozmowy na ten temat. W grymasie ust, w zniecierpliwieniu, które czytam w jej przenikliwych, kłujących oczach, dostrzegam nie ukrywaną niechęć. W moim głosie pojawia się więc tylekroć sprawdzona, niemal zawsze skuteczna nuta żałosnej, płaczliwej skargi. No, babciu, mówię i łaszę się jak Baciar, kot starego Depty, przytulam się do jej suchych, kościstych rąk, łażę za nią jak cień. No, proszę miaukliwym głosem, no, powiedz, i dźwigam z nią parujący sagan; no, mówię, babciu, no, i odganiam różowe, chrząkające łby od pustego koryta. No, powtarzam uparcie, no, babciu, i patrzę wraz z nią na tę kotłującą się, pomrukującą masę, próbując się przebić wzrokiem przez gęsty obłok zalatującej słodkim zapachem kartofli i otręb pary.

Babka jest szczęśliwa.

Patrzcie, jakie to nienażarte, szepce do siebie, i w tym „patrzcie" słyszę dumę, tę samą, triumfującą dumę, z którą wczoraj, wymierzywszy kościsty palec w stronę rozwalonego na kufrze, ćmiącego skręta ojca — rzuciła twardym, nie dopuszczającym sprzeciwu głosem: nic tu nie jest twoje!

Powiedziawszy to z dziecinną łatwością chwyciła pełny ceber i wychlusnęła jego zawartość na podłogę. Nie, słyszałem całej rozmowy, kłótni właściwie, ale to jedno, ostre jak tasak zdanie, powiedziało mi wszystko. A więcej jeszcze powiedziały mi niespokojne, rozedrgane ręce ojca. Ręce właśnie, nie słowa, nie odezwał się już bowiem wtedy, nie wydał z siebie żadnego głosu, nie sprzeciwił gwałtownie. Wtulił się tylko w siebie, zmalał, schował w swych wielkich, rozłożystych ramionach. Trwał tak dłuższą chwilę, aż nagle wstał, rzucił niedopałek na mokre, tonące w mydlinach deski podłogi i nie przemówiwszy do nikogo wyszedł na dwór.

Jest coś między nimi — myślę: między babką moją, kobietą twardą jak skała, silną, przedzierającą się przez życie z hartem najbardziej wytrwałego mężczyzny, i moim ojcem: człowiekiem zamkniętym i milczącym. Uderza mnie w nim ta dziwna, niemęska miękkość, to ciągłe ustępowanie innym z drogi, omijanie każdej, najmniejszej nawet z przeszkód. Widzę: ojciec milknie coraz bardziej, unika mnie, babki zdaje się nie dostrzegać. Czasami podchodzę do niego, dotykam jego silnych, dużych dłoni; tato, mówię, i staram się spojrzeć mu w oczy, szukam jego wzroku natarczywie, zachłannie, ale ojciec gładzi mnie tylko po głowie, tarmosi lekko moje gęste, zlepione kurzem włosy i, uspokajając mnie, powtarza: dobrze, już, chłopak, dobrze.

Nic tu nie jest twoje! Słyszę wciąż syczący, twardy, pełny nienawiści głos babki. Widzę w jej oczach rozpaloną do białości złość. Chciałbym to wszystko zrozumieć, zapytać „dlaczego" i otrzymać pełną, wyczerpującą odpowiedź.

Wracamy do izby. Babka krząta się przy piecu, trzaska garami, grzebie pogrzebaczem pod kuchnią. Siadam na chwiejącej się ławie, plecami opieram o wapnem bielony komin i od czasu do czasu, naglony skrzekliwym głosem, dorzucam do ognia. Palimy szyszkami. Wydobywające się spod kuchni ciepło rozleniwia mnie, przymykam więc oczy i zaczynam drzemać.

2.

Ojciec od rana siał owies na płachetku wąskim, przylepionym do zbocza Sinej. Wrócił przed chwilą, wyprzągł i napoił Siwka i teraz, widzę, miota się nerwowo po obejściu.

— Wiktor — krzyczy nagle — chodź no tu!

Podchodzę.

— Co to jest?! — wskazuje na stertę śmieci, którąśmy usypali obok kopca, za dnia, na ognisko.

— Śmieci, tato — mówię.

— Po co tu one?

— Ogień mieli my palić z Pietrkiem.

— Na podwórzu?

Widzę, jak jego ręce sięgają pod wyrzuconą na spodnie bluzę. Gdy już siedzę z poparzonymi pośladkami wśród gołych o tej porze krzaków agrestu, zza płotu Ciekockiej wystawia swój ryży łeb Pietrek.

— Czegoś się darł, co?

— ...

— Lanie ci spuścili? — przelazł przez płot, siada obok. Przygląda mi się współczująco, jakby chciał wziąć na siebie część gniewu ojca, do którego na równi ze mną się przyczynił. Milczymy chwilę.

— Znowu się kłócili? — nie wytrzymuje.

— Yhym — mamroczę niewyraźnie.

— Co mówił?

— To samo.

— Znaczy się, nic?

Potwierdzam ruchem głowy. Pietrek jest moim przyjacielem. Na śmierć i życie.

3.

Jest ciepłe wiosenne południe. Pasiemy na Smudze. Moja Łysa, czarna jak Murzyn, łazi dostojnie po rozległej łące, ciągnie jak zawsze w kierunku mokradeł, gdzie trawa najlepsza, najbardziej soczysta. Znowu, ścierwo, lezie w topiel, mówię i podnoszę się na łokciu. Pietrek, leżący obok mnie, także dźwiga głowę. Niech lezie, mruczy i pluje gęstą, zieloną śliną. Za chwilę pakuje do gęby nową porcję szczawiu. Jego Mećka jest znacznie spokojniejsza: potrafi godzinami tkwić w jednym miejscu, dreptać w kółko, aż w trawie najpierw bujnej i gęstej, pojawią się łysiny, przez które dostrzec można czarną, tłustą ziemię łąki. Pietrek nie musi więc wstawać tak często jak ja, biec z kijem w ręce wrzeszcząc jak opętany. Krowa brnie coraz głębiej. Jest od nas daleko, ale widzę to wyraźnie: jej racice grzęzną w gęstym, tłustym błocku. Zrywam się na równe nogi. Biegnę. Klnę przy tym siarczyście ostro, jak stary. Nawróć się, ty stara kurwo, wrzeszczę i walę lagą po szerokim, rozłożystym zadzie z furią.

Słońce grzeje coraz mocniej, jakby to był lipiec nie kwiecień. Zdejmuję koszulę. Rozpalone, zroszone strużkami potu ciało chłodzi przyjemny, delikatny podmuch wiatru. Walę się na wznak, przymykam oczy. Po zaciśniętych powiekach rozpoczyna taniec mrowie gorących, połyskliwych igieł. Wisząca nade mną jasność obniża się, osacza mnie coraz szczelniej, nakrywa gorącym oddechem, pełznie wzdłuż odsłoniętego torsu, obejmuje delikatnie podbrzusze, łaskocze wewnętrzną część ud. Przymykam oczy jeszcze mocniej i oto nie jestem sam: obok mnie, nade mną, we mnie jest coś dziwnie, niewypowiedziane zwiewnego, ulotnego; to coś drży, pulsuje, przytula się do mnie całym rozgrzanym, pachnącym ciałem: tak, ciałem; jest to ciało kobiety, dziewczyny, czarnowłosej Stefki. Siedzę w suchym jak pieprz, intensywnie pachnącym sianie na strychu, łeb swój kostropaty wyściubiam przez szparę w szczycie i widzę: w promieniach wibrującego słońca pojawia się najpierw tuman wzbijanego dziesiątkiem racic kurzu, a potem ona, z robótką w jednej ręce, z patykiem ułamanym po drodze w drugiej; przyglądam się jej uważnie, zachłannie, nakrywam rozpalonym wzrokiem jej nogi mocne i zgrabne, zatrzymuję się dłużej na miejscach, w których domyślać się już umiem ud silnych i pośladków napiętych, potem przenoszę wzrok wyżej, ku jej piersiom wysadzonym do przodu mocno, wyzywającym. W delikatny szum trawy, w jednostajny, leniwy szmer kołujących owadów, w odgłosy pasącego się bydła wkrada się mój przyśpieszony, narastający oddech, wdziera się zwielokrotniony puls wzburzonej, przetaczającej się przeze mnie krwi, w skroniach nasila się przyśpieszony stuk tysiąca młotów; łapczywie chwytam rozgrzane do białości powietrze i wtedy dochodzi mnie senny, obojętny głos Pietrka.

— Chciałbym mieć kochankę!

Milczę.

— Słuchasz, Wiktor? Chciałbym mieć kochankę.

Leżę dalej bez ruchu, ale czuję: zaraz stanie się coś niedobrego. Czekam w napięciu i nie mylę się; Pietrek nachyla się nade mną i wyrzuca mi w nos z kwaśnym oddechem nie mytych zębów:

— Tak, jak twój ojciec!

W tej samej chwili moja lewa ręka wpija się w gęstwę jego ryżych kudłów, prawa zaś spada na rozpaloną gębę; biję z gwałtowną wściekłością, nie czuję jego ostrych paznokci, które rozrywają mi twarz, tłukę jego łbem o ziemię, w stalowym uścisku kolan miażdżę jego wątły brzuch. Obrona Pietrka słabnie, walę jeszcze kilka razy mocno, na odlew, aż widzę, że jego rudy pysk zakwita czerwoną, olbrzymiejącą z każdą chwilą różą, daję więc spokój. Odchodzę kilka kroków, po czym rozciągam się na trawie, twarz wystawiam do słońca. Mój głos jest spokojny, beznamiętny:

— Nie plotkuj na drugi raz.

— To nie plotki.

— Bo dam w gębę.

— To prawda.

— Skąd o tym wiesz?! — warczę, ale czuję już, że złość mnie mija i, że bez względu na to, co powie, nie zrobię mu żadnej przykrości.

Pietrek dowiedział się przypadkiem. Było to w sklepie, u starego Jaremy. Stał przy bufecie i kupował cukier, po który wysłała go matka, gdy usłyszał pytlującą Radjoszczankę; nachyliwszy do którejś z bab swą pyzatą, okraszoną krostami gębę, syczała niby to cicho, ale tak, że i głuchy by nie mógł nie zwrócić uwagi. Z tego jej szeptu cicho-donośnego dowiedział się, że ojciec Wiktora i Zocha od Wojtka Janików, niebrzydka wdówka mieszkająca z wiecznie obsmarkanymi bliźniakami w chałupie wysuniętej najdalej na północ od centrum Dobrymki, właściwie mówiąc: w leśnej głuszy, należącej w równym stopniu do naszej wsi, jak i do rozciągającej się za rzeką Sykówki, że więc ojciec Wiktora i Zocha żyją z sobą jak prawdziwy mąż z żoną. Powiedział Wiktorowi: jak mąż z żoną, ale Radjoszczanka określiła to inaczej, dobitniej, aż poczuł ciarki na plecach i przy akompaniamencie jazgotliwego, odpychającego śmiechu bab wybiegł ze sklepu.

4.

— Dorzuć, słabnie!

Głos babki budzi mnie. Schylam się i nabieram pełną garść szyszek. Po chwili buzują pod kuchnią wysokim, jasnym płomieniem. Ojca nie ma. Jak zwykle zresztą; od dawna wieczory spędzam z babką. Jest mi z nią dobrze; myślę nawet, że mimo tej zewnętrznej szorstkości, tych gestów ostrych, kościstych, i mimo tego głosu chropawego, jest dla mnie kimś bardzo bliskim. Od pewnego czasu wzbiera we mnie i krzepnie coraz silniej to przekonanie, tym silniej im bardziej babka jest wobec mnie oschła, odpychająca, nieprzystępna. Przyglądam się jej uważnie; spod przymkniętych powiek śledzę jej szybkie, nerwowe ruchy, łowię wdzierający się w ciszę przedwieczoru stukot jej wiecznie udziamdzianych drewniaków; teraz widzę ją nachyloną nad wpuszczonym w ogień po same ucha żeleźniakiem, w którym gotuje ulubioną przeze mnie zupę, pietrusiajkę; dużą, drewnianą łychą miesza w garze, wrzuca nać pietruszki, dosypuje soli, po chwili zanurza łychę jeszcze raz, podnosi do ust, próbuje głośno mlaskając i rzuca krótko: dość! Babka podchodzi do zawieszonej pod okapem kuchni lampy i zdejmuje szkło; nasiąkły naftą knot zapala się szybkim, niebieskim płomieniem. W zgęstniały mrok izby, rozpraszany dotąd jedynie drgającym blaskiem ognia, wdziera się nowe światło.

Zupa jest gotowa. Szczupłe ręce babki chwytają za wspierające się na rozżarzonej blasze ucha i dźwignąwszy gar w górę, stawiają go na wilgotnej, chłodnej ziemi; stare, poszczerbione fajerki, przesunięte sprawną ręką babki, nakrywają nieszczelnie płonący krater kuchni. Jemy w milczeniu. Przez blaszaną, poznaczoną cętkami obitej emalii miskę, którą trzymam między kolanami, przenika zrazu łagodne, a potem nasilające się ciepło. Siedzę na progu, obok babki; to nasze stałe miejsce. Nie pamiętam, byśmy kiedykolwiek jedli kolację przy stole, chyba zimą, ale i wtedy przy stole siedziałem tylko ja: babka pozostawała przy piecu, tyle, że z drugiej strony, na tej szerokiej, chwiejącej się ławie, na której jeszcze tkwiłem do niedawna, dorzucając łapczywie połykane przez ogień szyszki.

Babka długo nie mówi ani słowa; zdaje się nie zauważać mojego natarczywego, żebrzącego spojrzenia, mojej wielkiej, aż bolesnej ciekawości, głodu zżerającego, który nie pozwala mi myśleć o niczym innym, spać nie daje.

Zupa jest dobra, smaczna; nachylony nad miską chwytam w nozdrza intensywny, odurzający zapach świeżej pietruszki. Nie wiem dlaczego, ale śpieszę się; moja ręka uzbrojona w łyżkę pracuje rytmicznie, szybko, znacznie szybciej niż by należało; siorpię przy tym głośno, pochlipuję, mlaskam jak psiak, aż babka, śledząca mnie uważnym, przenikliwym wzrokiem, pyta uśmiechając się leciutko: — A ty kogóż gonisz tak, co? — i to jej pytanie uspokaja mnie. Jem teraz już dostojnie, z rozważnym namysłem, nie jak dziecko opuszczone moczymordy i utracjusza, gołodupca z Sanik, jak mówi babka, lecz jak pan jakiś, dziedzic najlepszy; patrzę na babkę, która znowu nie zwraca na mnie uwagi, pogrążoną w myślach, wiecznie rozważającą niełatwe sprawy gospodarstwa, planującą i przewidującą; patrzę na nią i czuję jak rośnie we mnie podziw dla jej siły, której nic, wierzę w to święcie, nie zdoła przemóc, dla jej rąk niestrudzonych, pleców szczupłych, na których przenieść potrafi półmetrowy worek żyta z łatwością, dla jej nóg mocnych, wytrwale przemierzających Dobrymkę wzdłuż i wszerz, kilkanaście razy dziennie, drepczących bez wytchnienia, wspinających się bez trudu po kamienistym zboczu Sinej. Rośnie w moich oczach babka, jej niepozorna postać rozrasta się, olbrzymieje, nabiera mocy nieskończonej; patrzę w jej twarz i widzę: jest w niej trudna do wyrażenia, przytłumiona przez lata, ale wciąż jeszcze nie zagasła, pociągająca uroda; wpatruję się w jej ładnie zarysowane usta, nos prosty, nie za duży, włosy gęste, dawniej pewnie czarne, jak u Kruszynowej Stefki, a teraz siwe, zaczesane do góry starannie, na jej szyję smukłą, i myślę: moja babka była kiedyś piękna.

Niby dlaczego moja wiedza o matce, o jej życiu przedwcześnie przerwanym i o śmierci samej ma zależeć wyłącznie od babki; jest przecież jeszcze głupi Hieronim, wszystko wiedzący, sprawy wsi najdrobniejsze znający dokładnie, jest Ignac, starszy brat Pietrka, który za paczkę junaków wyśpiewa wszystko, to, co wie i czego nie wie, ale przede wszystkim jest jeszcze stary Jarema, właściciel jedynego we wsi sklepu, w którym znajduje się wszystko, czego można tylko zapragnąć. Sprzedaje w tym sklepie na przemian ze swoją żoną, przezywaną przez nas Glistą, kobietą liczącą sobie lat najwyżej czterdzieści, a wyglądającą co najmniej na sześćdziesiąt, albo i więcej, suchą i kościstą, o niemiłych, chytrych oczach; mierzy mnie nimi zawsze uważnie, podejrzliwie, jakby obawiała się, że skorzystam z najmniejszej okazji, by wynieść coś niepostrzeżenie ze sklepu; patrzy mi nieustannie na ręce, co mnie denerwuje mocno, tak, że nierzadko mam ochotę rzeczywiście coś zwinąć w tej norze, ale ochota opuszcza mnie, gdy pomyślę o Jaremie. Sklepikarz jest całkowitym zaprzeczeniem swojej żony: pogodny, uprzejmy, zawsze uśmiechnięty darzy mnie nie ukrywaną sympatią. Jest chyba dużo starszy od Glisty: jego wydłużoną, szczupłą twarz okala bujna, siwa, prawie biała broda, którą lubi gładzić, gdy rozmawia ze mną. W sklepiku nigdy nie ma tłoku, rzadko się więc zdarza, bym musiał czekać; niemal zawsze moje wejście odrywa go od grubych, oprawnych w skórę bądź płótno ksiąg, które czytuje przysunięty do wąskiego okna. Kupuję wszystko, co potrzeba szybko, w pośpiechu nawet, wkładam do płóciennego worka, po czym odsuwam zakupy na bok i zaczynam z nim rozmowę; widzi te moje przygotowania, ten mój pośpiech, który rzuca się w oczy, uśmiecha się do mnie zachęcająco. Pytam go o rzeczy najróżniejsze: dlaczego nosi brodę? dlaczego jedni ludzie są źli a drudzy dobrzy? jak duże jest słońce? skąd się biorą źródła? co to są chmury i co jest poza nimi? ile lat ma Pan Bóg? dlaczego zwierzęta nie mają skrzydeł?; sam nie wiem, skąd biorą się u mnie te pytania najdziwniejsze, których nikomu innemu prócz Jaremy nie zadałbym za nic. Bywa, że nasza rozmowa przedłuża się nad miarę, przeciąga się dopóty, dopóki nie przerwie nam jej jakiś interesant, lub Glista wołająca starego na kolację. Wymiata mnie wtedy ze sklepu, pędzę do chałupy znanymi mi tylko skrótami, gnany strachem przed gniewem babki.

Babka, gdy się rozzłości, ma w sobie coś z Glisty; widać to, gdy krząta się po obejściu, energiczna, zdecydowana, trochę szorstka. Zawsze, gdy opóźniam swój powrót ze sklepu, gdy przez moją natrętną, nie kończącą się paplaninę ze starym Jaremą babka musi czekać zbyt długo na sól, ocet, cukier czy naftę, sprawa kończy się nieodmiennie laniem; moja ukochana babka chwyta mnie wówczas za portki, podnosi do góry lekko, bez najmniejszego wysiłku i grzmoci po tyłku czym popadnie; wrzeszczę przy tym opętańczo, rzucam się jak przy poparzeniu wrzątkiem — nie pomaga. Najbardziej mnie złości, że w czasie znęcania się nade mną babka nie wydaje z siebie najmniejszego nawet słowa, zadaje razy w milczeniu, z charakterystycznym dla niej uporem i starannością, co doprowadza mnie do szewskiej pasji; nie czuję wówczas bólu, który dopiero potem rozlewa się ciepłą plamą po opuchłym siedzeniu. Po skończonym laniu babka zarzeka się, że nie wyśle mnie do sklepu już nigdy, że odtąd będę warował jak pies przy chałupie; i rzeczywiście, przez kilka dni dotrzymuje słowa, nie pozwala mi się oddalić nawet na krok: ledwie przygnam bydło z pastwiska, wynajduje mi najróżniejsze prace gospodarskie, które zwykle wykonuje sama.

Tak, pójdę do Jaremy, postanawiam w duchu, patrząc na krzątającą się bezustannie babkę i odczuwając coraz większe zmęczenie; nad cebrzykiem wyrasta wysoki, drgający słup pary; myję się pośpiesznie, jedną ręką, schlapuję niedokładnie twarz nigdy nie domytą, następnie siadam na ławie i zanurzam w wodzie szybko lewą, a potem prawą nogę, i już, głośno klapiąc bosymi stopami o podłogę, biegnę do łóżka.

5.

Leżę w łóżku, a właściwie: w wyrku zapchlonym, bo słoma w nim stara, dawno nie zmieniana, i wpatruję się nieruchomo w wiszący na przeciwległej ścianie, nad stołem, obraz święty. W słabym, pełgającym świetle lampy niewiele można dostrzec, ale ja znam ten obraz dokładnie: w jego centralnym punkcie, u samej góry, z niebios jasnobłękitnych, upstrzonych płowymi główkami aniołków wyłania się dostojna, okolona gęstwą siwych włosów, postać Boga Ojca Wszechmogącego, całego w złocistych promieniach słońca; niżej, po jego lewicy Maryja Panna, po prawicy Święty Józef, a w środku, z koroną cierniową na głowie, z rączkami skrzyżowanymi na piersiach, mały Jezus Chrystus — Odkupiciel; w głębi obrazu, na planie najdalszym widać delikatne obłoki chmur, a w nich cudowne ptactwo rajskie, roślinność niezwykła, dobroć sama najsłodsza, jakiej próżno by szukać na ziemi, wśród ludzi niedoskonałych, śmiertelnych. Wystarczy przymknąć oczy i zmusić do pracy leniwą wyobraźnię, co przychodzi mi bez najmniejszego trudu, ot tak, jakby palcem strzelić, albo jeszcze lepiej, batem, donośnie, rozdzierająco, a przecież ruch ręki przy tym jest niepozorny, jakby mimowolny, jakby go w ogóle nie było; siadam więc okrakiem na mojej wyobraźni posłusznej i uległej i prowadzę ją traktem znajomym, najpierw, jeszcze we wsi, między topolami przydrożnymi, potem przez szkółkę sosnową ledwie od ziemi odrosłą, a jeszcze potem, już do samego miasta, przez chłód i cień wysokich, smukłych świerków, tu i ówdzie poprzetykanych biało-siwą suknią wiotkich, szemrzących brzóz; jedziemy z ojcem na koźle, zrobionym z deski szerokiej, dębowej, okrytej grubym kocem, w towarzystwie nieustających, gardłowych pochrząkiwań, które dochodzą nas z tyłu, z końca furmanki; to sprzedażne warchlaki, czują widać, że w ich życiu krótkim, mało ciekawym, szykuje się jakaś zmiana ważna.

Siedzę na koźle, patrzę na falujące morze głów i wsłuchuję się w pulsujący, to przycichający to wznoszący się, strzelający w górę, szmer targu; siedzę tak jeszcze chwilę, aż wzbiera we mnie dostatecznie wiele odwagi, by powiedzieć prosząco do ojca, że się rozejrzę trochę, tu zaraz, niedaleko, i uzyskawszy zgodę, wchodzę w gąszcz furmanek, kramików przeróżnych, beczek z kiszonymi ogórkami i kapustą, mijam rozłożone wprost na ziemi sterty cebuli, pomidorów, marchwi, buraków, jajek; nad nimi jak ptaki zagniewane wiszą kłótliwe baby; idę dalej...

Zapadam już w sen na dobre, gdy nagle wstrząsa mną silne szarpnięcie i wraz z piekącym bólem ucha dochodzi mnie ostry głos babki:

— A pacierze gdzie, huncwocie jeden?

Podrywam się więc do góry, klękam jak należy i głosem donośnym recytuję Ojcze Nasz, Zdrowaś Maryjo i Wierzę w Boga Ojca; potem, walcząc ze snem, wracam raz jeszcze do opuszczonych na chwilę świętych i proszę ich żarliwie o wsparcie i pomoc najżyczliwszą, o zrozumienie sytuacji mojej trudnej, niewdzięcznej. Patrzę w obraz i mówię do nich wszystkich razem i do każdego z osobna, powtarzam ustami bezgłośnymi to, co mi na sercu leży najdotkliwiej, a więc, że ojciec, dawniej gospodarz najlepszy zdziadział teraz doszczętnie, zatracił w sobie ochotę jakąkolwiek, bydła nieogląda okiem uważnym, troskliwym, w pole wychodzi rzadko i jakby od niechcenia, całymi dniami pije, do chałupy nie wraca na noc; modlę się tak i czuję: pod powiekami, nie wiadomo skąd, pojawia się coraz więcej kłujących, ostrych ziarenek piasku; po chwili gorące, obfite strugi łez spływają mi wzdłuż policzków, odwracam się więc na bok, wtulam twarz w szorstkie sypuły poduszki i zaraz potem zasypiam płytkim, niespokojnym snem.

(I nagroda w Konkursie Rubinowej Hortensji 1978 rok) Piotrków 1978.

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

BIEDA Z TYM PRZEKŁADEM!

Zdarza się słyszeć, wygłaszany z uczoną powagą na spotkaniach aforyzm: tylko dobry poeta może być dobrym tłumaczem, bądź: czym lepszy poeta, tym lepszy tłumacz. Aforyzm może brzmi i pięknie i wpływa kojąco na kompleksy niektórych... dobrych tłumaczy, ale został wykoncypowany raczej na chybił trafił i jest... bzdurą.

Bzdurą z prostej przyczyny: wprawdzie zarówno twórczość oryginalna i przekładowa wymaga od uprawiających odpowiedniej kultury słowa i sprawności warsztatowej, jednakże podobieństwa na tym się praktycznie i kończą. Warunkiem powstawania cennej twórczości oryginalnej są zdolności kreacyjne (a więc tworzenie wartości unikalnej manifestującej w stopniu mniej lub więcej zauważalnym niepowtarzalną indywidualność twórcy). Warunkiem natomiast powstania dobrego przekładu są odpowiednie zdolności imitatorskie. Owszem, może się zdarzyć, i zdarza się nierzadko, że ten sam twórca, posiada i to w równym stopniu, oba rodzaje tych kłócących się nawet ze sobą poniekąd zdolności. Ale równie dobrze może się zdarzyć, że posiada tylko jedno, a jeżeli i dwa, to w stopniu wysoce nierównym.

Oba te odmienne uzdolnienia posiadają w stopniu jeśli nie równym to imponująco wysokim: Jan Kochanowski, Mickiewicz, Lucjan Siemieński, Staff, Tuwim, Liebert, Kamieńska, z obcych Iwan Dracz — cóż, zróbmy wyjątek, wskażmy i na kogoś z obecnych — Jan Huszcza.

Tłumacz, któremu dany poeta „nie leży", ma prawo odmówić przekładu, z chwilą jednak, gdy nie odmawia, musi zapomnieć, że jako poeta posiada inny warsztat; musi zapomnieć, gdy tłumaczy poetów dawnych, że w czasie dzielącym nas od ich twórczości poezja dokonała siakich takich wynalazków formalnych i że poeci dysponują dziś o wiele doskonalszymi narzędziami poetyckimi niż np. kobylaste, nudne, wymagające w dodatku kłopotliwej znajomości realiów archaicznego stylu pasterskiego czy myśliwskiego — porównanie homeryckie; czy nie opłacający się skórka za wyprawkę — wieniec sonetów. Poeta oryginalny po osiągnięciu dojrzałości twórczej powinien posiadać jeden warsztat, tłumacz zaś — potencjalnie tyle warsztatów, ile jest i było kierunków w poezji oraz rozsadzających ich skodyfikowane czy nieskodyfikowane kanony indywidualności, czyli praktycznie — warsztatów nieskończoną ilość. Poeta może być genialnym prymitywistą i tworzyć niczym der Sänger w balladzie Goethego, co mawiał: „ich singe wie der Vogel singt, der säuselt in der Blätter"; tłumacz musi być znawcą wszech estetyk, a więc pisującym cudze wiersze — filologiem. Wyszczególnione tu kwalifikacje i powinności tłumacza sprowadzają się do jednego: tłumacz powinien być realizatorem przekładu — w i e r n e g o.

Użyczający autorowi języka przekładowca, biegły w kwestiach stylistyk historycznych i współczesnych, musi podobnie jak specjalista w sprawach przeprowadzek przenieść możliwe wszystko bez stłuczenia, pokiereszowania czy zgubienia czegokolwiek: treść, składnię, figury, tropy, ba, nawet niedomówienia. W tym miejscu przykład na niedobre skutki wynikłe z jednej strony z zawężenia metaforycznego obrazu przez nieuwzględnienie jednego z jego elementów z drugiej, na odwrót, przez wypełnienie celowego niedomówienia. Oto wers dość zresztą starannego przekładu na białoruski wiersza Władysława Broniewskiego „Łódź". Oryginał: „Śmierć się wysnuje z motków bawełny". Przekład pióra P. Pranuzy: „Wytczacca smiert fabrykantam z bawołny". Łopatologiczne wypełnienie przemilczenia dodatkiem „fabrykantam" odebrało balladową niesamowitość sytuacji lirycznej i zamieniło ją w plakatową sztampę, opuszczenie „z motków" „położyło" boschowski w swej niesamowitej fantastyce obraz.

Przekładowca — człowiek użyczający autorowi języka musi nieraz, choć to sprawa diablo trudna, zawiesić na kołku własny „dobry" smak. Zwłaszcza zawodne jest tu złudzenie o ponadczasowej niezawodności probierza, jakim ma być rzekomo ów smak jego i jego generacji pisarskiej. Uległszy owemu złudzeniu niemiecki literat z czasów oświecenia Schroeder i w ślad za nim w 1797 r. Antoni Bogusławski, przekładając jeden po drugim „Hamleta", poddali utwór „albiońskiego barbarzyńcy z wieku nieoświeconego" odpowiednim „ratującym" przeróbkom, usuwając zeń m. in. sceny z duchem, jako że „duchy karczemnej tworem gawiedzi". W niewiele ponad dwadzieścia lat później duchy i im podobne „duby smalone" odbyły triumfalny ingres na szczyt Olimpu.

Za mojej pamięci czołowi, i nadal za takich uważający się, tłumacze z patentem na nieomylność dokazywali cudów zręczności kunsztu translatorskiego, by tłumacząc i ustawiając dobranych do pomocy tłumaczy Błoka, Cwietajewej i Achmatowej, zatrzeć w przekładach wyraźniejsze ślady modernizmu, który to kierunek w mniejszym czy większym stopniu stał u zarania twórczości całej trójcy. Intencje retuszów były bardzo szlachetne: nie eksponować wobec czytelników wstydliwego faktu, że na twórczości tak wielkich poetów odbił się i „zły smak secesji", którego to zdecydowanie pejoratywnego używano wówczas przemiennie z „burżuazyjną dekadencją" i „młodopolszczyzną". Tymczasem nie minęło tak znów dużo lat, jak „zły smak secesji" stał się raptem.. dobrym smakiem. Ale mniejsza o kaprysy mód i panujących estetyk. Użyczający autorowi języka, jeśli chce być tłumaczem wiernym, musi zdawać sobie sprawę, że jest również w dziedzinie stylu i tłumaczem poniekąd przysięgłym; przenosi na obcy język dokument gustów twórcy i epoki. Dokumentów zaś nie wolno według swego „widzimisię" modyfikować.

Z tym wiąże się cecha, bez której nie ma przekładów wiernych, a wśród nich (co jest najwyższym stopniem wierności literalnej i wierności pod względem urody) kongenialnych. Przekład nie może zacierać kolorytu narodowego oryginału, tej jego pewnej obcości, która ma zaspokoić naszą ciekawość inności, a nie utwierdzać w przekonaniu, że cały świat i jego twory ducha są podobne jak dwie krople wody. Obcy wiersz stanowi rodzaj okienka, przez które zerknąwszy poznajemy jakiś fragment obcego życia, obcych upodobań. Zamykanie tamtego okienka w toku przekładania jest nie tylko sprzeniewierzeniem się zasadzie wierności ale w dużym stopniu odbiera przekładaniu sens.

Mistrzem od nie zacierania w przekładzie charakterystycznych, i to możliwie wszystkich, cech oryginału był Julian Tuwim. Przyswajając ojczyźnie — polszczyźnie jeszcze przed wojną m. in. utwory Puszkina, spowodował, że każdy przełożony wiersz rosyjskiego poety był doskonale czytelny, że przenosił poprzez czas, granicę, ponad żywe w latach międzywojennych uprzedzenia — autentyczne wzruszenie poety, które znajdowało natychmiast we wzruszeniu czytelnika rezonans. A każdy z tamtych jego przekładów „pachniał Rusią".

Weźmy choćby passus z przeniesionego z jambu w jamb „Jeźdźca miedzianego":

Zahulać nam tu na wolności!

Proszę zwrócić uwagę na owo „zahulać" — pełne ekspresji i zaskakująco happeningowskie, absolutnie obce grzeczności panajachowiczowskiego słownictwa — ruskie, nawet hajdamackie, a zarazem zgodne z naszymi wyobrażeniami o szerokiej duszy ruskiej.

A dalej:

Prastarej duszy splendor zgasł
Jako przed młodą cesarzową
Imperatrycy — wdowy blask.

Podziwiam konsekwencję i mistrzostwo, z jakim Julian Tuwim z oryginału przenosił do przekładu poprzez odpowiedni dobór słów oficjalny bizantyjski koloryt państwowości od Niemna do Chiwy — owego „Trzeciego Rzymu" cesarsko-prawosławnej ideologii. Proszę zwrócić uwagę, że słowa „splendor" w oryginale nie ma, ale jakże „siedzi" tu, w tym miejscu: jest empirowo patetyczne, zaakceptowane właśnie w osiemnastym wieku przez polszczyznę, przybyłe do Rzeczypospolitej poprzez łacinę, ale wszakże z Grecji — z Bizancjum.

I śmiałość przeniesienia wprost z tamtego języka słowa „imperatryca". Śmiałe, a jednak rozważne, gdyż to idealnie tu pasujące słowo obce, ale przecież pojęte, został wprowadzone w miejsce pozostawionego w spokoju jako niedostępne dla nie znających języka „porfironosnaja wdowa".

Tłumacząc z białoruskiego wspaniały poemat Janki Kupały „Ona i ja" zajrzałem przez ciekawość do przekładu na rosyjski. Stwierdziłem, że autor przekładu, bądź co bądź znakomity poeta, Robiert Rożdiestwienski, systematycznie „doideologiczniał" poemat, laicyzując wszystkie miejsca, w których któremuś z bohaterów wyrwało się westchnienie „Boże" lub autor poinformował czytelnika, że nad mogiłką wznosi się krzyż.

Inny przykład de domo mea. Napisałem w latach zamówień społecznych wiersz na cześć polskich saperów ratujących Dolinę Maciejowicką przed wiosenną powodzią i rozbijających granatami zator lodowy. W zakończeniu posłużyłem się odwróconym a rebours mickiewiczowskim określeniem z sonetu „Burza": „jenijusz śmierci". Coś w tym duchu, że dzisiaj pod Maciejowicami bohatersko walczy ze śmiercią lodową „geniusz życia z orzełkiem na kasku".

Wiersz został przełożony na rosyjski przez bardzo miłego i zdolnego poetę radzieckiego i ukazał się w prasie rosyjskiej. Zakończenie nieco mnie jednak zderanżerowało:

„Sołdat,
Wiernyj drug żizni,
z krasnoj zwiezdoj na kaskie".

Jakie muszą zaistnieć warunki, by powstał przekład jeszcze lepszy od dobrego. A więc bardzo dobry czy kongenialny?

Pierwszy — oczywisty: odpowiednio wysokiej miary zdolności naśladownicze tłumacza w połączeniu z jego doskonałą orientacją we wszystkich złożonościach treści i specyfice elementów formalnych utworu.

Następne już jednak warunki bynajmniej nie należą do iskry bożej tłumacza. Drugim jest bowiem wydarzenie się takiego szczęśliwego trafu, że budowa wersyfikacyjna oryginału, tudzież jego wartości eufoniczne, idiomy, efekty gry słów etc., etc., nie natkną się podczas przenosin przez granicę języków na nieprzekraczalną zaporę sprzeczności ich struktur gramatycznych czy absolutnego braku odpowiedników słownych etc. Mam na myśli zapory, których nie tylko nie da się sforsować, ale i wyminąć.

Trzecim jest uniwersalizm treści, tj. nieistnienie (jak np. w „Na Alpach i Splügen" czy liryków lozańskich Mickiewicza), przynajmniej na planach pierwszych, elementów treściowo-uczuciowych, znaczących, i to niemało, jedynie w obrębie danej wspólnoty historyczno-etnicznej, elementów tracących bezpalecyjnie całą siłę i blask z chwilą transplantacji na inny teren, mówiąc słowami starej, rzewnej piosenki: „w inne kraje, gdzie są inne obyczaje". A zatem grubo nie każdy przekład wierny i bez zarzutu od strony artystycznej może być kongenialny. W tej materii decyduje bowiem, niestety, również i przenikalność siły fatalnej wiersza. Ta zaś czasem zależy i od politycznych wypadków losowych, które sprawiają, że jakieś wewnętrzne sprawy narodowe emocjonują przez czas długi powszechność, jak np. rewolucja francuska, lub stają się toposem, jak np. jabłko na głowie syna Wilhelma Tella.

Przyjrzyjmy się przykładom na przyczyny owej niegombrowiczowskiej niemożności osiągnięcia najwyższej miary sukcesów przekładowych, które określiłem przed chwilą liczbami: druga i trzecia.

Ot, na przykład, niemożliwe jest przeniesienie z wiersza rosyjskiego na polski w stanie, który by nie zburzył przemyślnej i wysoce nastrojowej organizacji wersyfikacyjnej oryginału, wierszy o spadku daktylicznym, a więc z akcentem na trzeciej sylabie od końca, gdyż na przeszkodzie stoi... szyldwach — gramatyka: język polski posiada przecież w swym milionowym słowniku jedynie kilkanaście wyrazów pochodzenia zagranicznego, co spełniają ten warunek, oraz czasowniki trybu warunkowego, i to obecnie, pod wpływem telewizji (!) w stanie zaniku. Najgenialniejszy tłumacz nie jest zatem w stanie oddać przecudnej melodyki najpopularniejszego wiersza Konstantina Balmonta „Umirajuszczyj lebied". Ruchomość akcentu w języku rosyjskim przy nieruchomości w polskim sprawia m. in., że słownik języka rosyjskiego posiada miażdżącą przewagę nad polskim pod względem ilości wyrazów z akcentem na ostatniej sylabie, gdyż takimi mogą być w polskim tylko wyrazy jednosylabowe. Fakt ten powoduje, że praktycznie niemożliwe jest przeniesienie na polski bez uszczerbku bądź bogactwa treści, bądź wdzięku rytmicznego oryginału (tertium non datur) „Eugeniusza Oniegina". Załamał się przy rozpaczliwej próbie pogodzenia tych praktycznie wykluczających się rygorów człowiek obdarzony takim geniuszem naśladowczym, jak Julian Tuwim. Wspomnijmy jeszcze o barierach w postaci przyzwyczajeń słuchowych innonarodowego czytelnika. Czytelnik polski nie zniesie na przykład popularnego w narodowej poezji gruzińskiej (m. in. w wierszach Waży Pszawelego) kilkunastokrotnego powtarzania się w jednym liryku tego samego rymu, czytelnik niemiecki — tradycyjnie polskiego trzynastozgłoskowca (7 + 6), którym została napisana większość arcydzieł naszej poezji romantycznej; czytelnik rosyjski, wychowany od czasów Łomonosowa na sylabotnice, nie będzie na ogół przepadać za vers libre, wszechwładnym przecież od lat w poezji zachodnioeuropejskiej, polskiej, a i częstej w nadbałtyckich krajach radzieckich.

To była ta druga bariera, przejdźmy do trzeciej uniemożliwiającej stworzenie takiego przekładu kongenialnego, który, na równi z oryginałem, „byłby zdolny własne ognie przelać w piersi słuchaczów" — tyle że obcych.

Prosty i, zdawałoby się, łatwo przetłumaczalny wiersz Leona Rygiera:

Spod Białołęki, spod Grochowa
Ułański oddział idzie nasz
I leci nasza pieśń bojowa,
I dzwoni w trąby przednia straż.
Sto serc w źrenicach nam się pali,
Toczy się żywych piersi wał.
Któż by się oparł rwącej fali —
Sam książę Józef rozkaz dał.

Cóż z tego, że ktoś wiersz wiernie przełożył na niemiecki, angielski czy portugalski. Nie odda zakodowanych w duszy świadomego swych dziejów Polaka mocy poetyckiej, zawartych w słowach: Białołęka (w którym to słowie w dodatku geniusz języka zaklął niemałej piękności obraz i wyraźną melodykę) czy Grochów. I choćby obcy czytelnik sięgnął do encyklopedii i przyswoił sobie hasło: „Książę Józef Poniatowski", ani trochę nie wzruszy się tak tamtą ostatnią linijką, jak wzruszył się w „Współczesnej Literaturze Polskiej" Wilhelm Feldman i wzruszało pokolenie naszych ojców. Nie odczują zamkniętej w tych kilku banalnych słowach półtorawiekowej tęsknoty do „broni i orłów narodowych" i urzeczenia z ich wreszcie posiadaniem. Tak samo ma się rzecz z przetłumaczalnością (ściślej — nieprzetłumaczalnością) siły wzruszeniowej zawartej w Romanowskiego „Nie czas myśleć o kochaniu, o bogdance i róż rwaniu", ba, nawet i w wersie Słowackiego o „kamieniach przez Boga rzuconych na szaniec" — mimo bogactwa poetyckiego tej nawet niesamowitej metafory.

Dla większej może obiektywizacji problemu sięgnijmy po przykład z innej literatury. Nie mamy najmniejszych powodów, by kwestionować prawdomówność, zdolność obiektywizacji i jakość literaturoznawstwa naszych współbratanków Węgrów, a przecież nawet nam, członkom narodu powstańczego, całkiem trudno jest uwierzyć zapewnieniom znad Dunaju, że romantyk Petöfi, węgierski bohater Wiosny Ludów, jest rzeczywiście jednym z największych poetów europejskich, w dodatku z owej epoki olbrzymów poezji. Przecież w świetle przekładów na polski (podobno bardzo starannych) nie wydaje się zbytnio przewyższać poziomem Wincentego Pola czy Włodzimierza Wolskiego, autora „Marsza Zuawów".

Prawie wszystkie jako tako liczące się z literatury europejskie i z innych kontynentów mają w swym dorobku przekład, bądź nawet kilka, „Pana Tadeusza". Choćby tylko ze względów li tylko polityczno-kurtuazyjnych. Z tej listy tłumaczeń, często wytrawnych piór, do rangi kongenialnych potencjalnie kandydować mogą przekłady: na litewski, ukraiński (i rzeczywiście przekład Maksyma Rylskiego na tę rangę zasługuje), białoruski (język kraju, na którego obecnych terenach leżało „tuż przy wielkiej drodze" Soplicowo) i poniekąd węgierski. Jednym słowem na języki narodów, co czy ze względów historycznych czy — Węgry — z powinowactw szlacheckiego obyczaju, kultury materialnej i kostiumologii — posiadają znajomość sarmackich realiów, które grają w naszym arcypoemacie nie mniej pierwszoplanową rolę niż sami ludzie. Znajomość i jej naturalne konsekwencje w zasobach leksykalnych.

A szanse innych przekładów w tym względzie?

Otwieram wydaną w Berlinie w 1955 r. dość pokaźną książkę pt. „Pan Thaddäus oder der letzte Eintritt in Lithauen". Übersetzte Walter Panitz. Rzucam okiem:

Nur war es Zeit. Das Fest neigt sich dem Ende,
Die Jugend wartet schon sehnsuchtsvoll,
Da sich an ganzem ihr Vergnügen sende,
So schriett der Kammerherr, der würdevoll
Nicht ohne sich dem Schnurrbart glatt zu streichen,
Auf Zosia nun ihr jetzt Gehand zu reichen...

Co za diabeł? A to początek akapitu: „Poloneza czas zacząć, Podkomorzy rusza" itd.

Ze wszystkich sarmackich realiów występujących w odpowiadających cytowanemu fragmentowi wersach oryginału tłumacz zostawił tylko nazwę honorowego urzędu tancerza „Podkomorzy" („Kammerherr") oraz czynność podkręcania wąsów. Pozostałe informacje o stroju i zachowaniu się Podkomorzego, który zaprasza Zosię do nie zidentyfikowanego tańca, tłumacz po prostu opuszcza. Nie dziwmy mu się. Stanął przed zadaniem, którego, jak to powiedział drugi romantyk w „Kordianie", i sam diabeł nie rozwiąże. Jak nazwać po niemiecku kontusz, i nie tylko nazwać, ale i wytłumaczyć, jak wygląda. No i nauczyć czytelnika, co to są wyloty kontusza. I wytłumaczyć nieświadomemu rzeczy (do tego rytmicznie i z animuszem) jak się owe wyloty kontusza zarzuca. Istnieje wprawdzie druga alternatywa: polonizowania — praktycznie wprowadzenie volapüku, w rodzaju, mówię na „rybkę", „Herr Podkomorzy hat langsam die Ausflüge des Kontusch abgeworfen". Ale jest to alternatywa jeszcze bardziej niedorzeczna.

I tak dochodzimy do posępnego wniosku, że nasz arcypoemat, pozbawiony swych malowniczych realiów nadających mu właśnie jego charakterystyczną poetycką gęstość, a bez orientacji w których trudno wywołać przed oczy wyobraźni sporą liczbę tamtych przepysznych obrazów dawnego życia „wśród cichej wsi litewskiej" — a więc, że nasz arcypoemat zostaje sprowadzony do wymiaru kiepsko zrymowanej, prymitywnej komiksowej opowiastki, nie wnoszącej niczego istotniejszego do niemieckiej wiedzy o Polsce. W tych warunkach sława poematu, jako pierwszego w t a m t e j literaturze, może jeszcze nawet przydać argumentów głosicielom poglądu, panoszącym się dziś nad Odrą o kulturalnym Untervolku.

Bieda z tym przekładem i tysiącem innych, bo zbyt dużo owych „plures" występuje przeciwko trudom tłumacza — choćby i był Herkulesem.

(Fragmenty referatu wygłoszonego na XII Ogólnopolskim Festiwalu Poezji w Łodzi poświęconym przekładom poetyckim. Pozostałe referaty będziemy publikować w kolejnych numerach).

TOMASZ SOLDENHOFF

ONI BĘDĄ BUDOWALI

Na ulicę Siemiradzkiego, przy której od dziesięciu lat mieści się **Zespół Szkół Budowlanych Łódzkiego Zjednoczenia Budownictwa**, jechałem z bagażem problemów, które nazbierały się w ciągu obserwacji zjawisk składających się na ciemną stronę codziennego obrazu naszego budownictwa. Spodziewałem się, że od ludzi, na których spoczywa odpowiedzialność za to, czy nasze domy, sklepy i zakłady pracy budować będą ludzie o wysokim poczuciu dyscypliny społecznej i odpowiedzialności oraz o wysokich umiejętnościach, dowiem się, jak o tych wszystkich problemach — a z wieloma z nich wychowankowie szkoły stykają się dopiero w przedsiębiorstwach budowlanych — myśli się u progu zawodu cieśli, murarza czy montera, tu, gdzie kształcenie i wychowanie kadr dla budownictwa dopiero się zaczyna.

Rozmowę w gabinecie dyrektora **Zespołu Szkół Budowlanych ŁZB** zaczęliśmy od problemu kadr, gdyż od jego rozwiązania zależą w głównej mierze szanse „budowlanki". Wiadomo, że na budowach odczuwa się rosnący brak rąk do pracy, szczególnie w najcięższych i najmniej chętnie wybieranych specjalnościach.

Dyrektor mgr **Henryk Sobierajski** powiedział:

— Jeżeli coś się za bardzo reklamuje, chce za wszelką cenę „wcisnąć" ludziom, to jasne, że zaczyna w nich to budzić podejrzliwość. W szkolnictwie górniczym przyjęto dawać nagrody tym, którzy przyprowadzą ze sobą do szkoły kolegów. Nam się to wydaje przesadą. Takie fakty jak choćby to, że od lat uczą się w naszej szkole chłopcy z jednej wsi, że po kolei kształciło się u nas trzech synów jednego murarza, że mamy całe rodziny w szkole, świadczą, iż w zawodach budowlanych tradycja rodzinna i koleżeńska gra wciąż dużą rolę. Stosujemy nawet preferencje wobec podobnych przypadków, choć często wybory kandydatów dotyczą najbardziej przeładowanych kierunków. Do naszej szkoły jednak chcemy przyciągać młodzież przede wszystkim pokazując pracę jej uczniów, nauczycieli i wychowawców. Nie ukrywamy tego, że deficyt chętnej młodzieży powiększa się: są to skutki demograficznego niżu. Jeszcze parę lat temu mieliśmy aż 15 klas pierwszych. W tym roku będzie ich 8. Dlatego tak bardzo zależy nam na przyciągnięciu młodzieży.

Aby jednak miało to przynieść efekty trzeba — dodajmy uzupełniając wypowiedź dyrektora H. Sobierajskiego — nabór na następny rok zaczynać wcześnie, już od 1 września. Przez cały rok szkolny nauczyciele szkoły penetrują środowisko młodzieży „podstawówek". Dla niej szkoła organizuje wiele imprez, ją zaprasza się na turnieje i spartakiady budowlane. W czasie tegorocznych ferii zimowych przewinęło się przez budynki **Zespołu Szkół Budowlanych** prawie 2 tys. dzieci z Łodzi Rzgowa, Tuszyna, Aleksandrowa, Konstantynowa, Zgierza i innych miast.

— Jeżeli co trzecia osoba z tej grupy wybierze sobie zawód cieśli czy murarza, to będzie to moim zdaniem dużo — mówi dyr. H. Sobierajski. — **Niepokoi tylko to, że połowę tej młodzieży stanowią dziewczęta.**

Mówi zastępca dyrektora do spraw technicznych mgr inż. **Julia Kwiatkowska:**

— W niektórych specjalnościach mogłoby z powodzeniem pracować więcej kobiet. Zatrudniać by je można — jako elektromonterów i monterów wewnętrznych instalacji budowlanych — na przykład przy montażu kabin. Przedsiębiorstwa jednak niechętnie patrzą na kobiety, bo na budowie trzeba im stwarzać specjalne warunki, a i poza budową więcej z nimi kłopotów niż z mężczyznami (urlopy macierzyńskie). Dlatego mimo wielu chętnych, nie ma aktualnie w szkole zasadniczej żadnej kobiety. Musze dodać, że przychodzą one do nas nieraz przez przypadek, z braku miejsc gdzie indziej.

Szkoła tymczasem chce na swoich wychowanków tak oddziaływać, by rozwijać zainteresowanie zawodem. Z obserwowanych powszechnie społecznych sygnałów groźnych zjawisk chce się tu wyciągać konstruktywne wnioski, choć ocena tych zjawisk jest bardziej powściągliwa, mniej w niej emocji.

Mówi zastępca dyrektora do spraw pedagogicznych **Krystyna Domagałowa:**

— O stopniu zagrożenia tymi zjawiskami orientujemy się na podstawie obserwacji internatów. Z jednej strony stosujemy radykalne środki: za picie alkoholu w internacie usuwamy ze szkoły, z drugiej strony cieszy nas, że chłopcy sami patrzą na ten problem krytyczniej. Ponieważ na postawę synów nie są bez wpływu nawyki rodziców, prowadzimy wśród nich pedagogizację. Współpracujemy także z placówkami poradnictwa zawodowo-wychowawczego i przeciwalkoholowego.

Celem szeroko zakrojonych działań wychowawczych szkoły jest odwrócenie uwagi uczniów od pokusy alkoholu przez proponowanie im zdrowszych sposobów „wyżycia się". Przy internacie pracuje drużyna harcerska, unikalna w skali całego szkolnictwa zawodowego. Ponad trzystu aktywnych członków zrzesza szkolna grupa SZMP. Spośród wielu społecznie użytecznych prac szkolnego koła PCK na podkreślenie zasługuje codzienna pomoc ludziom starym. Koło TPPR skupia ponad 200 członków, którzy samodzielnie nawiązali interesujące kontakty z rówieśnikami z ZSRR. Szkolny samorząd patronuje również m.in. recytatorom (laureatom Centralnego Konkursu Recytatorskiego zorganizowanego w 1976 r. przez Zw. Zaw. Prac. Przem. Budowl.), konkursom czytelniczym, Klubowi Ludwików (sfilmowanemu swego czasu przez TVP), Kołu Młodych Polityków. Niezmordowanych organizatorów rajdów kolarskich i pieszych grupuje sekcja turystyki. Jest drużyna wodniacka doświadczona na wodach Zatoki Puckiej, na jeziorach mazurskich, Wiśle i Bałtyku. W pracy SKS pedagodzy zwracają uwagę na takie sprawy jak higieniczny tryb życia, kultura kibicowania. To niektóre przykłady.

Mówi dyrektor **H. Sobierajski:**

— Szkoła jest częścią naszego życia i dlatego nie moglibyśmy tu pracować ograniczoną liczbą godzin. To jest kombinat, w którym praca wychowawcza trwa niemal całą dobę. W naszą pracę trzeba wkładać dużo serca, zapału, pomysłowości. Często jest to praca „na ugorze", od trudnych podstaw. Tym bardziej cieszą nas sukcesy wychowanków. Jako polonista spotykam się z młodzieżą, która często nie była jeszcze w życiu w teatrze. Cieszę się osobiście, widząc swoich uczniów na spektaklu i w czytelni biblioteki...

Dyrektor **J. Kwiatkowska:**

— Większość naszych wychowanków pochodzi spoza Łodzi. Chcemy przybliżyć im historię i kulturę tego miasta. Już pierwsze zwiedzanie szkoły przez kandydatów spośród uczniów ostatnich klas szkół podstawowych łączymy ze spacerem po Łodzi. Natomiast najwyższym dla nas wyróżnieniem jest po prostu pamięć uczniów, gdy przychodzą do nas po latach pytać o radę, oglądać szkolne nowości, doskonalić się w technikum i w Szkole Mistrzów, gdy przyprowadzają do klasy pierwszej rodzeństwo i dzieci.

Szkoda więc, że tak często więzi zdobywane w latach nauki zatracane zostają później, już w zakładzie pracy. Proces adaptacyjny w budownictwie jest bardzo trudny, a od pierwszego zetknięcia zależy to, czy młodzi ludzie przywiążą się do miejsca pracy, czy w nim pozostaną.

— Wiele zależy od samych przedsiębiorstw — mówi dyrektor K. Domagałowa — **Na przykład poważnie o tych problemach myśli się w Łódzkim Kombinacie Budowy Domów Śródmieście (w dawnym ŁPBM nr 1). Aż 70 procent załogi stolarzy stanowią tam nasi wychowankowie. Doprowadziliśmy wspólnie z dyrekcją Kombinatu do tego, że prawie wszyscy nasi wychowankowie tam pozostają. Takie wyniki łatwiej oczywiście osiągnąć w mniejszych przedsiębiorstwach.**

Nad kształtowaniem więzi z warsztatem pracuje się jednak od samych początków pobytu w szkole. Czymże jak nie wpajaniem postawy szacunku dla miejsca pracy jest wspólny, wieloletni mozół pedagogów i kilku roczników uczniów, związany z urządzaniem i wyposażaniem pracowni?

Dyrektor **H. Sobierajski:**

— Pracownie są czynnikiem, który bezsprzecznie przyciąga młodzież do naszej szkoły. Nauczyciele nie żałują pomysłów, sprzedają swoją myśl techniczną bezinteresownie, lecz gdyby przeliczyć jej wartość na złotówki...

Wyręczmy dyrektora: wartość wykonanych społecznie pod kierunkiem nauczycieli pomocy naukowych i urządzeń przekroczyła kwotę 6 milionów złotych!

Pracownie pokazywali mi ich współtwórcy, nauczyciele. W tej szkole nie brak „złotych rączek", hobbystów i zapaleńców. Pełną automatyzację urządzeń audiowizualnych, sterowanych z jednego miejsca, osiągnięto już w pracowni elektrycznej. Niespokojnym duchem tej pracowni jest inż. **Tadeusz Grzelak. — Osiem lat temu były tu tylko gołe ściany, ławki i krzesła** — mówi i dodaje skromnie wskazując na zapatrzoną w nauczyciela młodzież — **To wszystko zrobili oni...**

Pracownia stolarska opiekuje się prof. **Lesław Stanny.**

— Wszystko: boazerie, drzwi, meble, modele i pomoce naukowe, to wynik dziewięciu lat pracy uczniów, społecznej i w ramach ćwiczeń z materiałoznawstwa. Czy jest to hobby? Nie, raczej zwykła troska o warsztat pracy — odpowiada pedagog na moje pytanie o motywy działania, a zdanie to wyraża sens zaangażowania wszystkich nauczycieli, którzy — jak T. Grzelak i L. Stanny — niejednokrotnie wiele lat przepracowali w przemyśle, by swoje miejsce odnaleźć na zawsze w pracy szkolnej (a przecież zarobki są tu niższe...).

Także w innych pracowniach: mechanicznej i technologii metali, przedmiotów ścisłych i humanistycznych podziwiam przemyślność, z jaką nauczyciele wespół z uczniami sprzęgli w niezawodny mechanizm różnoraką aparaturę, albo — jak w pracowni budowlanej — wykorzystali przy jej wystroju wszystkie rodzaje i gatunki materiałów: wykładzin, płytek, boazerii, jakie można obecnie spotkać w naszym budownictwie (prawdziwa to lekcja poglądowa!). To co na początku mogło wydawać mi się przechwałką **(„U nas nie ma dwóch identycznych pracowni")**, okazało się autentyczną prawdą.

Wyznawana przez grono pedagogiczne szkoły zasada (a sformułowana w słowach dyr. H. Sobierajskiego: **— Pragniemy, aby uczniowie byli współgospodarzami)** przynosi sukcesy wychowawcze i dydaktyczne, sprawia, że uczniowie nie czują się w szkole obco.

— Internat jest i mamą i tatą i przedsiębiorstwem usługowym, i instytucją kulturalno-rozrywkową — mówi K. Domagałowa.

Rzeczywiście, wszystko znajduje się na miejscu: od pralni przez przychodnię lekarską, stołówkę dla ponad 1100 osób aż po klub „Prefabrykaty". Dwa szkolne internaty (co roku w 214 pokojach mieszka 650 uczniów) utrzymują się w pierwszej szóstce placówek tego typu w Polsce. Pokoje są wygodne, 2-3 osobowe, acz w latach demograficznego wyżu mieszkało tu i dwakroć więcej uczniów. Kiedy odwiedziłem szkołę przy ul. Siemiradzkiego, trwały przygotowania do remontu. Przy okazji gospodarze dali wyraz swym troskom i marzeniom: dobrze byłoby powiększyć ilość szaf w pokojach, urządzić świetlice na każdym piętrze, wybudować łącznik między internatami, a stołówką (dzięki czemu zimą i na przedwiośniu szkolna izba chorych miałaby mniej pracy...), marzy się też wszystkim basen, którego znaczenia — w miejscu gdzie uczy się i mieszka rocznie ponad tysiąc młodych ludzi, pracuje 40-osobowe grono nauczycieli — trudno byłoby zresztą przecenić...

Zespół Szkół Budowlanych jest jedną z nielicznych w województwie zamkniętych placówek tego typu. Zajmuje ona aż 3,5 ha przy skrzyżowaniu ulic: Siemiradzkiego, Chełmońskiego i Podgórnej, tworzą ją 4 budynki: szkoła, stołówka, dwa internaty, uczyło się w niej dotąd 4 tys. osób, zdobywając zawód w szkole zasadniczej, przysposobienia zawodowego — w l. 1968—71, mistrzów i w technikum wieczorowym; w tej chwili szkoła kształci w 8 zawodach, doskonali wiedzę w 4 specjalnościach. Nie ma ona charakteru enklawy. Wprost przeciwnie: zespół ma wysoką ocenę wśród 200 szkół resortu budownictwa w Polsce, jest wielokrotnym organizatorem turnieju „Złotej Kielni" i jego triumfatorem na szczeblu wojewódzkim i centralnym, zwycięzcą szeregu budowlanych spartakiad.

— Nasi uczniowie — mówi dyr. H. Sobierajski — **pracują na 110 budowach w całym kraju. Wszędzie są potrzebni. Odbudowywali Frombork, czego efektem jest przyznanie Szkole Honorowego Obywatelstwa tego miasta, Zamek Królewski. Pracują w Bieszczadach. W Łodzi pomagali uruchomić Fabrykę Domów, ZPDz. „Kalina", pawilony handlowe na Zarzewiu i Teofilowie. Wznieśli żłobek, szkołę i przedszkole, osiedle domków jednorodzinnych. Zobaczyć ich można na budowach Widzewa, Retkini, osiedla Stefana i Dąbrowie...**

— Przez trzy dni w tygodniu nasi uczniowie praktykują na budowach — dodaje dyrektor J. Kwiatkowska.

— Szkoły muszą obsługiwać wszystkie przedsiębiorstwa. Myśli się jednak nad projektem wydzielenia placów budowy dla szkół, które byłyby odpowiedzialne za cały proces budowy. Gdyby projekt ten przeszedł w fazę realizacji, najchętniej podjęlibyśmy się opieki nad budową całego osiedla domków jednorodzinnych na Dąbrowie.

Łódzki **Zespół Szkół Budowlanych** promieniuje na całe (nie tylko łódzkie) szkolnictwo zawodowe, dostarczając innym wzory do naśladowania. Nie ma tygodnia, by ktoś nie odwiedzał szkoły: z władz, nauczycieli, prasy, z absolwentów i przyjaciół z zagranicy. Tym którzy swoją edukację zaczęli od stopni najniższych szkoła daje zbiór szans dalszego rozwoju, nie zamykając przed swymi wychowankami dostępu do nauki w technikum i Szkole Mistrzów. Wielu absolwentów szkoły, nakładem wielkiej pracy i wyrzeczeń skończyło studia. **Od 12 stycznia 1978 roku szkoła nosi imię Władysława Reymonta**, który pisał:

„Jeśli praca moja przyniosła Polsce pożytek, to spełniłem tylko mój obowiązek wobec Ojczyzny...".

Myśli swego patrona szkoła zawdzięczać będzie z pewnością wciąż nowe inspiracje. By zrealizować wszystkie stojące przed nią szanse.

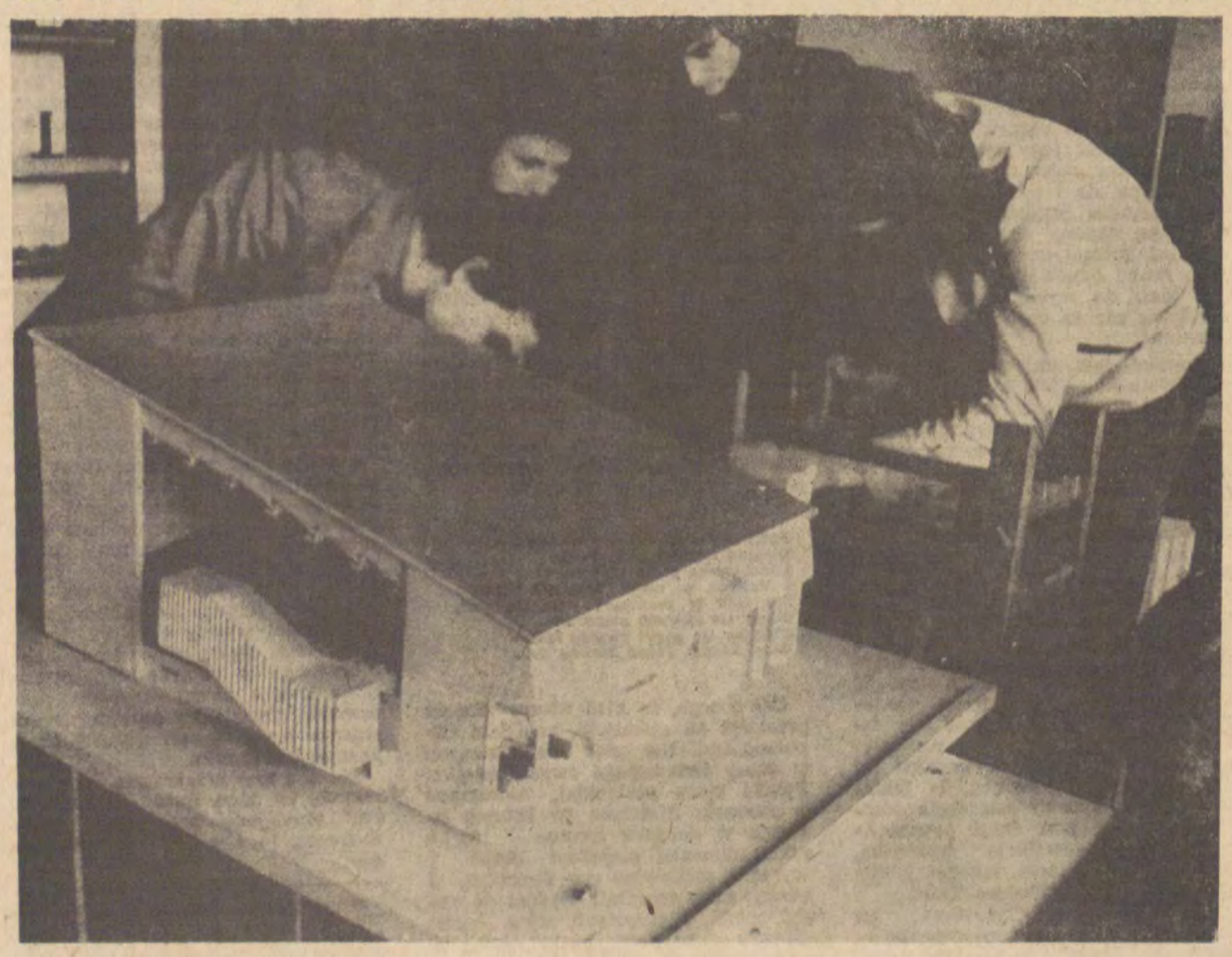

Foto: W. Parys

Rozpoczął się Mundial 78. Wszyscy – i ci, którzy się do tej pory piłką nożną interesowali, i ci, których ona niewiele obchodziła – będziemy śledzili z wypiekami na twarzy losy polskiej drużyny. Będziemy się cieszyli, jeśli nasz zespół będzie zwyciężać i martwić się, jeśli będzie przegrywać. A przede wszystkim, przed każdym meczem będziemy skrupulatnie rozważali szanse polskich piłkarzy i zadawali pytanie: z czym Jacek Gmoch pojechał do Argentyny?

Żeby ułatwić te rozważania, przedstawiamy fragmenty książki Jacka Gmocha „Alchemia futbolu".

KOREPETYCJE Z PIŁKI NOŻNEJ

Co nas pociąga w piłce nożnej?

„Piłka nożna jest nie tylko łatwa w uprawianiu, ale i w odbiorze. I to bez względu na poziom intelektualny widzów. Jest to zresztą gra w równej mierze prosta, jak i skomplikowana. Można ją porównać do szachów, do gry wojennej, można stworzyć — i stworzono zresztą — wokół piłki nożnej całą filozofię. Można w nieskończoność interpretować poszczególne mecze i akcje. To wszystko szalenie wciąga ludzi. Ale najbardziej wciąga ich przypadkowość. Ten czynnik występuje wprawdzie w każdym sporcie, lecz w żadnym nie jest spotęgowany do tego stopnia, co właśnie w futbolu. Bowiem w żadnym z innych sportów człowiek nie posługuje się do tego stopnia nogami, co w tej grze. A nogi, wiadomo, nie są tak precyzyjne jak ręce. Stąd ogromna przypadkowość. A z niej z kolei wypływa następna znamienna cecha, a mianowicie to, że wszyscy postronni obserwatorzy w równym stopniu mogą mieć w futbolu rację, jak i mylić się. Każdy kibic, obojętnie, czy to robotnik, czy profesor, z jednakowymi szansami może przewidzieć wynik tego czy innego meczu, razem mogą się pomylić, razem odgadnąć".

Trener musi to widzieć inaczej

„Jeszcze nie tak dawno, kilkadziesiąt lat temu, sport był w powijakach i o żadnych analogiach z grą wojenną nie mogło być mowy. Z czasem jednak, gdy sportowe zwycięstwo zaczęło nabierać coraz większego znaczenia, pojawiły się i w sporcie militarne pojęcia taktyki i strategii. Dziś, niemal każdy mecz piłkarski, poprzedzają czynności wzięte z arsenału przygotowań wojennych, a więc kształtowanie nastrojów społeczeństwa, przeprowadzenie zwiadu i rozeznanie sił przeciwnika, ustalenie sposobu gry, wreszcie kierowanie walką, reagowanie na to, co się dzieje w jej toku, rzucenie na pole gry rezerw, jakie się posiada. Bardzo podobnie zresztą przeprowadza się sztabowe operacje, z tym tylko, że w sporcie zamiast mapy używa się makiety boiska i na niej demonstruje ustawienie defensywy i ofensywy, zasady krycia itd., itp. Oto z grubsza biorąc, elementy, które uzasadniają to porównanie, wiecej, rzutują na psychikę ludzi zajmujących się sportem głównie na trenerów, którym przychodzi rozgrywać partię i których za to bardzo bezpardonowo się rozlicza. Dla trenerów zatem, a więc i dla mnie, sport jest grą wojenną".

„(...) Nie lubię, nie chcę, nie znoszę przegrywać. Nie wiem też, skąd się nagle wzięła opinia, że dzielę mecze na ważne i mniej ważne, takie, które można przegrać. Ukuto te teorie w 1977 roku, może i nawet w dobrej wierze, dla mojej obrony, kiedy reprezentacja Polski przegrała pięć spotkań towarzyskich — z Węgrami, Argentyną, Brazylią, Austrią i Związkiem Radzieckim — wygrywając jednocześnie mecze z Danią, Portugalia i Cyprem, w ramach eliminacji do mistrzostw świata. (...) Chcę podkreślić, że do wszystkich spotkań mistrzowskich i towarzyskich przygotowywałem drużynę niezwykle starannie, w pełnej świadomości, że gram z bardzo trudnymi przeciwnikami i to zawsze na obcym polu gry; chciałem wygrać i robiłem wszystko w tym celu, a po przegranej byłem wściekły, zły i kosztowało mnie to w sumie bardzo wiele. Z tym tylko, że w momencie przegrania, w oparciu o klasyczną zasadę gry wojennej, że można, a nawet trzeba czasem przegrywać bitwy po to, aby wygrać batalię, starałem się natychmiast wyciągać wnioski i przegrupowywać siły. Wszak z wyjątkiem drużyny Związku Radzieckiego, której klasy nie trzeba podkreślać, z wszystkimi czterema drużynami spotykamy się w finale mistrzostw świata w Argentynie i wtedy właśnie te porażki, które tak mi zaszły za skórę, powinny obrócić się na naszą korzyść".

„Tajna broń" Kazimierza Górskiego

„Jeśli idzie o naszą drużynę, to na mistrzostwach świata szczególnie zaimponowali boczni obrońcy: Antoni Szymanowski i Adam Musiał, którzy kapitalnie przechodzili do ataku. Te świetne rajdy okazały się później fatalne w skutkach. To one zaważyły na tym, że w ostatnich latach zabrakło u nas bocznych obrońców — destruktorów. Przyjęto bowiem ogólnie, że polska szkoła nowoczesnej gry stawia przed bocznymi obrońcami głównie zadania ofensywne, a więc konstruowanie akcji i strzelanie na bramkę. Nasi obrońcy poszli za ciosem, rwali do przodu, zapominając, że mimo wszystko pierwszym i podstawowym obowiązkiem bocznego obrońcy jest jednak gra destrukcyjna. Działania naszych bocznych obrońców na mistrzostwach świata zostały szybko rozszyfrowane i wkrótce potem zaczęliśmy przegrywać mecze. Zaraz po mistrzostwach świata pokonali nas Francuzi i piłkarze NRD, a potem przyszły dalsze porażki. Bo nie mieliśmy dobrze grającej destrukcyjnie obrony".

Czy liga przeszkadza reprezentacji? Czy reprezentacja przeszkadza lidze?

„Uważam, że w tej chwili wszystkie nasze czołowe kluby stać na to, aby dobrze przygotowały zawodników do sezonu pod względem cech motorycznych. A tak, niestety, ciągle jeszcze nie jest, choć przecież w styczniu i lutym piłkarze bardzo ciężko pracują i niejednokrotnie trenują trzy razy w ciągu dnia. Otóż niedostateczna praca klubów w dziedzinie budowania cech motorycznych rodzi następną niezgodność interesów. Zły byłby to trener reprezentacji, który w swoich planach nie uwzględniłby krótkiego zgrupowania na początku sezonu w celu sprawdzenia stopnia wytrenowania. Przecież zawodnicy z różnych klubów reprezentują różny stan formy. Konieczne jest podciągnięcie jej u słabszych, wyrównanie. A liga już gra. Trener reprezentacji natomiast nie może brać pod uwagę tego, że jeden i drugi piłkarz ma pojutrze ważny mecz. Pracuje nad tym, aby właśnie ci zawodnicy nie zawiedli za trzy lub cztery tygodnie w ważnym meczu międzypaństwowym, przypuśćmy, w eliminacjach mistrzostw Europy. Otrzymują więc na zgrupowaniach zwiększone zadania treningowe, jadą na mecz ligowy i grają słabiutko. Kto winien? Reprezentacja? Nie! Klub! Bo trener kadry musiał po prostu zrobić to, czego nie zrobił ktoś inny".

„(...) A w ogóle paradoks polega na tym, że dobrze ukształtowane już na początku sezonu cechy motoryczne w równej mierze procentują w klubie, jak i reprezentacji, a zatem nie ma konfliktu między klubem i reprezentacją. Jest natomiast i zawsze będzie konflikt między złą i dobrą robotą. I tu nie ma, i nie będzie kompromisu".

Czy Jacek Gmoch posiada „tajną broń"?

Nikt się chyba nie spodziewa, że Jacek Gmoch ujawnił w swojej książce zamiary, taktykę i strategię, jakie przygotował na mistrzostwa świata w Argentynie. Ale przedstawione w dalszym ciągu fragmenty jego książki pozwolą zrozumieć i domyśleć się, że nie pojechał tam z pustymi rękami. Autor „Alchemii futbolu" wyjaśnia bowiem, do czego były mu potrzebne tak często krytykowane metody, jakimi się posługiwał przygotowując polską reprezentację. Oto, jak komputer pomógł polskiej drużynie wygrać eliminacje.

„Od chwili przyjazdu do Polski i objęcia funkcji trenera reprezentacji, do pierwszego meczu eliminacyjnego rozgrywek o zakwalifikowanie się do finałów mistrzostw świata, miałem sześć tygodni czasu. W środowisku sportowym panowało duże zdenerwowanie, drużyna była w rozsypce, oczekiwano ode mnie, że zapanuję nad wszystkim i poprowadzę zespół do zwycięstwa nad Portugalią w Porto. Poprzeczkę miałem ustawioną z miejsca wysoko, nie było natomiast czasu na rozbieg".

„Zdawałem sobie sprawę, że muszę ten mecz wygrać. Po to mnie przecież ściągnięto ze stypendium w Stanach Zjednoczonych. Gdyby sytuacja w polskim futbolu nie była tak złożona i zła, zapewne nie mnie powierzono by funkcję trenera reprezentacji. Byłem świadomy tego stanu, podejmowałem ryzyko. Taka była cena realizacji jednego z moich wielkich marzeń. Przegranie pierwszego meczu z miejsca spychało nas w dół i czyniło Portugalię faworytem grupy. Pamiętam też o tym, że zremisowany w Rzymie z Włochami pierwszy mecz eliminacji do mistrzostw Europy przekreślił w 1975 roku szanse Polski na wyjście z grupy. Tego jednego punktu w żaden sposób potem nie udało się odrobić. Przebieg rozgrywek udowodnił zresztą, że gdybyśmy w tym pierwszym meczu w Porto stracili nawet jeden punkt, to stałoby się tak samo i do Argentyny pojechałaby w końcu reprezentacja Portugalii, a nie Polski. Wiedziałem o tym doskonale, bo zaraz po przyjeździe do Warszawy odszukałem swego serdecznego przyjaciela i długoletniego współpracownika, inż. Wojciecha Skoczka, matematyka, specjalizującego się w dziedzinie informatyki i na komputerze przeliczyliśmy wszystkie możliwości układów w naszej grupie. Dania, Cypr, Polska i Portugalia miały w sumie rozegrać 12 spotkań. Z tego odbył się już jeden mecz. Dania rozgromiła Cypr 5:1 i pozostawało jeszcze jedenaście. Kalendarz spotkań był ułożony w taki sposób, że najbardziej sprzyjał Portugalii. Zaczynali u siebie meczem z nami, kończyli zaś rozgrywki jesienią 1977 r. meczem w Polsce i potem u siebie grali jeszcze z Cyprem. Ta drużyna była najstarsza w grupie i Portugalczycy zachowali dla siebie możliwość zdobycia — przy ewentualnej równej ilości punktów — tylu bramek, ile w razie czego będzie potrzeba. Z kalendarza rozgrywek wywnioskowałem, że trener Portugalczyków, Pedroto, jest mądrym człowiekiem i dobrym dyplomatą, bo wynegocjował najbardziej sprzyjający dla swojej drużyny rozkład. Komputer wyliczył, że awansujemy przy zdobyciu 10 punktów na 12 możliwych, pod warunkiem, że nie stracimy tych dwóch punktów z drużyną X, która zabierze 3 punkty drużynie Y. Tą drużyną X mogła być wtedy jeszcze i Dania i Portugalia. Zakładałem, że będzie nią Portugalia i nie omyliłem się. W każdym razie na samym wstępie rozgrywek stanęliśmy przed zadaniem wygrania za wszelką cenę pierwszego meczu. Potem sytuacja rozwijała się w taki sposób, że każdy mecz musieliśmy wygrać i dopiero w ostatnim spotkaniu, właśnie z Portugalią, starczał nam do awansu remis".

Jak i kiedy strzelać bramki?

„Ciekawe jest zestawienie, obrazujące, z jakich akcji reprezentacja Polski strzeliła swoje 17 bramek w 6 meczach eliminacyjnych do mistrzostw świata:

— stałe fragmenty gry	— 6
— atak szybki	— 2
— atak pozycyjny	— 9

Nie było w tych meczach ani jednej bramki przypadkowej, ani też z akcji indywidualnych, co oczywiście ma swoją wymowę i świadczy o klasie przeciwników".

„(...)W strzelaniu bramek, moim zdaniem, najważniejsza jest wyobraźnia. W naszej lidze, a także w zagranicznych są tacy piłkarze, którzy jakby bezproduktywnie poruszają się przez cały mecz, ale właśnie oni, w przedziwny sposób, nagle znajdują się w samym środku najważniejszych wydarzeń, zdobywają bramki i wygrywają mecze. Ot, weźmy choćby Kmiecika czy Szarmacha, a w pewnej mierze i Grzegorza Latę, aczkolwiek trzeba tu z miejsca dodać, że ma on wspaniałe predyspozycje motoryczne, nigdy nie „pęta się" bezcelowo po boisku i zawsze znajduje dla siebie zajęcie, dobrze wywiązuje się ze wszystkich trzech rodzajów działań, ale przy tym wszystkim, dzięki wielkiej wyobraźni, zawsze znajduje się w podbramkowej sytuacji, którą nb. sam stwarza".

„(...) Wspomniałem (...) o pozornie „pętających się" napastnikach. Często krytykuje się ich za to, że w ciągu meczu mają wiele doskonałych podbramkowych sytuacji, lecz nie potrafią ich wykorzystać. Jest to co najmniej mylne. Być może faktycznie brakuje im jeszcze skuteczności w wykorzystaniu tych sytuacji, ale to, że się w nich znajdują, stwarzają je nawet, świadczy o ich wyobraźni. A to już bardzo dużo. Skuteczność można bowiem poprawić, znacznie trudniejsze natomiast, a czasem wręcz niemożliwe, staje się rozbudowanie wyobraźni. Kto nie potrafi, znaleźć się w sytuacji, w której zdobywa się bramki, ten raczej już się tego nie nauczy. A jeśli nawet, to będą to przysłowiowe ziarna trafiające się ślepej kurze".

„(...) Dziś w futbolu trzeba przewidywać nawet niemożliwe sytuacje. Jednym z piłkarzy, który potrafi stwarzać takie niemożliwe w zasadzie do przewidzenia sytuacje, jest Grzegorz Lato. I z tego powodu strzela on tyle bramek. Ale dzieje się to ze względu na jego niebywałe cechy motoryczne. Obrońcy, opierając się na znajomości swoich możliwości fizycznych, oceniają niektóre sytuacje jako z góry przegrane. Ich zdaniem nikt nie potrafi dogonić tej piłki, musi ona wyjść w aut. A Lato dochodzi ją z łatwością, sam strzela, lub stwarza sytuację i jest gol! Szybkość i kondycja Laty przekraczają bowiem wyobraźnię obrońców, którzy z nim walczą. O ile Lato zaskakuje obrońców szybkością, o tyle słynny Gerd Müller — siłą i statyką".

„(...) Kiedy, w jakim okresie gry, najczęściej padają bramki? Tym problemem zajmował się swego czasu mgr Lubomir Kolarz. Z jego badań, opartych na rezultatach rozgrywek naszej ligi oraz mistrzostw świata w 1970 i 1974 roku i opublikowanych na łamach „Kultury Fizycznej" wynikało, że w pierwszej połowie meczu strzelano 43 proc. goli, a w drugiej 57 proc. Na szczególną uwagę zasługuje okres między 61 i 75 minutą gry oraz między 16 i 30 minutą. Według obliczeń Kolarza padło wtedy najwięcej bramek. Najmniej natomiast między 31 i 45 minutą. Myślę, że nie bez znaczenia jest tu psychiczne zmęczenie obrońców w pewnych fazach gry i następnie mobilizowanie się po straceniu bramek".

Czy był potrzebny rekonesans w Argentynie?

„Bardzo źle mówiono i pisano latem 1977 roku o podróży reprezentacji Polski do Ameryki Południowej i rozegranych tam meczach, a zwłaszcza dwóch najważniejszych, z Argentyną i Brazylią, przegranych w identycznym stosunku 1:3. Ze wszystkich naszych 10 spotkań właśnie te dwa były transmitowane przez telewizję i powszechnie oglądane w Polsce. Na podstawie tych dwu meczów ukształtowała się też negatywna opinia o całym tournee, sięgająca aż do skrajnego sformułowania „nagłej śmierci" polskiego futbolu, która nastąpiła na boisku w Sao Paulo w zamykającym naszą wyprawę spotkaniu z Brazylią".

„(...) Tournee stanowiło kolejny etap montowania drużyny na mistrzostwa świata i głównym celem było rozpoznanie kraju i aren tej najważniejszej dla nas imprezy. Powtarzam tę oczywistą prawdę aż do znudzenia, bo zapomniano o niej w Polsce pod wpływem dwóch przegranych spotkań. Nikt nie lubi przegrywać, a ja zwłaszcza, ale porażki mają czasem wręcz zbawienny wpływ. Argentyńczycy i Brazylijczycy wyrównali porachunki z Polską, wzięli rewanż za porażki, jakie ponieśli z naszymi piłkarzami na mistrzostwach świata. Mamy teraz z nimi nowe konto. I obecnie polscy piłkarze, a nie oni, pałają żądzą wzięcia rewanżu. W psychologicznej sferze oczekujących nas spotkań z Argentyną czy Brazylią jesteśmy w lepszym położeniu".

Foto: Archiwum

Przedstawiliśmy fragmenty Alchemii futbolu" Jacka Gmocha w nadziei, że pomogą one kibicom lepiej zrozumieć jego intencje i inaczej patrzeć na grę polskiego zespołu.

A jak będzie w Argentynie, przekonamy się sami.

Oprac. B.M.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

KOLEJ PRZEDŁUŻA ŻYCIE

Starzy ludzie powiadają, że dawno temu według polskiej kolei można było wyregulować zegarek. Przez wiele lat uważałem to za przesadę, później pojechałem na Zachód i zrozumiałem, że na podstawie tamtejszych pociągów można także wyregulować obserwatorium astronomiczne w Krakowie.

Dworcowe zegary w RFN i Holandii mają nie tylko dwie główne wskazówki, ale również sekundnik, który nie jest bynajmniej ekstrawaganckim dodatkiem. Pociągi odchodzą i przychodzą co do sekundy, pewnie dlatego, że są niebywale drogie i że kapitaliści nie lubią zwracać pasażerom pieniędzy ze ewentualne spóźnienie.

U nas pociągi nie są takie drogie, pieniędzy nikt nigdy nikomu za spóźnienie nie zwrócił, dlatego też rozkład jazdy jest w zasadzie czczą formalnością — korzystają z niego tylko ci, którzy muszą wypełnić delegacje.

Urzędników to my mamy dobrych, lubią, żeby się wszystko zgadzało. Nikt nie zastanawia się nad tym, że zmuszają każdego dnia owi kochani urzędnicy (a ich znowu zmuszają przepisy) tysiące, ba! setki tysięcy obywateli do kłamstwa. Piszesz przecież na druczku delegacyjnym, że wyjechałeś z Łodzi do Warszawy pociągiem pospiesznym o godzinie 6.55 (co nieraz się zgadza), a przyjechałeś na Dworzec Centralny o godzinie 8.45 (co nie zgadza się już nigdy). Piszesz tak, i rozliczają ci delegacje, i wszystko jest w porządku. Gdyby porównać delegacyjne druczki z oficjalnym rozkładem jazdy, wyszłoby na to, że mamy najpunktualniejszą kolej na świecie. Nie wykluczone, że jakiś kolejowy historyk dojdzie do tego wniosku za tysiąc lat, tymczasem jednak to, co dzieje się w naszym kolejnictwie, jest pospolitą grandą.

Zamiast chodzić co do sekundy, pociągi chodzą co do godziny, co do dwóch godzin, a zimą, kiedy pada ten cholerny śnieg, także co do siedmiu — ośmiu godzin. Polacy nie są narodem pokornym, ale zdążyli się już do tego przyzwyczaić. Zdążyło również przyzwyczaić się do tego Państwo, i tu właśnie zaczyna się dramat.

Chciałbym niniejszym udowodnić, że kolej działa przede wszystkim na szkodę Państwa. Szukamy rezerw produkcyjnych — oto one! Nie na śmietnikach leżą, tylko w pociągu, który zatrzymał się w szczerym polu pod semaforem.

Publicystyka jest dobra, ale zawsze lepszy jest reportaż: fakt, konkretny przypadek. Oddajmy mu zatem głos:

Wyjechałem do Warszawy o 6.55 i elektryczna lux-torpeda, wypełniona delegacyjnym tłumem, spóźniła się równą godzinę. Było to szesnastego maja bieżącego roku — nie wiem, ilu ludzi spóźniło się tego dnia na narady w Zjednoczeniu, na konferencje w Ministerstwie, na rozmowę w Komitecie Centralnym. Nie wiem, kto się w związku z tym naraził, a kto został usprawiedliwiony, wiem natomiast, że władzom kolejowym włos nie spadł z głowy. Zapewne nikt nie zadzwonił w tej sprawie do Pana Ministra, bo musiałby dzwonić codziennie.

Tego samego dnia, o godzinie 15.30, udałem się w drogę powrotną do Łodzi pociągiem osobowym. Na odcinku: Warszawa — Skierniewice pociąg ten ma przydomek „przyspieszony" i zatrzymuje się tylko w Żyrardowie. Mineliśmy zatem szczęśliwie Żyrardów — pierwsza klasa wypełniona, druga zapchana — jedni do pracy jadą, inni z pracy, upał, duchota, każdy zerka co chwila na zegarek, i nagle, cztery czy pięć kilometrów przed Skierniewicami pociąg zatrzymał sie na amen.

Foto: R. Raszyński

Pierwsze minuty nie były specjalnie przykre. Każdy pocieszał się w duchu, że zaraz ruszymy, nadrobimy. Nie ma przecież śniegu na torach — sucho, pogodnie, idealne warunki kolejowe. Po dwudziestu minutach niektórzy pasażerowie zaczęli zdradzać oznaki zniecierpliwienia. Po dalszych dwudziestu wielu ludzi wysiadło z wagonów — część podjęła pieszą wędrówkę do miasta, inni położyli się w trawie obok nasypu, jeszcze inni zaczęli drwić, szydzić, bluzgać pod nosem. Klasa pierwsza przemieszała się z klasą drugą, robotnicy z inteligencją, studenci z uczniami, duża grupa włókniarek rozpoczęła między sobą dialog, z którego wynikało, że wczoraj, 15 maja, ten sam pociąg również się spóźnił — ot, zatrzymał się w polu, jeszcze dalej od miasta.

Postawy ludzi podzieliły się na konsumpcyjne i zaangażowane. Jedna z kobiet, typowa śmieszka wagonowa, powiedziała otwarcie:

— Ja tam się nie martwię, kobity! A co mnie za różnica, czy w pociągu siedzę czy w robocie. — Po czym rozłożyła sobie lotnicze siedzenie i usiłowała zasnąć.

Inna, młoda kobieta mówiła z troską:

— Tak się nie godzi. My w pociągu, inni muszą za nas pracować, potem planu nie wyrabiamy, po premiach biją. Wolę już stać przy maszynie, niż dusić się w wagonie. Sześć razy w tym miesiącu nawaliłam, majster się wścieka...

— Ja tam zaraz pójdę do kadr — wtrąciła jeszcze inna robotnica. — Niech mi za te postoje dadzą dzień wolny!

— Akurat ci dadzą!

— To pójdę do dyrekcji.

— Dyrektor na dworcu nie czeka, pociągów nie sprawdza.

— Jak spóźniam się do roboty — powiedziała młoda, przystojna dziewczyna — to najwyżej opieprza mnie szef. Gorzej, kiedy pociąg stanie, kiedy wracam do domu. Mam zazdrosnego chłopa i od progu zaczyna: — Włóczysz się gdzieś, łachudro, po nocach, myślisz sobie, że uwierzę w te pociągi?... Wczoraj pociąg, przedwczoraj pociąg, jak cię szlag trafi, to nauczysz się przychodzić na czas!

— Powiedz mu, żeby przychodził na stację.

— Akurat mu się chce! Trzy kilometry piechotą.

Pociąg gwizdnął i ruszył niespodziewanie po 50-minutowym postoju. Większość pasażerów westchnęła z ulgą. Te robotnice, które siedziały w pierwszej klasie, a nie miały do tego prawa, wyszły przezornie na zatłoczony korytarz, bo konduktor, wiadomo, może wrzucić karę. Ujechaliśmy 200, może 300 metrów, i zatrzymaliśmy się znowu.

Mężczyzna, który miał przesiąść się w Koluszkach na jakiś inny pociąg i wiedział już, że w żaden sposób nie zdąży, wybuchnął ze wściekłością:

— Kiedyś w Rumunii była wielka katastrofa kolejowa, zabici, ranni, żałoba! Może winny był pijany dróżnik może zmęczony maszynista, ale najwięcej dostało się szefowi resortu. Zdjęli go od ręki. Może był Bogu ducha winien, ale go zdjęli. I słusznie! Potrzebny jest taki szef, który umie zapobiegać przypadkom. Żeby u nas zrobić czystkę na stołkach, też by pewnie było mniej spóźnień, nie musiałbym teraz czekać do rana w Koluszkach.

Przypomniałem sobie „Nocny lot" Antoine de Saint-Exupery. Tam również była ta myśl: jeśli samolot się spóźnia, winny jest człowiek i karany jest człowiek. Nie ma znaczenia, czy spóźnia się w wyniku złych warunków atmosferycznych — nie zdążyć. Nie ma znaczenia, czy miał awarię, czy wpadł w strefę burzową czy rozchorował się ktoś z załogi. Ma zdążyć na przekór sobie i pogodzie. Słowo „pech" nie istnieje, za wszystko się płaci.

Pociąg znowu zaczął się kolebać i po paru minutach byliśmy już na przedmieściach Skierniewic. Przez okna widzieliśmy tych, którzy wysiedli wcześniej i podjęli pieszą wędrówkę do miasta w niesłusznym przeświadczeniu, że będą pierwsi. Spoceni, zziajani, jedni z teczkami, inni z walizkami, człapali ścieżynką, która wiła się wzdłuż torów.

Gość o twarzy mądrego, świadomego sprawy robotnika, mówił z goryczą:

— Ile ludzkich sił marnuje się, ile czasu! Gdyby jednego tylko dnia policzyć wszystkie spóźnione pociągi i zsumować ludzi, którzy spóźnili się do roboty, a później jeszcze obliczyć na maszynie, ile ten stracony czas kosztował (tysiące biur, fabryk i urzędów), wyszłyby miliony. A taki zmęczony, zdenerwowany człowiek, co wyskakuje z wagonu i dochodzi parę kilometrów pieszo, też nie będzie robił jak trzeba, szczególnie na nocnej zmianie. Może zasnąć przy maszynie, może ulec wypadkowi przy pracy...

— A jak człowiek spóźnia się wieczorem do domu — poparł go inny robotnik — też mu to następnego dnia bije na formę. Nie wyśpi się, jak należy, nie wypocznie, z żoną się jeszcze pokłóci. Wczoraj ze złości przylałem dziecku. I za co? Że sobie trochę pohasało w łóżku, zamiast spać? Uderzyłem, a teraz boli mnie serce. Dzisiaj miałem iść z chłopami na gorzałę, ale nie pójdę, kupię za to dziecku jakąś zabawkę, żeby mi winy nie zapomniało...

— To kolej winna, nie pan.

— Tak się mówi, ale moja ręka bija.

— To przyłóż pan teraz kolei!

Trochę śmiechu. Potem stacja. Jedni zmęczeni ludzie wysiedli, drudzy równie zmęczeni, wsiedli. I ruszyliśmy w dalszą drogę, zatrzymując się na wszystkich małych i dużych, stacjach; niekiedy w polu, w lesie, przed światłami. Spóźnienie, rzecz jasna, nie zmniejszało się, lecz rosło, i wszystkich nas — robotników, chłopów, uczniów, studentów — szarpały nerwy.

Postanowiłem, że napiszę o tym reportaż. W chwilę później pomyślałem, że nie ma to większego sensu. Dużo już było reportaży, artykułów, listów, skarg, monitów — nie przyniosły, jak dotąd, żadnych zmian.

Kolej spóźnia się programowo. I będzie się spóźniać. Gdyby panowie z władnych urzędów częściej jeździli pociągami może wyregulowaliby je trochę dla własnej wygody. Bo, jak pragnę zdrowia, można je wyregulować! Chodzą punktualnie w Związku Radzieckim, chodzą w Czechosłowacji i w Jugosławii, dlaczego nie miałyby chodzić w Polsce?

Czym tłumaczą się kolejowi specjaliści? Bólem głowy? Chronicznym rozstrojem żołądka? Tory podobno mamy niezłe, składy i lokomotywy też. Zaśmiecone korytarze, brudne przedziały, zapaćkane szyby, poobrywane firanki, kible do których nie można wejść bez maski gazowej złodziejskie bufety WARSU, w których bigos (przegląd tygodnia) kosztuje dwadzieścia pięć złotych — wszystko to na szybkość pociągu nie ma żadnego wpływu i jest zupełnie innym problemem, podobnie jak łapówkarstwo rozpowszechnione wśród konduktorów i rewizorów.

Pewnie, że stosując rygory wojskowe, dobry, bojowy żołnierz musi być także czystym i uczciwym żołnierzem. Dlatego idzie się do aresztu za brudne buty i brak guzika. W wypadku kolei nie można stosować przecież takich sankcji.

Punktualność! Przede wszystkim obchodzi nas punktualność. Dlatego też mam czelność donieść kompetentnym władzom bez uśmiechu i serdeczności, że wybrany przeze mnie wyrywkowo pociąg osobowy-przyspieszony, który opuścił Dworzec Centralny w Warszawie o godzinie 15.30, zameldował się na Dworcu Łódź Fabryczna o godzinie 19.10. Podróż trwała zatem bez mała cztery godziny. Działo się to we wtorek, szesnastego maja bieżącego roku.

Ryszard Binkowski

FUTRO... SERIAL

TEMAT NA SZYBKO

1.

Od dziesiątego roku życia wychowywała ją babka. Było źle, biednie, nieprzyjaźnie. Wagarowała, uciekała z domu, kilka razy targnęła się na własne życie. Żałuje, że próby były nieudane, bo przestałaby się wreszcie męczyć.

Ma dwadzieścia siedem lat, lecz nigdy jeszcze nie pracowała dłużej niż miesiąc, chociaż ukończyła zawodówkę i jest krawcową. Musiała rzucać pracę, ponieważ niszczyli ją psychicznie. Kurator, zamiast ją ochraniać, odkrywał przed wszystkimi jej karalność.

Z tych nerwów stała się tak roztrzęsiona i nerwowa, że trafiło się jej panieńskie dziecko, które liczy teraz trzynaście miesięcy. Dzieckiem zajmuje się babcia. Ma siedemdziesiąt dwa lata.

— Czy ona się do tego nadaje? Dziecku potrzebna czułość i opieka. Ono wymaga mojej matczynej troskliwości.

— Babcia pewnie bogata?

— Tysiąc sześćset renty. Ale ja sobie wypraszam! Ja nie pracuję, ale pomagam babci finansowo, trudniąc się prostytucją.

— I skubaniem facetów.

— To na tle nerwowym. Proszę sprawdzić kartę choroby.

— Recydywa.

— Ona z tego krzyku i wypominania mi nieślubnego dziecka. I przez kuzynkę, która podjudza przeciwko mnie babkę. Musiałam uciekać z domu i szukać noclegu u obcych. A teraz moja depresja pogłębia się strasznie. Stale myślę o synku. Chciałabym go porządnie wychować, żeby nie wszedł na złą drogę, na którą ja tak niebacznie wstąpiłam.

— Futro rąbnęła Anka?

— Jest do mnie podobna wzrostem i figurą, tylko włosy ma tlenione, z odrostami. Myślałam, że jak zwalę na nią, to mnie zwolnią z Komendy, pojadę do Strzelców Opolskich i odbiorę.

— A forsa na wykup?

— Przepuściłam. Ale tego to ja bym spłacić na raty w naturze...

— Na pewno?

— Jestem przekonana, że futro otrzymałam w prezencie za odbycie stosunku płciowego.

Ewka ma ciemne, tłuste włosy, podniszczoną alkoholem beznamiętną twarz.

Jest psychopatką.

Dla prawników psychopatia nie jest chorobą psychiczną.

Ewka siedzi po raz trzeci. Tym razem za futro. Można wykroić z tego serial, albo „fabułę", zależnie od inwencji reżysera.

2.

Znakomity cieśla, Kazimierz J., od poniedziałku do piątku harował po dziesięć godzin na budowie szpitala w Warszawie. Soboty i niedziele miał wolne, toteż z trzema tauzendami w kieszeni jak panisko zjeżdżał na weekend do rodzinnego miasta i szalał, albowiem chatę miał również wolną, gdyż z żoną żył w separacji.

Tego sobotniego wieczoru zderzył się w bramie z Janem R., kolesiem z lat szkolnych, i wdepnęli do knajpy, gdzie „przewrócili ćwierć żyta". Wlekli się później markotni ulicą, aż ich oślepiło radośnie światło nad drzwiami „Stylowej". Weszli, usiedli w drugiej części sali przy stoliku na wprost bufetu i starszy ober Władek podał im ćwiatkę z zagrychą.

Jedzą, piją, gdy z ciemności nocy napływają cztery wędrownice: trzy czarniawe plus tleniona z odrostami. Siadają, jedzą skromną kolację i puszczają lustrujące spojrzenia. W odzewie Kazik z Jankiem zaczynają mrugać i puszczać kawalerskie oczka.

Kazik wstaje i krokiem warszawskiego salonowca zbliża się do grającej szafy. Ładuje ją pewnie i puszcza coś takiego rzewnego, że się serce kraje z miłości. Staje przy stoliku nocnych wędrownic i zagaja wytwornym tonem:

— Kicie! Czy nie miałybyście przyjemności w naszym towarzychu?

— A po co? — pyta mniej wytwornie znana z imienia Janka.

— Na preludium po lufie odpalić — rzecze dwornie Kaziu.

Panie się krygują. Ale jedna drugą popycha figlarnie do stolika z fundacją, ober starszy Władek taszczy zaraz „pół metra żyta" pod zielone jaja na twardo w kwaśnym majonezie i zaczyna się bankiet.

Akcja toczy się teraz wartko. Ka-

Z ŁODZI NAJBLIŻEJ

Rozmowa z dyrektorem łódzkiego oddziału Przedsiębiorstwa Domy Towarowe „Centrum" – DIONIZYM SOBCZYKIEM

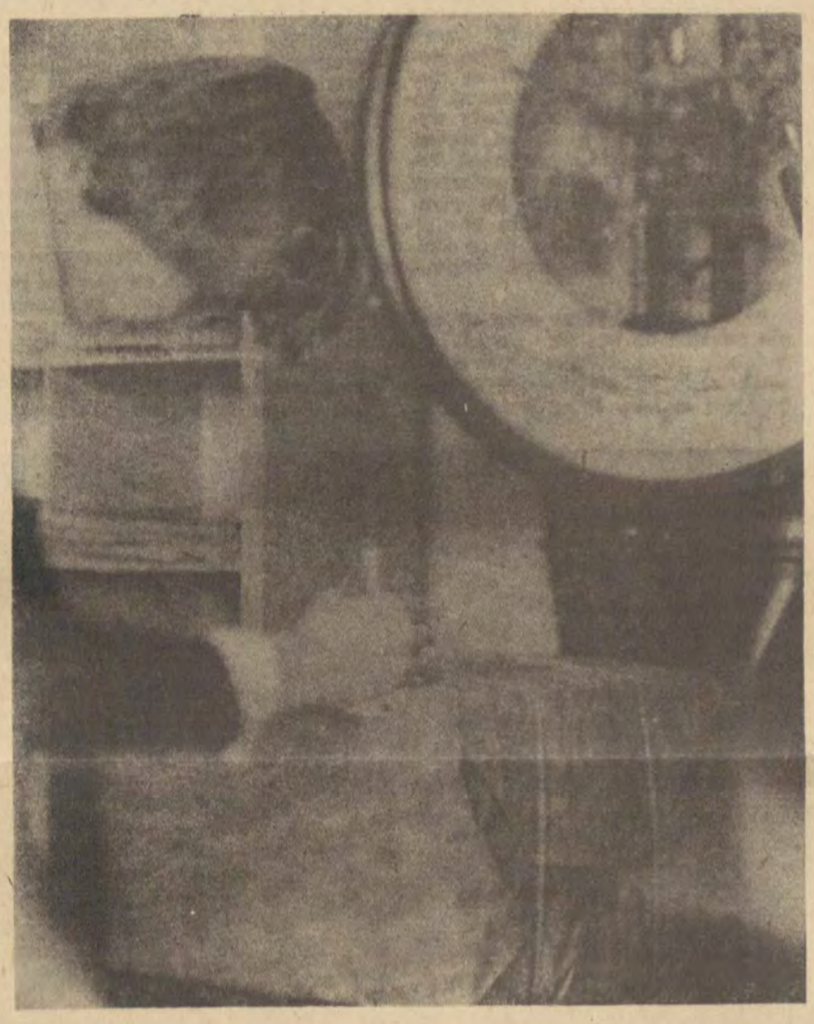

Foto: W. Parys

— Kiedy i dlaczego powstał w Łodzi Dom Sprzedaży Wysyłkowej?

— W ubiegłym roku — mówi dyrektor Dionizy Sobczyk — obchodziliśmy 15-lecie pracy DSW, a więc instytucja ta ma już 16 lat. Powstała w 1962 roku.

Dlaczego powstał DSW? Z bardzo prostego powodu. Forma sprzedaży wysyłkowej była znakomitym sposobem na najtańsze, bo bezinwestycyjne uzupełnienie braków w sieci handlu szczególnie na wsi i w małych miasteczkach.

Może trochę mniejszym powodem było i to, że trzeba było stworzyć nowe miejsca pracy dla kobiet. A to był też dość prosty sposób na zwiększenie zatrudnienia kobiet.

— Fakt, że Dom Sprzedaży Wysyłkowej istnieje już 16 rok wskazywałby na to, że ta forma uzupełniania sieci handlowej zdała egzamin. Czy myśmy mieli już uprzednio jakieś doświadczenia w tej dziedzinie, czy zaczynaliśmy od nowa?

Przed wojną niektóre magazyny handlowe zajmowały się sprzedażą wysyłkową. Ale były to formy szczątkowe, uprawiane przy okazji, jako uzupełnienie i rozszerzenie działalności handlowej. Tak, że musieliśmy zaczynać od nowa. Korzystaliśmy tutaj z doświadczeń handlowców NRD, gdzie taka forma sprzedaży miała znacznie bogatszą tradycję.

— Dlaczego Dom Sprzedaży Wysyłkowej powstał w Łodzi?

— Z dwóch powodów przynajmniej. Po pierwsze — że tu są na miejscu źródła zaopatrzenia w wyroby przemysłu lekkiego. Po drugie — że stąd najbliżej. Centralne położenie Łodzi powoduje, że od nas najbliżej do każdego zakątka Polski.

— Ile paczek rocznie wysyła DSW?

— Od 600 do 800 tysięcy.

— To jest dużo, czy mało?

— Zależy, jak na to spojrzeć.

— A Pana zdaniem?

— Nie możemy wysyłać więcej i to z dwu powodów. Po pierwsze — mamy taką, jaką mamy bazę. Aby wysyłać więcej paczek rocznie trzeba byłoby mieć większe pomieszczenia, większe magazyny. I po drugie — potrzebna byłaby mechanizacja pracy. Dla określonej liczby klientów praca ręczna i opłaca się i wystarcza, kiedy jednak liczba klientów zwiększa się, wtedy już praca ręczna przestaje się opłacać i co więcej staje się przeszkodą, którą trzeba usunąć zastępując ludzkie ręce maszynami.

— Czy to znaczy, że nie macie w ogóle maszyn?

— Mamy małą mechanizację, wprowadziliśmy maszyny matematyczne do rachunkowości. Wiążemy paczki mechanicznie, mamy do tego specjalną maszynę. Ale układać towar w paczkach muszą nadal ludzie.

— Poczta nie stawiała przeszkód? Poczta przecież nadal wymaga ręcznego owijania paczki sznurkiem.

— Poczta jest instytucją dość konserwatywną, ale jakoś dogadaliśmy się w sprawie mechanicznego sznurowania paczek. Z pocztą musimy porozumiewać się, gdyż poczta jest naszym wielkim sojusznikiem i pośrednikiem.

— Na czym to polega?

— W Polsce jest około 7,5 tysiąca urzędów pocztowych. Mamy z nimi umowę, na mocy której urzędy pocztowe zobowiązane są do informowania przy pomocy plakatów o posiadaniu naszych katalogów, udostępniania ich klientom oraz przyjmowania zamówień.

— Czy zamówienia składa się na specjalnych druczkach?

— Mamy takie druczki, ale przyjmujemy każde zamówienie, złożone listownie lub na kartce pocztowej, pod warunkiem, aby było precyzyjne. To znaczy, aby zawierało dokładny adres nadawcy oraz zamówienie towaru oparte na katalogu.

— W jakim nakładzie wydajecie katalog?

— W nakładzie 230 tysięcy egzemplarzy.

— Czy to wystarcza?

— Wydajemy katalog dwa razy w roku, na wiosnę i lato jeden katalog i na jesień — zimę drugi.

— Ale zawsze w tym samym nakładzie?

— Tak. Nie wysyłamy jednak całego nakładu od razu w Polskę, tylko robimy to stopniowo, sterując niejako w ten sposób intensywnością i wielkością zamówień.

— Może się więc zdarzyć, że gdzieś katalog nie dotrze i klienci są pozbawieni informacji o towarach, jakimi DSW dysponuje.

— Katalog powinien dotrzeć wszędzie i to w odpowiednim czasie, aby klient mógł skorzystać z oferty we właściwym okresie; z oferty wiosennej na wiosnę, a z jesiennej jesienią. Katalogi więc docierają wcześniej do klientów, tylko po prostu nie wszystkie w jednym czasie.

— A jak gdzieś nie ma katalogu?

— To urząd pocztowy powinien do nas napisać, czy zatelefonować, a zaraz katalog wyślemy. Bez katalogu system sprzedaży wysyłkowej nie może funkcjonować.

— Czy macie stałych klientów?

— Owszem. Prowadzimy odpowiednie kartoteki i stąd mamy rozeznanie. Nasi pracownicy dostają też podziękowania i życzenia na święta od stałych klientów, czy od tych, którzy uważają, że dobrze ich obsługujemy.

— Skąd najwięcej przychodzi zamówień?

— O dziwo nie z tych rejonów, gdzie sieć handlowa — wydawałoby się najuboższa — predysponowałaby do przodowania w ilości zamówień, a przede wszystkim ze Śląska, gdzie sieć handlowa nie jest taka najgorsza.

— Czy każdy może zamówić towar w DSW?

— Praktycznie każdy, ale ponieważ nasza oferta jest zawodna i nie zawsze — nie z naszej winy przecież — możemy zapewnić wszystkim klientom oferowany towar, to preferujemy w pierwszej kolejności klientów ze wsi i małych miasteczek. Tak więc klient z dużych ośrodków handlowych i przemysłowych nie zawsze ma szansę na kupno towaru w DSW.

— O co ludzie najczęściej proszą?

— Około 70 proc. zamówień dotyczy odzieży.

— Powiedział Pan, że nasza oferta jest zawodna. Dlaczego?

— Katalog zaczynamy wysyłać pod koniec marca. W tym czasie w magazynach DSW powinny już być zgromadzone towary, które oferujemy w katalogu.

— W jakim stopniu?

— Od 50 do 60 procent oferty.

— A jak to wygląda w praktyce?

— Globalnie mamy pokrycie oferty w 50—60 proc. To znaczy, że niektóre towary mamy już w magazynach w 100 procentach, a innych albo nie mamy wcale, albo mamy w 5, 10, 15 procentach.

— Jak szybko po wysłaniu katalogu przychodzą zamówienia?

— Od 7 do 14 dni.

— A jak wygląda pokrycie aktualnego katalogu?

— Kończy się już maj, a my jeszcze nie mamy dostaw towarów, które zakontraktowaliśmy na giełdzie. Umowy zawiera się niezbyt precyzyjnie. Przemysł zobowiązuje się dostarczyć zamówiony towar na przykład w drugim kwartale. Nas interesowałby kwiecień, czyli początek kwartału, a przemysł zawiadamia nas w kwietniu, że zamówiony towar zaczyna produkować w... czerwcu. I leżymy. Dla nas jest to klęska. Katalog już w kraju, nadchodzą zamówienia, a my nie możemy wywiązać się z oferty.

— Co wtedy robicie?

— Prosimy klienta, aby poczekał.

— I czeka?

— Niektórzy czekają, inni rezygnują.

— A jeżeli towar nie nadejdzie?

— Proponujemy zamianę.

— I klient zgadza się?

— Nie zawsze.

— Jak wysoka jest wasza zawodność?

— Oferta nasza jest zawodna w 25 procentach, a okresami nawet w 30.

— To jest bardzo dużo.

— Wiemy o tym. Pocieszamy się, że nawet największy dom sprzedaży wysyłkowej, jaki funkcjonuje w USA, którego katalog liczy sobie 1800 stron, ma zawodną ofertę.

— Ale w jakim stopniu?

— To są wielkości niewspółmierne. U nich zawodność wynosi od 1 do 2 procent oferty. Myśmy już też kiedyś przedstawiali ofertę zawodną tylko w 15 procentach. I uważam, że jest nas stać na obniżanie zawodności oferty, ale pod warunkiem, że przemysł będzie poważnie traktował dostawy dla DSW.

W krajach, gdzie sprzedaż wysyłkowa jest mocno rozwinięta obroty domów wysyłkowych stanowią 1 15 procent obrotów handlowych. A u nas...

— Właśnie, ile u nas wynoszą obroty jedynego Domu Sprzedaży Wysyłkowej?

— Jest to tysięczna część procenta wszystkich transakcji handlowych.

— Może właśnie dlatego, że jest to pozycja tak mało się licząca, jesteście przysłowiową kulą u nogi w kontaktach między handlem a przemysłem.

— Jestem przeciwny demonizowaniu DSW. Uważam po prostu, że w naszym wypadku jaskrawiej uwidaczniają się niedokładności systemu kontaktów między przemysłem i handlem. Jeżeli producent zobowiązuje się dostarczyć handlowcom dany produkt w kolorze czerwonym, a dostarczy w niebieskim, to handlowcy wystawią niebieski i będą próbowali go sprzedawać. My jednak wydrukowaliśmy, że oferujemy klientowi towar w kolorze czerwonym. Raz czy dwa taka zamiana może się zdarzyć, ale nie może ona być regułą. Jeśli producent zobowiązał się, że dostarczy nam towar w cenie 500 zł od sztuki, a przysyła po 900 zł, to my stajemy się nieuczciwi wobec naszych klientów, którym oferujemy towar po 500 zł w katalogu, a przysyłamy po 900 zł. Bywa i tak, że nie dostajemy w ogóle zamówionego towaru, bo producent odstąpił go lekką ręką komuś innemu, uważając, że dla nas to żaden problem. A myśmy już ten towar oferowali klientowi. Dzięki naszemu katalogowi wszelkie trudności w kontaktach między producentami i handlem stają się ostrzej widziane. Ale klient o tym nie musi wiedzieć, on pretensje zgłasza tylko pod naszym adresem i ma świętą rację.

— Niedawno „Żywocik Gospodarczy" — ukazujący się w „Życiu Gospodarczym" — zarzucił wam m. in. ową, omawianą tu już zawodność.

— Już wyjaśniłem jej przyczyny. Naszym celem jest zmniejszenie tej zawodności do minimum, ale to nie tylko od nas zależy.

— Tak. Ale drugi zarzut „Żywocika" dotyczył przepakowywania przez DSW paczek nadchodzących z zagranicy. Na czym to polega?

— W 1973 roku LOT zaproponował nam ekspedycję w kraju paczek przesyłanych liniami lotniczymi LOT z USA do Polski. LOT posiadał kontakt ze spółdzielnią usługową, która tym się zajmowała, ale robiła to strasznie wolno. My robimy to szybko. Zaczynaliśmy od 300 paczek miesięcznie, a obecnie ekspediujemy ok. 10 tys. paczek w miesiącu. Świadczymy usługi dla LOT i dla ich klientów. Nadsyłane z zagranicy paczki są clone w kraju i wymagają ponownego zapakowania. Na całym świecie płaci się za usługi. My też pobieramy taką należność, a jest ona określona w odpowiednich urzędowych taryfach, które biorą za podstawę nie wysokość cła, ani wartość towarów, ale pracochłonność wykonywanych przez nas operacji plus koszty ekspedycji. Tak ta sprawa wygląda. Paczki do 20 kg dostarczamy za pośrednictwem poczty, a cięższe — za pośrednictwem Spedycji Krajowej. Dostarczamy paczki klientowi do domu, z gwarancją, że doszło do niego to, co nadawca w USA wysłał i za tą dostawę pobieramy opłaty. Nie jest to w żadnym wypadku ratowanie naszych obrotów, bo są to dwie różne sprawy.

— Wypadałoby na zakończenie rozmowy życzyć DSW, aby był jak najmniej zawodny w swojej ofercie.

— I nam na tym bardzo zależy.

Rozmawiała: BOGDA MADEJ

---

ziu wlepia tęskne spojrzenie w blade lica czarniawej Ewki i lubieżnie czka. Janek bełkocze, że on musi do domu. Tleniona z odrostami Anka, co mieszka przy trasie do Kolumny, odjeżdża z nim w plener. Jednakże na ulicy opuszcza Janka i udaje się solo na nocleg do ciotki Pyciowej.

Czarniawe, Janka i Halina, nie chcą robić konkurencji. Odpływają na nowe rewiry.

Kaziu zbiera siły i rzuca kuszącą propozycję Ewie:

— Samotniak żem na dobrej posadzie. Czy nie poszłabyś na chatę?

— Bynajmniej, ale i owszem — odpowiada wzruszona Ewka. — Lecz co z tego będę miała oprócz przyjemności?

— Mam dla ciebie futro i czternaście tysięcy na dnie.

Ewka reflektuje. Na ulicy strzela jej do głowy myśl genialna i jasna.

— Napiłabym się jeszcze, bom nie rozbudzon — oświadcza. — Potajemkę znam, więc nie żałuj.

Kaziu wręcza jej sto dwadzieścia złotych i czeka pod „Stylową". O godz. 24.00 Ewka przynosi pół litra. Jadą do domu. Wypijają po kieliszku. Kaziu mówi:

— Przyszła wreszcie na cię pora, szykuj się Eleonora!

— Nie legnę, póki nie dostanę, coś mi przyobiecał.

Kaziu trzyma to futro na wabia, z niezłomną wiarą, iż żona wróci po nie z separacji. Jednakże striptiz Ewy nie pozwala mu na ambiwalencję. Wyjmuje z szafy futro i rzuca na oparcie krzesła:

— Jest twoje!

Wypijają po kielichu.

Budzi się o czwartej nad ranem. Stwierdza, iż brakuje mu pod bokiem gorącego ciała Ewki. Brakuje jeszcze pół litra nie dopitej wódki, ośmiu stów w kieszeni spodni i futra za piętnaście tysięcy. Z bieliźniarki powyrzucane są wszystkie ciuchy, w pokoju pali się światło, drzwi są lekko uchylone.

Kaziu konstatuje z przerażeniem, że przecież na serio nie myślał o takim prezencie za miłosną usługę. Bieży do Jana R. i oświadcza, że został okradziony. Janek nie wie, jak się nazywa Ewka, ale musi ją znać Maryśka. Maryśka nie zna nazwiska, ale wie, gdzie mieszka Ewka. Idą tam we trójkę, walą do drzwi. Bezskutecznie. Usłużny sąsiad wyjaśnia, że Ewka od dłuższego czasu jest w rejsie.

3.

Ewka widzi, że Kaziu widzi, jak ona ładuje futro do torby, ale nie ma siły zareagować. Zanosi futro do mieszkania swego nadwornego Grzegorza L., ale ten również futra nie widzi, bo jest strasznie pijany.

Ewka wyjeżdża z futrem do Strzelców Opolskich, gdzie ma ciotkę, która pomoże jej załatwić pracę w cementowni. Ale nie załatwia, bo Ewce się odwidziało, a ponadto musi się wpierw wymeldować z pracy w rodzinnym mieście.

Ewka gada z Cygankami w „Ratuszowej". Idzie na Plac Żeromskiego i wstępuje do prywatnego sklepu z galanterią odzieżową, dziecięcą i dla dorosłych. Przyjmuje ją Marek Zabielski. Jest to nigdzie nie pracujący młody prawnik (!), który często bawi w sklepie mamusi.

— Czy nie nabyłby pan futra? — pyta Ewa.

— Proszę pokazać.

— Futro?

— To najpierw, reszta po transakcji.

Ewka wyjmuje z torby futro, zakłada je i prezentuje. Leży na niej jak ulał. Marek stwierdza, że to musi być jej własność (jak ulał), że będzie pasować na jego żonę (ta sama figura) i że jest to futro z ocelotów.

— Cena?

— Sześć tysięcy.

Futro jest noszone zaledwie kilka razy, ma lekko zmiętą podszewkę i Marek już wcześniej ocenił je na co najmniej osiem tysięcy.

— Dlaczego pani chce sprzedać? — pyta zdziwiony.

— Biorę rozwód z mężem i przed podziałem majątku chcę mieć pieniądze na życie.

— A ja chciałbym wiedzieć od kogo kupuję.

Spisuje dane z dowodu osobistego Ewki. Ale jako logicznie myślący prawnik wie, że dowód może być fałszywy.

— Nie znam pani — oświadcza. — Czy mógłby ktoś poświadczyć, że to właśnie pani?

— Moja ciotka (podaje nazwisko).

— Ona ma na twarzy blizny po oparzeniach.

Marek Zabielski zna tę kobietę. Kupuje.

Ewka robi rajzę po Strzelcach Opolskich, Wrocławiu, Kaliszu i po roztrwonieniu pieniędzy wraca do rodzinnego miasta, gdzie wpada w zasadzkę zastawioną przez sprytnych milicjantów.

4.

W dali znika buda milicyjna. Temu obrazowi towarzyszy dydaktyczny morał, dopisany przez reżysera zaangażowanego w problematykę społeczną. Surowy głos narratora:

— I któż na tym zyskał? Nikt. Wszyscy cierpią! Nigdy już nie wróci do Kazimerza J. separacyjna żona, a Marek Zabielski nie odzyska swych pieniędzy. A Ewka? Dla niej więzienna krata. Za to, że kochała i wzięła sobie prezent. Różna jest cena miłości...

Głos z widowni:

— Ale najbardziej ucierpi dziecko, panie reżyserze! O babci też pan zapomniał...

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

POŻEGNANIE Z BOGUMIŁEM I BARBARĄ

W niedzielny wieczór, 7 maja obejrzeliśmy ostatni odcinek serialu „Noce i dnie" według powieści Marii Dąbrowskiej w adaptacji i reżyserii Jerzego Antczaka. Przez dwanaście tygodni absorbowały naszą uwagę losy Niechciców, Ostrzeńskich, Wojnarowskich, Katelbów i tylu innych postaci, których urojone istnienia składają się na bogato ornamentowany fryz polskiego życia na przestrzeni półwiecza, od Powstania Styczniowego po początkowe tygodnie I wojny światowej.

Główna siła, wieloodcinkowego serialu telewizyjnego polega na tym, że ani się spostrzeżemy kiedy wsącza się w nasze umysły i wywołuje stan swoistego zżycia się, czy przyzwyczajenia. Może nam się miejscami nie podobać, wywoływać irytację, ale bohaterowie jego zaczynają lokować się w naszej wyobraźni, zagrzewać tam miejsce i stawać się jakby dobrymi znajomymi. Tak z pewnością było i w przypadku „Nocy i dni", co nie zwalnia nas od obowiązku racjonalnej oceny tego zjawiska programowego.

Serial Antczaka ma dwa układy odniesień, które mogą być pomocne przy próbie takiego osądu. Pierwszy to sama powieść Dąbrowskiej, funkcjonująca w wyobraźni narodowej od przeszło czterdziestu lat, drugi zaś to dwuseryjny pełnometrażowy film kinowy, nakręcony również przez Antczaka i wyświetlany na ekranach od 1975 roku.

Zacznijmy zatem od powieści. Gdy kolejne tomy tej tetralogii zaczęły się ukazywać w latach 1932—1934, witano je jako wybitne wydarzenie w polskim życiu literackim. Zwłaszcza pierwsze dwie części — „Bogumił i Barbara" i „Wieczne zmartwienie" — zdobyły sobie z miejsca duże uznanie, a często i entuzjazm u krytyków i u czytelników. W tych pierwszych tomach zabłysnął wielki talent Dąbrowskiej jako pisarki psychologizującej. Uwaga autorki skupiła się na parze bohaterów, Barbarze i Bogumile Niechcicach, na historii ich małżeństwa bez miłości (ta nadejść miała później, może zbyt późno), na rejestracji i motywowaniu rozdźwięków i niezrozumienia, w których udziałem Barbary było zadawać bezwiednie ból, a Bogumiła — cierpieć i trwać w oczekiwaniu, że kiedyś wreszcie spłynie na żonę opamiętanie.

Te partie powieści ukazujące psychologiczne podłoże konfliktów małżeńskich są z artystycznego punktu widzenia najbardziej udane. W dalszych tomach pisarka zmienia jakby koncepcję i charakter powieści. „Noce i dnie" stają się coraz bardziej epickim zapisem kroniki rodzinnej dwóch generacji rodziny Niechciców, rzuconej na tło ogólniejszej panoramy losów drobnego ziemiaństwa polskiego w okresie popowstaniowym i przekształcania się go w warstwę inteligencji. Występujące w powieści postaci chłopskie są raczej przedmiotem niż podmiotem obrazowanych przemian.

Mówi się, że Dąbrowska uległa szerzącej się w tym czasie w pisarstwie światowym modzie na tak zwaną „romanfleuve", powieść — rzekę, reprezentowaną m. in. przez Johna Galsworthy'ego w „Sadze rodu Forsytów" czy Rogera Martin du Gard w „Rodzinie Thibault". Już późniejszy od „Nocy i dni" jest inny wybitny fresk powieściowy z tego gatunku — „Kronika rodu Pasquier" George'a Duhamela. Kierunek na kronikę rodzinną spłycił niewątpliwie psychologiczną stronę dalszych tomów „Nocy i dni", ale uczynił z niej jednocześnie bestseller czytelniczy.

Myślę, że dewiacja, jakiej uległa autorka w trakcie pisania swej powieści, stała się — choć zabrzmi to paradoksalnie — podstawą sukcesu jej telewizyjno-serialowej interpretacji. Gdyby „Noce i dnie" utrzymane zostały do końca w charakterze powieści psychologicznej, byłyby z pewnością materiałem mniej podatnym na adaptację ekranową. Julian Krzyżanowski, dość surowy zresztą sędzia cyklu powieściowego Dąbrowskiej, dopatruje się w początkowym portrecie duchowym Barbary Niechcicowej, z jej „wiecznym zmartwieniem", bogatych złóż surowca dla miłośnika psychoanalizy. Zgoda, ale elementy psychoanalizy tkwią głęboko w literackim tworzywie dzieła, na ekranie bardzo trudno je przedstawić, chyba że na poziomie filmu „Osiem i pół" Felliniego...

Antczak z całą pewnością nie zdradzał tak wysokich ambicji i dlatego skutecznie skupił się przede wszystkim na elementach owego albumu rodzinnego Niechciców. Zadbał więc głównie o to, by na ekranie coś się działo i to w sensie dosłownym, nie psychologicznym. Jeśli chodzi o serial telewizyjny, reżyser przyjął słuszną chyba konwencję, rezygnując z błyskotliwych efektów artystycznych na rzecz bezpretensjonalności i codzienności. Serial trwa bowiem dzięki porządkowi emisyjnemu w czasie, podlega rygorom regularności, musi zatem formą narracji bardziej przypominać ubiór roboczy niż strój odświętny, galowy.

Reżyser nie mógł, oczywiście, znaleźć ekwiwalentu dla czysto literackich walorów „Nocy i dni". Powieść Dąbrowskiej napisana jest właściwym tej autorce znakomitym językiem. Pisarka reprezentuje na tym polu rzadką we współczesnej literaturze polskiej wrażliwość na stylistykę. Język, jakiego używa Dąbrowska, określany często jako „przezroczysty", a więc dyskretny, nie narzucający się, ani nie stawiający pisarki między jej opowieścią i czytelnikami, bywa jednocześnie zadziwiająco kunsztowny, a nawet wykwitny w swej prostocie. Tego na ekranie niczym zastąpić się nie udało, co więcej, gdybyśmy nie wiedzieli skądinąd, że mamy do czynienia z arcydziełem literackim, serial nie byłby w stanie nas o tym poinformować.

Większe stosunkowo szanse na to miałby film ekranowy, gdyby reżyser chciał szukać ekwiwalentów artyzmu literackiego powieści we współczesnej poetyce kina, z jej wymyślnymi metaforami, nawarstwieniem semantycznym kadrów, zacieraniem granic między tym co rzeczywiste i tym co jest majaczeniem sennym. W efekcie powstałby być może obraz znakomity, ale z pewnością trudny w odbiorze, ograniczający grono swoich adresatów do widzów wyrobionych. Utraciłby więc masową widownię, a także coś z owej prostoty tak charakterystycznej dla dzieła Dąbrowskiej. Antczak zdecydował się na film popularny, nie udziwniony, odnajdujący sobie łatwą drogę do każdego Polaka. Dzięki temu „Noce i dnie" stały się ekranowym bestsellerem, o czym świadczą bardzo wysokie wskaźniki frekwencyjne.

Projekcja dwuczęściowego filmu trwała w kinie ponad cztery godziny, zaś każdy odcinek serialu liczył sobie sześćdziesiąt minut emisji. Z prostego rachunku wynika więc, że do serialu weszło prawie trzykrotnie więcej materiału niż do obrazu wielkoekranowego. Mimo, że wersja kinowa pominęła siłą rzeczy szereg wątków powieściowych i spraw szczegółowych, mogła ona widza momentami nużyć. Wynika to ze specyficznego nastawienia widowni kinowej. Oczekuje ona od fabuły wysokich dramatycznych napięć, zagęszczenia i intensywności wydarzeń. Tego film „Noce i dnie", grawitujący w założeniu reżyserskim ku płynności narracyjnej oryginału powieściowego, przypominającej nieco leniwy nurt rzeki, dostarczyć widzowi nie mógł.

Rzecz ciekawa, że to samo co mogło osłabiać do pewnego stopnia satysfakcję widza śledzącego wersję kinową, stało się główną siłą oddziaływającą serialu. Jerzy Antczak zapytany przez dziennikarza, skąd się bierze autentyczne zapotrzebowanie na serial u naszych telewidzów, odpowiedział:

„Przede wszystkim z naszej wielkiej tęsknoty za utraconym życiem rodzinnym. Ponieważ właśnie na naszych oczach rozpada się ta wielka wartość — tradycja rodzinna... te gwiazdki, te wigilie spędzane w gronie wielkich rodzin. Rozproszyliśmy się, rozluźniliśmy więzi, ale tęsknimy za wielkimi klanami rodzinnymi, które żyły tradycją i przeszłością, i cieszyły się sukcesami swoich najbliższych w teraźniejszości. Seriale telewizyjne materializują jakby tę naszą tęsknotę. Oparte najczęściej na grubej, wielotomowej książce, odzwierciedlają ów wielki strumień życia dawnej rodziny".

Nie całkiem zgadzam się z wypowiedzią reżysera, która w pierwszej swej części jest nieco wydemonizowana, zwłaszcza, gdy mówi się o naszym społeczeństwie. Więzi rodzinne są u nas nadal silne, choć bezsprzecznie uległy modyfikacji spowodowanej zmienionym stylem i tempem życia. Natomiast zgadzam się z tym, że na rzecz serialu „Noce i dnie" przemówił sentyment, jakim my Polacy darzymy swoją tradycję.

Antczakowi udało się nastroić swój serialowy instrument na tonację znajdującą bez trudu rezonans w sentymentach telewidowni, co przesądziło o generalnym powodzeniu jego przedsięwzięcia. Walnie dopomogli mu w tym bezbłędnie wczuwający się w postaci Niechciców Jadwiga Barańska i Jerzy Bińczycki, a także cała plejada świetnych aktorów, z których szczególnie zapadli mi w pamięci: Jerzy Kamas, Adam Walczewski, Zdzisław Mrożewski, Andrzej Seweryn i Jan Englert.

Nie trzeba mnożyć dowodów na to, jak bardzo sukces serialu telewizyjnego zależny jest od aktorów. To oni ewokują w ostatecznym rachunku urok owej ciągłości, która stanowi o specyficznym smaku serialu i powoduje, że oczekujemy niecierpliwie na kolejne jego odcinki. Nie jest rewelacją stwierdzenie, że mamy w Polsce znakomitych aktorów, sprawdzonych na scenie i na ekranach kinowych. Aktorstwo zaprezentowane nam w „Nocach i dniach" pozwala nam sformułować twierdzenie, że posiadamy równie świetnych wykonawców ról serialowych, co pozwala nam nie mieć kompleksów wobec „Forsytów" i „Palliserów".

Można spierać się z autorem serialu w kwestiach szczegółowych, o owe anachroniczne, zbyt współczesne ukazywanie aktów miłosnych, o pandemonium w jakie zamienił zwykłą wiejską karczmę, o pewne nierówności stylistyczne występujące z odcinka na odcinek, wszystko to jednak nie zatrze ogólnego wrażenia, że „Noce i dnie" w porównaniu ze wszystkimi dotąd emitowanymi serialami Telewizji Polskiej są najlepiej utrafione w specyfikę tego wciąż jeszcze nowego, a tak już popularnego gatunku.

Foto: Archiwum

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

NATURA, CZŁOWIEK, PIEKŁO...

Najnowsza powieść Kazimierza Truchanowskiego na pierwszy rzut oka wydawała się niemałym zaskoczeniem dla czytelnika śledzącego dorobek tego interesującego autora. Oto w czterdzieści kilka lat po debiucie napisał powieść fantastyczną, która w dodatku — jak wyznał w „Prologu dla przyjaciela" — nie miała wcale powstać. Pisał bowiem zupełnie inną powieść pod roboczym tytułem „Słoneczne niebo", a tymczasem wbrew pisarskim zaklęciom i egzorcyzmom, doszły do głosu sprawy „piekielne", jakieś dalekie echo tych swoistych fascynacji Piekłem, które „rozpropagował" Dante. Mimo ponurej i groźnej atmosfery książka Truchanowskiego zdaje się być przeciwstawieniem słynnej maksymy umieszczonej nad piekielną bramą w „Boskiej komedii", „lasciate ogni speranza voi ch'entrate". „Dzwony Piekieł" wzywają nie do porzucenia nadziei, starają się raczej wszelką nadzieję rozbudzić...

W miarę lektury element zaskoczenia wyraźnie ustępuje miejsca przekonaniu iż Kazimierz Truchanowski jest autorem konsekwentnym i wiernym swym stałym problemom. Jego proza poszukiwała zawsze odpowiedzi na podstawowe pytanie: czym jest życie i jaki jest sens egzystencji ludzkiej, zarówno w wymiarach jednostkowych, jak i społecznych? Znalezienie odpowiedzi ułatwić miała trójdzielna najczęściej opozycja: natura — cywilizacja — człowiek jako najistotniejsza relacja pojęciowa czy może raczej zjawiskowa w procesie rozpoznawania świata oraz miejsca i roli w nim człowieka.

Przy okazji recenzowania niedawno opublikowanego wyboru opowiadań Truchanowskiego napisałem, że ukazuje on człowieka jako ogniwo natury starające się za każdą cenę od niej oderwać. I na tym właśnie polega przejmująco ukazany w „Całowaniu ziemi" tragizm ludzkiej egzystencji. Przede wszystkim w aspekcie filozoficznym, ale również praktycznym — różnorakie i coraz bardziej niebezpieczne niszczenie naturalnego środowiska spowodować może przecież nieodwracalne skutki. Od takiego stawiania sprawy do przejmujących wizji „Dzwonów Piekieł" niewielka doprawdy odległość.

Fantastyka w wykonaniu autora „Zmowy demiurgów" — to pomieszanie science-fiction z katastrofizmem o manichejskim rodowodzie. „Dzwony Piekieł" dają dość przerażliwą wizję wyniszczenia życia organicznego na Ziemi w rezultacie konfliktu zbrojnego. Konfliktu zbędnego i całkowicie przypadkowego, sprokurowanego dla zasady: skoro broń istnieje, należy przecież zastosować ją w praktyce.

Wkrótce potem na wyludnionej Ziemi lądują wysoko zorganizowane istoty, które musiały uchodzić ze swej planety wskutek kosmicznej katastrofy. Odtwarzają historię ziemską i stopniowo, acz niezwykle konsekwentnie, upodabniają się do ludzi, jako że Ziemię zamieszkiwać mogą tylko ludzie. I w tym momencie zaczyna się ich tragedia numer dwa, znacznie groźniejsza od porzucenia macierzystego Argonu. Jakiż ma tedy sens tragedia nowych ludzi o kosmicznej proweniencji? Oto dziwnym zrządzeniem Losu, Zasady Sprawczej, Matki Natury biorą z dawnych ludzi to wszystko, co było w nich najgorsze, biorą z człowieka samo zło.

Mieszkańcy Argonu byli moralnie czyści i na ogół wolni od złych zamiarów. Dlatego nazywali się Ethonami. Na Ziemi muszą się zmienić, ponieważ tutaj „Piekło jest zasadą" — powiada E 44-7, wszechwiedzący komputer — „gdyby Raj istniał naprawdę, życie by nie istniało". Wchodzą więc Ethoni w ziemskie życie: poznają siłę pieniądza i radość jego posiadania, wpadają w nałóg alkoholizmu, Ethonki z upodobaniem zaczynają uprawiać prostytucję, a w miejskiej rzeźni — z braku innych istot żywych — przybysze z Kosmosu chcą wyniszczyć samych siebie. Bowiem życie musi toczyć się naprzód — i wszystko, co już było, musi zostać powtórzone. Scena w rzeźni jest może najbardziej jaskrawym przejawem Piekła na Ziemi — bezmyślność zabijania, zbrodnia przeciw Naturze, okazuje się występkiem najgorszym z najgorszych.

Właśnie Natura, Przyroda, jest w utworach Kazimierza Truchanowskiego wartością naczelną. Panteistyczna interpretacja świata jest tu całkiem wyraźna, przyroda prawie bez wyjątku stanowi punkt wyjścia i dojścia do ostatecznych wniosków. Również w „Dzwonach Piekieł", kiedy czytamy: „Na straży każdego gatunku istot żywych, na straży pod każdym względem stoi Matka Przyroda, która baczy uważnie, by nie zachodziły żadne odchylenia od ustalonych norm. Jeżeli zauważy choćby nieznaczną zmianę, natychmiast wkracza z całą swą stanowczością i energią i zmusza do powrotu do normy. Jeżeli zmiany zaszły zbyt daleko, zwyrodniałe egzemplarze eliminuje z całą bezwzględnością. Natury oszukać nie można — mści się natychmiast (...) Natura jednak jakby przymykała oczy i zasypiała na pewien czas. Wykorzystują to niektóre niemądre i skłonne do rewolucyjnych przemian gatunki — zaczynają dziko fermentować, nieprzytomnie bujać, wyłamując się z obowiązujących praw i kanonów. W ten sposób dochodzi do nieodwracalnych zmian, które w krótkim czasie na nich samych się mszczą".

Czymże jest tedy Piekło na Ziemi? Zemstą Natury na Człowieku za jego nie zawsze rozumny bunt? Wybrykiem złośliwego Demiurga? Warunkiem sine qua non Istnienia? Patologią czy sensem Bytu? Tego Truchanowski nie precyzuje. Nie interesują go definicje, lecz opis. Nie interesują go przyczyny, lecz skutek. Przestrzega przed skutkiem ostatecznym, przed samounicestwieniem. Tak więc „Dzwony Piekieł" biją nie tyle na trwogę, co prowokują do przemyśleń nad istotą współczesnego człowieczeństwa, nad relacjami pomiędzy dziełem tworzenia a dziełem niszczenia, nad symbolika wyrażoną w tytułach jakże różnych książek: „Cudów wszechświata" Chanta i „Wojny światów" Wellsa.

Kazimierz Truchanowski przyznaje wręcz, iż od pisarza i literatury nie należy wymagać ani posłannictwa, ani szczegółowej znajomości rzeczy. Trzeba wymagać natomiast u m i e j ę t n o ś c i m y ś l e n i a i umiejętności inspiracji. „Dzwony Piekieł" interweniują więc w sferę myślenia współczesnych, wtórują poniekąd publicystyce, przestrzegają i wyrażają nadzieję...

Kazimierz Truchanowski, Dzwony Piekieł, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1977, nakład 4 000 + 290 egz., s. 202, cena zł 25,—

Czerwone, czarne, czy...?

„Są dwa rodzaje terrorystów, jedni zabijają raz i płacą za to swym własnym życiem, drudzy usprawiedliwiają tysiące zabójstw, chcąc być jeszcze za to czczeni i podziwiani".

— ALBERT CAMUS

Przed kilkoma miesiącami, w artykule „Terror czy terroryzm?" („Odgłosy" nr 1/78) podjąłem próbę sklasyfikowania tych dwu pozornie tożsamych, a jednak tak bardzo różnych zjawisk, w kategoriach politycznych, ogólnospołecznych, jak również moralnych, poprzez pryzmat (zwłaszcza w odniesieniu do terroryzmu) ich istoty, podłoża, celów, kierunków i form manifestacji. Wspomniałem wówczas, iż na osobne omówienie zasługuje problematyka specyfiki najbardziej reprezentatywnych ugrupowań terrorystycznych, a zwłaszcza motywacji ich działań, bazy społecznej, źródeł siły napędowej, celowości i skuteczności ich poczynań oraz tych wszystkich istotnych cech, które składają się na syndrom terroryzmu. Spróbujmy zatem dokonać krótkiej syntezy tego zjawiska, opartej na konkretnym przykładzie — włoskich Czerwonych Brygad — organizacji terrorystycznej, która uprowadziła i następnie bestialsko zamordowała przywódcę partii chrześcijańsko-demokratycznej. Aldo Moro, organizacji siejącej wprawdzie od kilku miesięcy grozę w całych Włoszech, lecz w zamian wywołującej ogólne potępienie dla swej działalności i to nie tylko na Półwyspie Apenińskim, ale i w szerokim świecie. Przyjrzyjmy się więc pokrótce rodowodowi terrorystów z Brigate Rosse oraz ich akcjom, by na tej podstawie — uwzględniając specyfikę warunków kraju, w którym działają, systemu polityczno-społecznego, polityki wewnętrznej państwa — móc wyciągnąć pewne wnioski pozwalające bliżej poznać i zrozumieć (o ile to jest w ogóle możliwe) fenomen włoskiego terroryzmu (nie tylko zresztą ultralewicowego).

„Czerwone Brygady", jako organizacja czynnie stosująca przemoc, pojawiły się na włoskiej scenie politycznej w 1969 roku, najpierw pod nazwą „Colletivo Politico Metropolitano", a później „Lewicy proletariackiej". Grupy te, o zabarwieniu politycznym wyraźnie skrajnie lewicowym, wyrosły na fali kontestacji studenckich lat 1968—69 i skoncentrowały swoją działalność na terenie wielkich miast oraz dużych ośrodków przemysłowych północnej części Włoch.

Członkowie Czerwonych Brygad rekrutowali się, od chwili powstania organizacji, przede wszystkim spośród środowisk akademickich i kręgów młodych intelektualistów, przy czym jako rzecz godną uwagi trzeba odnotować duży udział kobiet w jej szeregach. Faktycznym przywódcą i ideologiem Brigate Rosse (nazwa ta pojawia się po raz pierwszy w 1971 roku) stał się niemal z chwilą ich utworzenia, Renato Curcio, student socjologii z uniwersytetu w Trydencie, który właśnie w końcu lat 60-tych dokonał wolty światopoglądowej i przeszedł ze skrajnej prawicy na pozycje ultralewicy. Aresztowany w 1976 roku przez policję (notabene na skutek denuncjacji „załamanego ideowo" członka Brigate Rosse) został w rok później skazany na 7 lat więzienia. Ster organizacji znalazł się wówczas w rękach Corrado Alunni, współtowarzysza walki, który przystąpił do formowania nowych „bojowych oddziałów" Czerwonych Brygad. Pierwsza poważniejsza akcja organizacji, która zwróciła nań uwagę opinii publicznej, miała miejsce w kwietniu 1974 roku, kiedy to brygadziści uprowadzili sędziego śledczego Mario Sossi, wypuszczając go zresztą na wolność w zamian za (nie spełnioną) obietnicę zwolnienia z więzienia członków Brigate Rosse.

Od z górą trzech lat Włosi mieli okazję coraz częściej słyszeć o akcjach brygadzistów: morderstwa, uprowadzenia, napady na banki, zamachy bombowe, tworzyły odtąd niemal nieprzerwane pasmo zbrodni, którego celem pierwotnym, według strategii terrorystów, miało być wywołanie psychozy zagrożenia i zastraszenia w społeczeństwie włoskim (a zwłaszcza w aparacie władzy), zaś — ostatecznym — zniszczenie państwa i jego wszystkich struktur oraz burżuazyjnego porządku społecznego, czyli wszystkiego tego, co stoi na drodze zwycięstwa „rewolucji". Hasła te stanowią zresztą do dnia dzisiejszego sedno politycznego credo terrorystów.

U każdego postronnego obserwatora włoskiej sceny politycznej ostatnie wydarzenia musiały oczywiście wywołać określonej natury reakcję — potępienie zbrodniczych poczynań brygadzistów oraz powszechną dyskredytację motywacji i celów tak pojmowanej walki o przemiany społeczno ustrojowe. Każdemu nasunęły się również pewne refleksje odnośnie przyczyn, podłoża, sensu i skuteczności terroryzmu, tego tak ekspansywnego i zataczającego coraz szersze kręgi w zasięgu oddziaływania zjawiska, a zarazem tak groźnego dla kruchych jeszcze struktur porozumienia czołowych sił politycznych włoskiej demokracji. Wielokrotnie, oceniając rozwój wydarzeń, zadajemy sobie pytanie, o co właściwie chodzi tym „bojownikom rewolucji", co zamierzają osiągnąć poprzez morderstwa, grabieże, zamachy bombowe? Czy w ogóle posiadają jakiś spójny politycznie i ideologicznie program, czy też są jedynie ogarnięci psychopatyczną żądzą zniszczenia wszystkiego i wszystkich. Wreszcie, kim są sami terroryści, jakie siły społeczne reprezentują, w czyim interesie działają?

Otóż poszukiwanie odpowiedzi na te i podobne pytania jest sprawą tyleż ważną, co wręcz konieczną, jeśli chcemy uchwycić przynajmniej niektóre nici prowadzące do źródeł tego tragicznego fenomenu. Trzeba

bowiem pamiętać, że terroryzm nigdy nie był zjawiskiem irracjonalnym, pozbawionym korzeni, zjawiskiem egzystującym w polityczno-społecznej próżni, lecz jako reakcja o typie aberracji tak intelektualnej, moralnej czy politycznej posiada prawie zawsze (za wyjątkiem może gruntu amerykańskiego) w miarę czytelne podłoże socjologiczne i społeczne. Cechują go również mniej lub bardziej uzasadnione motywacje polityczne. Toteż niejednokrotnie można się spotkać ze stwierdzeniem, że to, co aktualnie obserwujemy we Włoszech wymyka się wszelkiej logicznej kategoryzacji, że jest to właściwie jedno długie pasmo indywidualnych, anarchistycznych poczynań, których wspólnym mianownikiem — bez względu na mniej lub bardziej sugestywną mitologię (często sztucznie dorabianą na użytek samych terrorystów) — mogłaby być jedynie frustracja (choć jest to pojęcie mało jednorodne w skali społecznej), a w rzeczywistości jest tylko i wyłącznie destrukcja bez jakiejkolwiek konstruktywnej alternatywy. Na pozór słuszność powyższego stwierdzenia wydaje się być bezdyskusyjna. A jednak zastanówmy się chwilę.

Czy można stawiać znak równości między anarchizmem i negacją (czyli przeciwieństwem afirmacji stanu istniejącego) a terroryzmem? Byłoby to chyba zabiegiem tyleż sugestywnym co fałszywym. We Włoszech można zapewne łatwiej, niż gdzie indziej w Europie, doszukać się źródeł istnienia dostatecznie silnych przesłanek anarchistycznej katharsis, niemniej byłoby raczej ryzykowne przypisywanie anarchistycznych motywacji niedawnym akcjom Czerwonych Brygad. Nie chodzi tu już bowiem (przynajmniej w chwili obecnej) o spontaniczny protest, o swego rodzaju irracjonalny bunt zachodniej „Nowej Lewicy" przeciwko współczesnemu, zmonopolizowanemu i zbiurokratyzowanemu modelowi świata (jak to miało miejsce w okresie wielkiej kontestacji lat 1968—69). Obecne pokolenie lewicowych anarchistów stanowi jakby „drugą" generację kontestatorów, ich ideologia ucieleśnia się już, niestety, prawie wyłącznie w sorelowsko-bakuninowskiej filozofii przemocy oraz maoistowskiej teorii „zburzenia świata", zgodnie z którymi nie ma innej możliwości przejścia do socjalizmu, jak tylko poprzez całkowitą likwidację istniejących struktur, a nawet destrukcję całej cywilizacji, w drodze zbrojnej walki klasowej, w której zabijanie winno być traktowane jako jeden z nieodzownych środków uświęconych celem „rewolucji".

Zresztą cała twórczość polityczna i filozoficzna ugrupowań terrorystycznych (tak Czerwonych Brygad, czy Uzbrojonych Komórek Proletariackich, jak i zachodnioniemieckiej RAF, bądź japońskiej Rengo Sekigun) jest raczej wysublimowana i często bardzo mało czytelna, o ile więc nie stanowi jedynie czegoś w rodzaju hagiografii terroryzmu, to jest na pewno czymś z gatunku „histoire historisante", w sferze której nie dedukuje się ze zdarzeń, lecz z abstrakcyjnych formuł, nazywanych „ruchem", „siłą", „rewolucją", „kryzysem", lub „rozkładem".

Wspólnym dla wszystkich wymienionych wyżej organizacji terrorystycznych) źródłem owego idealistycznego acz irracjonalnego dążenia do naprawy świata był wspomniany już „kryzys zachodniej kultury" — a także myśli i praktyki politycznej, w wyniku którego zrodziła się spontaniczna potrzeba protestu. Ten jednak przerodził się z czasem w otwartą rebelię przeciw usymbolizowanemu „wrogowi" — systemowi wartości składających się na fundament ustroju społeczno-politycznego — barierze przegradzającej drogę do „pełnego wyzwolenia gatunku ludzkiego".

Kwestia genetycznej interpretacji terroryzmu w ogólnoeuropejskich kategoriach społecznych jest jednakże dość ryzykowna, a poza tym prowadzi do nazbyt uproszczonych, a często wręcz fałszywych wniosków, więc aby ich uniknąć trzeba każdorazowo uwzględniać specyfikę terenu, na którym terroryzm wyrasta i dojrzewa. Tak oto, przenosząc nasze rozważania na grunt włoski, można już na wstępie zauważyć, że Czerwone Brygady są jednak zjawiskiem odmiennym od Rote Armee Fraktion czy Rengo Sekigun. RAF stanowi bowiem grupę społecznie wyizolowaną, grupę mogącą wprawdzie przysporzyć rządowi RFN kłopotów, lecz w przeciwieństwie do Brigate Rosse nie jest ona w stanie wywołać praktycznie jakiegokolwiek kryzysu politycznego czy społecznego. Czerwone Brygady tylko w początkowym okresie swej egzystencji znajdowały się w podobnej izolacji, którą jednak szybko przełamały między innymi wskutek pogłębiającego się kryzysu państwa, destabilizacji politycznej, potęgujących się trudności gospodarczych, rosnącego szybko bezrobocia wśród młodzieży, a także w wyniku ekspansji i degeneracji ruchu studenckiego oraz rozwoju swoistego ekstremizmu związkowego. Wszystko to sprzyjało wydatnie stałemu rozszerzaniu się społecznej bazy poparcia i pomocy dla Czerwonych Brygad.

Katalizatorem wzmożonej działalności, zarówno tej organizacji jak i jej pokrewnych, był wzrost aktywności sił ultraprawicowych, zwłaszcza spod znaku MSI. Brigate Rosse stały się więc niejako formą odpowiedzi na akcję neofaszystów, tym bardziej spektakularną, gdy wyszło na jaw, że znajdująca się u władzy chadecja w swoiście pojmowanym interesie politycznym nie ma bynajmniej zamiaru aktywnie wystąpić przeciw owym prowokacyjnym wyzwaniom rzucanym demokracji włoskiej przez skrajną prawicę. Chrześcijańscy demokraci hołdowali bowiem teorii przeciwstawnych ekstremizmów, wychodząc z założenia, że skrajna prawica i ultralewica będą się wzajemnie skutecznie neutralizowały, umożliwiając obozowi rządowemu w miarę bezproblemowe sprawowanie władzy. Jak dalece błędna była to strategia, miała chadecja okazję przekonać się dopiero teraz.

Najważniejszym jednak i bodaj najciekawszym problemem w tych wszystkich rozważaniach jest kwestia, czy działaniom Czerwonych Brygad przyświeca jakiś konkretny cel polityczny, czy też jest to tylko program destrukcji, w imię destrukcji i dla destrukcji. Znalezienie jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie, o ile w ogóle jest możliwe, to jest to na pewno sprawą bardzo trudną, można bowiem spotkać niemal tyle samo poglądów opowiadających się za jedną jak i drugą ewentualnością. Spotyka się na przykład opinię wyrażane przez czołowych przedstawicieli WIPK, jak i w kołach do niej zbliżonych, że wszystkie akcje Czerwonych Brygad są konsekwentnym dążeniem do zerwania porozumienia między chadecją a komunistami, w rezultacie czego partyzantka miejska, korzystając z poparcia „stref solidarności", dokona wreszcie skoku jakościowego, prowadzącego bezpośrednio do wojny domowej, dezintegracji społecznej i rozbicia kraju. Niewątpliwie takie niebezpieczeństwo istnieje i jest bardzo realne, niemniej wydaje się, że uświadomienie go społeczeństwu, a zwłaszcza partiom porządku konstytucyjnego, ma swój cel strategiczny, polegający na manifestowaniu bezwzględnej konieczności utrzymania za wszelką cenę historycznego porozumienia WIPK i chadecji oraz jedności działania sił demokratycznych.

Ze swej strony natomiast ryzykowałbym twierdzenie, iż akcje terrorystów Czerwonych Brygad są pozbawione aż tak dalece racjonalnych przesłanek, względnie — o ile rzeczywiście taki cel przyświeca ich działaniom — to w chwili obecnej Brigate Rosse padły ofiarą swej własnej strategii. Wiele bowiem wskazuje na to, że cel został zagubiony, a one same znalazły się w izolacji, i to nawet w środowiskach ultralewicy. Jak dotychczas Czerwone Brygady nie sformułowały przecież żadnego pozytywnego programu, nie licząc mało koherentnego zlepku ogólników, który nie jest niczym innym, jak tylko manifestacją psychopatycznej wręcz niechęci do jakiejkolwiek integracji społecznej, wyrazem swoistej antropofobii i ostentacyjnej pogardy dla wszelkich norm życia społecznego, w tym również takich, o których nie można powiedzieć, że są produktem burżuazji. Program nihilistycznej negacji wszystkiego i wszystkich, program głoszący jedynie destrukcję, nie oznacza niczego, zaś jego ucieleśnienie, to jest terroryzm Brigate Rosse, nie jest ani ruchem rewindykacji klasowej, ani szczególnie drastyczną formą irredenty, ani też przejawem działań rewolucyjnych (bez względu na to jak wzniosły podtekst, częstokroć im się przypisuje).

Terroryzm ten nie posiada również czytelnego kolorytu politycznego, jako że wrogość do kapitalistycznego systemu i jego struktur wcale nie jest dostatecznym wyróżnikiem lewicowości, co powoduje, że Czerwone Brygady ani nie są czerwone, ani też całkiem czarne, są po prostu ruchem, który nie reprezentując nic poza obłąkańczą, zbrodniczą żądzą obalenia istniejącego porządku we Włoszech, zasługuje, by jego członków traktować jedynie jak zwykłych zbrodniarzy i kryminalistów. Zresztą wymownie dowodzi tego skala infiltracji elementów kryminoidalnych do Brigate Rosse czy NAP, oraz ścisłe powiązania tych organizacji ze światem przestępczym, w kraju i za granicą. Tak oto, jak na ironię, właśnie na gruncie przestępstw kryminalnych zbiegają się drogi ultralewaków z ultrafaszystami — doprawdy tragiczna to konwergencja obu ekstremizmów, a zarazem wielka klęska anarcho-romantyków, naiwnych entuzjastów i wszelkich zapaleńców, co zaufali prawdom nigdzie nie potwierdzonym.

ANDRZEJ BLAJER

HISTORIA Z KOMPUTEREM

Wszystkie nauki społeczne sięgają dziś po nowoczesne techniki obliczeniowe, nic więc dziwnego w tym, że czyni podobnie również i historia. Szczególnie interesujące osiągnięcia ma w tym zakresie historiografia radziecka. W Akademii Nauk ZSRR powołano przed laty specjalną Komisję do Zastosowania Metod Matematycznych i Maszyn Elektroniczno-Obliczeniowych w Badaniach Historycznych która rozwinęła szeroką działalność. Przed kilkoma laty miałem na tym miejscu okazję poinformować Czytelników o ukazaniu się pierwszego tomu zbiorowego, przynoszącego rezultaty prac Komisji, opublikowanego w Moskwie w 1972 r. Z pewnym opóźnieniem dotarł do mnie następny tom, opracowany przez uczonych, zgrupowanych wokół Komisji mianowicie zbiór opatrzony tytułem: „Metody matematyczne w badaniach z historii społeczno-gospodarczej" który ukazał się w Moskwie w 1975 roku. Zebrano w nim prace aż piętnastu autorów: rozprawy o charakterze metodologiczno-teoretycznym, studia prezentujące rezultaty przeprowadzonych już badań, wreszcie dwa szkice historiograficzne, mianowicie o zastosowaniu metod statystyczno-matematycznych w pracach radzieckich statystyków w latach 20 oraz o posługiwaniu się metodami ilościowymi w pracach przedstawicieli amerykańskiej „nowej historii gospodarczej".

Nie są to teksty łatwe i autorzy adresują je do specjalistów, nie do szerszego kręgu czytelników. Wybitny mediewista A. R. Korsunskij poświęcił swój obszerny szkic teoretycznej problematyce mierzenia zjawisk społecznych w historiografii, szeroko odwołując się do historycznych źródeł, kryjących pod tym względem ogromne, nie wykorzystane dotychczas przez historyków możliwości badawcze. Rozprawa W. W. Browara o analizie ilościowej rozwoju historycznego społeczeństwa ma charakter wybitnie teoretyczno-matematyczny, przynosi sporo matematycznych wzorów i nie sposób jej zrozumieć, jeśli nie ma się odpowiedniego przygotowania matematycznego. Trzy kolejne studia — pióra K. W. Chwostowej, B. M. Klossa i W. W. Czukłowa — zostały przez autorów poświęcone zagadnieniu, które zajmuje szczególnie istotne miejsce w zainteresowaniach historiografii marksistowskiej w całym świecie, Chodzi mianowicie o to, w jaki sposób można przy pomocy nowoczesnych metod obliczeniowych zmierzyć zjawiska nierówności społecznej i ekonomicznej. Nie trzeba objaśniać, jakiej wagi to problematyka. I jak trudno poddająca się jakiejkolwiek formalizacji.

Możliwości związane z wykorzystywaniem w badaniach historycznych nowoczesnych technik obliczeniowych stały się dziś wielką nadzieją nowoczesnej historiografii, poszukującej obiektywizacji metod swego poznania. Niektórzy entuzjaści historii komputerowej, m. in. we Francji, spodziewają się, że na tej drodze uda się im wyzwolić historię z okowów — jak rozumują — ideologii, uczynić z niej naukę absolutnie obojętną społecznie i politycznie, taką samą, jak dyscypliny ścisłe. Nie trzeba objaśniać, jaka jest ogólna wymowa ideowa tych nadziei, można się jednak zastanawiać nad tym, o ile są one realistyczne. Doskonałą okazję po temu stwarza właśnie omawiane wydawnictwo radzieckie zwłaszcza, gdy je porównamy z analogicznymi publikacjami amerykańskimi, jak na przykład zbiorem prac, ogłoszonym przez wydawnictwo uniwersytetu Princeton w 1972 roku pod ogólnym tytułem „The Dimensions of Quantitative Research in History". I cóż z tego porównania wyniknie? Bardzo prosty i oczywisty — chociaż nie dla wszystkich — ogólny wniosek mianowicie, że choć maszyny liczące i nowoczesne techniki obliczeniowe dają ogromne możliwości obiektywizacji historycznego poznania wielu nadzwyczaj ważnych i złożonych zagadnień, przecież nie one, ale historyk określa to, co jest przedmiotem badania. To bowiem, co będzie robił komputer, zależne jest od kodu pytań, postawionych maszynie przez historyka, zaś pytania te wynikają z aktualnego stanu naukowej wiedzy, z przyjmowanych przez historyka ogólnych założeń teoretycznych, z jego światopoglądu i związanego z nim rozumienia wartości. Dlatego też płonne i naiwne są nadzieje, że historia skomputeryzowana doprowadzi do tego, że historiografia stanie się nauką „czystą", obojętną pod względem ideowym, społecznym i politycznym, jak o tym marzą niektórzy entuzjaści. Przyszłość pokaże, czy nie stanie się akurat odwrotnie, bowiem nowoczesne metody badań, przyczyniając się do zobiektywizowania procesów poznawczych, mogą właśnie ożywić, nie zaś zgasić zasadnicze dyskusje teoretyczne, toczące się między różnymi opozycyjnymi w stosunku do siebie kierunkami historiografii współczesnej.

ANDRZEJ F. GRABSKI

sport

MUNDIAL'78

Teraz wszystko będzie pod znakiem mistrzostw świata w piłce nożnej, które zaczynają się 1 czerwca, a kończą — 25. Czerwiec można powiedzieć mamy z głowy, bo noce będziemy spędzali przy telewizorach, a rankami dyskutowali o naszych chłopcach. Oby grali jak najlepiej.

Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Handlu Wewnętrznego i Usług uruchomiło w swoich punktach w niedzielę i wolną, czerwcową sobotę, specjalne dyżury, aby nikt, komu nagle zepsuje się telewizor nie był pozbawiony kontaktu z Argentyną. Jest to słuszna decyzja i miejmy nadzieję, że będzie mało awarii telewizorów. Co przezorniejsi to sobie nawet kazali robić przeglądy aparatów telewizyjnych jeszcze w maju, aby mieć pewność, że w czerwcu nie spotka ich przykra niespodzianka.

Krajowa Agencja Wydawnicza wypuściła na rynek zestaw kibica, a inne wydawnictwa opublikowały różne książeczki i broszury poświęcone mistrzostwom świata w Argentynie. O poglądach Jacka Gmocha na podstawie jego książki „Alchemia futbolu" piszemy w innym miejscu „Odgłosów". Tutaj chcielibyśmy się zająć innymi publikacjami poświęconymi mistrzostom świata w Argentynie.

Kibicowanie dziś ma już trochę inny charakter niż dawniej i mądry kibic, aby się niepotrzebnie nie denerwować, zastanawia się nad szansami swojej drużyny. Z pomocą w tych rozważaniach może mu przyjść książka Andrzeja Gowarzewskiego i Grzegorza Stańskiego pt. „MUNDIAL-78". Wydało tę książkę Wydawnictwo „Sport i Turystyka". Zawiera ona nie tylko charakterystyki argentyńskich finalistów, ale też historię mistrzostw świata oraz wiele informacji o światowej piłce nożnej. Uważna lektura tej książki pozwoli kibicowi spokojniej oglądać mecze tych grup, w których nie gra polska drużyna. Można tu się będzie przed gośćmi popisywać wiedzą o piłce nożnej, bo na meczach naszej drużyny i tak wszyscy będą się denerwowali.

Wydawnictwo Radia i Telewizji opublikowało książkę Andrzeja Jucewicza pt. „MUNDIAL-78, Polska gola!" Jest to podręczny notatnik kibica, w którym — co najważniejsze — jest dokładny rozkład oglądania telewizyjnych transmisji. A więc 1 czerwca 1978 roku spotykamy się wszyscy przed telewizorami o godzinie 19,50 i praktycznie pozostajemy przy nich do godziny 0,05, bo w tym czasie z Buenos Aires telewizja nada audycję „Studia Mundial-78". W piątek czeka nas dłuższa „nasiadówka" przy telewizorze, bo od 21,40 do 2,05. W niedzielę i poniedziałek mamy za to dni wolne od piłkarskich mistrzostw świata, chyba, że ktoś zechce „przeżyć to jeszcze raz", albo nie mógł oglądać poprzednich transmisji i z chęcią obejrzy retransmisje, choć to już nie to samo, co oryginały.

Książka Andrzeja Jucewicza zawiera bardzo dużo różnych praktycznych wskazówek, wstęp dla telekibiców napisał Jacek Gmoch, rozdział o sędziowaniu — sędzia piłkarski Stanisław Eksztajn. Są tu też typy na poszczególne mecze naszej grupy. Typują między innymi: Waldemar Baszanowski, Stanisław Eksztajn, Kazimierz Kaczor, Jerzy Putrament, Karol Strasburger, Jerzy Waldorff, Mariusz Walter, Sobiesław Zasada. Jak typują? Tego nie zdradzę. W książeczce jest miejsce również na własne typy i później na wpisanie właściwego wyniku, aby sprawdzić, czy potrafimy mądrze kibicować.

„POLSKA — Mundial-78" — taką książkę, a właściwie album, wydała Polska Agencja „Interpress" Piękny papier, kolorowe fotografie, mało informacji, spora cena, bo aż 50 zł. W końcu nie byłoby o co „kruszyć kopii", gdyby nie fakt, że „Interpressowi" za ogłoszenia w tym albumie zapłacili: „Stomil", „Polam", PZH „Universal", „Agpol", „Agromet", „Pollena" i Polska Kasa Opieki SA „Pekao". Oczywiście, jest to książka dla amatorów, ale niezorientowany kibic, który chce wiedzieć jak najwięcej o piłce nożnej i którego wszystko interesuje, może dać się nabrać na album, który jest bardziej do oglądania niż do praktycznego wykorzystania.

Jedna tylko w tym wszystkim jest rzecz pocieszająca, że nasze wydawnictwa i poligrafia zdążyły na czas i publikacje te ukazały się w porę, a więc na kilka lub kilkanaście dni przed rozpoczęciem się mistrzostw świata w Argentynie. To już i tak dużo.

BOGDA MADEJ

„THE OBSERWER" z 23 kwietnia 1978 roku zamieścił opracowanie poświęcone ambasadorowi USA przy ONZ. Andrew Youngowi, znanemu z niekonwencjonalnego sposobu działania oraz z wielu wypowiedzi, które zyskały znaczny rozgłos, a administrację stawiały w kłopotliwej sytuacji. Oto tekst tego opracowania:

„Nikt nie może zarzucić Andrew Youngowi

...mbasadorowi amerykańskiemu przy ONZ, że zachowuje się on w sposób zbyt dyplomatyczny. Aby wyrazić swoje podejrzenia, iż Brytyjczycy zamierzają wycofać się ze swych zobowiązań w Rodezji (w rzeczywistości Young użył określenia „wymigać się") „podobnie, jak to uczynili w Palestynie w 1948 r.", trzeba być człowiekiem, który nie trzyma się zbyt sztywno dyplomatycznych reguł gry".

Ale Young jest pierwszym, który przyznaje, że nie poczuwa się do roli dyplomaty. Jest on po prostu pastorem przekształconym w polityka i przyzwyczajony jest do mówienia językiem prostym i zrozumiałym. Odmawia on przyjęcia do wiadomości, że powinien zachowywać się w sposób odmienny tylko dlatego, że obecnie działa na arenie międzynarodowej. To stanowisko Younga zdaje egzamin. Jak dotychczas, zrobił on sobie niewielu wrogów w ONZ i w Afryce. Jest poważany przez przywódców afrykańskich w stopniu dostępnym chyba tylko kilku Amerykanom w przeszłości, a bez wątpienia w stopniu większym, niż którykolwiek z czarnych Amerykanów mógł się kiedykolwiek wykazać.

Afrykanie cenią w Youngu zwłaszcza to, że nie ma on pretensji do tego, aby być w pierwszym rzędzie i w stopniu największym Amerykaninem. Young rzeczywiście posiada swoją czarną klientelę wyborczą — przed objęciem stanowiska w ONZ był on jednym z kongresmenów z okręgu Atlanty (stolicy Georgii, rodzinnego stanu prezydenta Cartera), a jeszcze przedtem był bliskim współpracownikiem Martina Luthera Kinga w Ruchu Praw Obywatelskich.

Niezależnie od swego pochodzenia, Andrew Young

wszędzie tam, gdzie się udaje, zabiera ze sobą swój „bagaż" amerykańskiej filozofii. Unika on wygłaszania apologetycznych stwierdzeń na temat przeważających zalet kapitalizmu nad jakimkolwiek innym systemem. Przebywając w Afryce Południowej Young zawsze mówi o roli kapitału i banków i w pełni rozumie zasadnicze znaczenie białej mniejszości dla prosperity tego rejonu.

Young wypowiada się nawet w obronie tak często atakowanych wielonarodowych korporacji, które — jego zdaniem — mogłyby, pod warunkiem odpowiedniej kontroli, odegrać poważną rolę w nawiązaniu stosunków partnerstwa między Zachodem i Trzecim Światem. Pogląd ten jest dość odległy od sposobu myślenia np. prezydenta Tanzanii, Nyerere, który jednak pozostaje jednym z jego najgorętszych zwolenników.

Stosunek Andrew Younga do aktów przemocy wykazuje, że jest on „duchowym potomkiem" Martina Luthera Kinga. Nawet przemawiając do członków radykalnych organizacji afrykańskich w Mozambiku i innych „państwach frontowych" nie pozostawia on wątpliwości co do tego, że jest przeciwny aktom gwałtu. Przyjmuje on do wiadomości, że tego rodzaju akty mogą okazać się konieczne i swoją rolę widzi w podejmowaniu wszelkich możliwych wysiłków w celu uniknięcia takich konieczności. Ponad wszelką wątpliwość nie jest on rewolucjonistą, ani sympatykiem Związku Radzieckiego czy Kuby. Jednakże jedna z jego bardziej znanych „niedyskrecji" polegała na określeniu sił kubańskich w Angoli jako „mających znaczenie stabilizujące". Ta uwaga została wygłoszona podczas trwającej już wojny domowej, kiedy lokalne siły angolskie były niezdyscyplinowane. W Etiopii Andrew Young potępia zarówno drastyczne środki, jakimi posługuje się rząd wojskowy, jak obecność Kubańczyków.

Co Andrew Young sądzi o Brytyjczykach

a zwłaszcza o ministrze spraw zagranicznych, Davidzie Owenie?

„Podejście Davida do polityki jest inne niż moje. Jest on bardzo skrupulatny i sumienny, starając się poznać każdy artykuł i paragraf danego aktu prawnego. Zagłębia się w szczegóły. Lubi odprężyć się w towarzystwie ludzi, którzy patrzą na dany problem bardziej generalnie i nie zobowiązująco".

Przy innej okazji Young stwierdził:

„Żywię szacunek dla Davida. Przyszedł on do Foreign Office z zobowiązaniem stawienia czoła brytyjskim obowiązkom w Afryce. Jest on pierwszym Anglikiem, który przekonał mnie, iż Wielka Brytania nie zamierza porzucić tych obowiązków".

Jeżeli tak jest rzeczywiście, to dlaczego po rozmowach anglo-amerykańskich na Malcie z udziałem przywódców Frontu Patriotycznego — Joshuy Nkomo i Roberta Mugabe — Young uciekł się do stwierdzenia, iż W. Brytania usiłuje „wymigać się".

„Każdy wie, że w Wielkiej Brytanii istnieją silne naciski polityczne, nawet silniejsze niż w Stanach Zjednoczonych, za zaakceptowaniem porozumienia wewnętrznego — mówi Young. — **Wygłaszając wspomnianą uwagę kierowałem się chęcią umocnienia pozycji Davida przeciwko tym właśnie naciskom".**

Natomiast David Owen ze swej strony, aczkolwiek wiadomo, iż zdaje sobie sprawę, że jest to raczej dziwny sposób oferowania pomocy, jest znany ze swojej niechęci do skrajnych stanów emocjonalnych. Pewien wysoki urzędnik Foreign Office powiedział w związku z tym, że wielką zaletą Younga jest to, że ma on zdolność wczuwania się w nastroje innych ludzi. I rzeczywiście, określenie „wczuwanie się", jako zdolność uczestniczenia w odczuciach i myślach innych osób, napotyka się w rozmowach z różnymi osobami na temat Andrew Younga. Jest on zdolny do takiego wczuwania się w poglądy i nastroje określonej osoby — powiedział pewien urzędnik Foreign Office — że prawie nie zwraca uwagi na poglądy innych osób. Bez wątpienia może „wczuć się" w sytuację Mugabe, a nawet Smitha.

Co można powiedzieć o pozycji Andrew Younga

w łonie administracji Cartera? Bez wątpienia dzielą go pewne różnice poglądów z pozostałymi członkami gabinetu, ale nie z prezydentem lub z zawsze cierpliwym Cyrusem Vance, pomimo iż temu ostatniemu oraz urzędnikom Departamentu Stanu przysparza wielu kłopotów. Można jednak stwierdzić, że jeśli chodzi o ogólny pogląd na politykę Stanów Zjednoczonych wobec Afryki, to ci trzej zgadzają się całkowicie.

Sytuacja przedstawia się inaczej, jeśli chodzi o Zbigniewa Brzezińskiego, doradce prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego, który uważa, iż Young zbytnio koncentruje się na sprawach afrykańskich, i nie jest dostatecznie poinformowany o pozostałych problemach światowych. Brzeziński wyrażał również szczególne zaniepokojenie oświadczeniem Younga na temat Kuby.

Andrew Young natomiast sądzi, że Zbigniew Brzeziński ma zbyt duże inklinacje do popadania w pułapki polityki „zimnej wojny", co do której administracja Cartera — zdaniem Younga — zaciągnęła zobowiązanie jej unikania. Young wyraża pogląd, że pomyłki popełnione przez Stany Zjednoczone wynikały ze zbytniego skoncentrowania się na dążeniu powstrzymywania Rosjan i Kubańczyków w Afryce. Natomiast administracja nie zareagowała w sposób wystarczający na potrzeby i poglądy Afrykanów, co zdaniem Younga — byłoby skutecznym środkiem na przeciwstawienie się wpływom radziecko-kubańskim. Dlatego właśnie Stany Zjednoczone popełniły błąd w „rogu" Afryki, zachęcając Somalisów do wyrzucenia Rosjan i jednocześnie nie wyjaśniając w sposób dostatecznie jednoznaczny, że Ameryka nie może udzielić poparcia Somalii w inwazji Ogadenu.

Andrew Young nigdy się nie śpieszy

nie denerwuje i nie traci zimnej krwi. Nawet w sprawach, które go denerwują, lub o ludziach, którzy wzbudzają jego niechęć, mówi w taki sposób, jakby nie były one godne dyskusji. Wszystko to jednak nie oznacza, iż w momencie, gdy uzna to za stosowne, nie jest w stanie zdobyć się na szybkie i błyskotliwe działanie. Pewien obserwator z Europy uczestniczył ostatnio w spotkaniu Younga z pracownikami ministerstwa zdrowia, oświaty i opieki społecznej. Young przemawiał do audytorium, które w ponad połowie składało się z Murzynów. Mówił on bez wysiłku, nie posługując się notatkami, a mimo to potrafił utrzymać cały czas uwagę słuchaczy. Wspomniany Europejczyk legitymujący się 30-letnim doświadczeniem w stosunkach z politykami i dyplomatami, przekonał się, że mimo woli poczynił więcej notatek z wystąpienia Younga, niż kiedykolwiek przedtem na jakimkolwiek zebraniu publicznym.

Andrew Young rozpoczął swoje wystąpienie od odpowiedzi na zarzuty, że zapomniał o Murzynach amerykańskich. W tym miejscu warto przypomnieć, że to właśnie głównie Young spowodował, że większość czarnych wyborców oddała swoje głosy za Carterem oraz że wśród wielu uwag krytycznych o administracji zdarzały się również często skargi ze strony Murzynów, że Carter o nich zapomniał i nie spełnił swych obietnic przedwyborczych. Young powiedział swym słuchaczom, że takie zapatrywanie się na powyższy problem jest niewłaściwe. Rozwiązanie problemów wewnętrznych jest uzależnione od postępu na arenie międzynarodowej. Skutki wojny na Bliskim Wschodzie z 1973 r. dla amerykańskiej gospodarki wykazały, że Murzyni — ostatni w kolejce do uzyskania pracy i pierwsi zwalniani z pracy — odczuli na własnej skórze najgorsze efekty tego i innych kryzysów międzynarodowych. Natomiast nowa administracja stworzyła „nowy klimat" w stosunkach międzynarodowych.

Poprzednio amerykańska polityka zagraniczna na wszystkie sprawy patrzyła przez pryzmat stosunków Wschód—Zachód i jej obsesją była kwestia komunizmu — powiedział Young. Obecnie te sprawy traktuje się inaczej. Na przykład w Angoli rząd wyznawał ideologię marksistowską, ale był zaopatrywany w ropę przez amerykański koncern. Prawidłowa polityka w Afryce polega na zezwoleniu podobnym siłom na wypowiadanie się i działanie na własny rachunek. Należy pokazywać, że Ameryka odnosi się z sympatią do afrykańskich dążeń narodowych. Dlatego właśnie, że administracja Cartera przyjęła taki kurs polityczny, zyskała sobie szacunek prezydentów „państw frontowych" (graniczących z Rodezją).

Kiedy po zakończeniu wystąpienia przyszła kolej na pytania, ktoś zagadnął:

„W jaki sposób ograniczone sankcje mogą wywrzeć oczekiwany wpływ na RPA?". Young odparł, że żadne sankcje nie będą w stanie wywrzeć odpowiedniego skutku, ponieważ RPA jest „w sposób zadziwiający niezależna". Może ona przetrwać dziesiątki lat stosowania totalnych sankcji.

Ostatnie pytanie dotyczyło Ugandy i szkód, jakie Idi Amin może wyrządzić prestiżowi Afryki. Young stwierdził, że nie sądzi, aby rządy Amina były zjawiskiem o typowo afrykańskim „wewnętrznym" charakterze. To właśnie Brytyjczycy posłużyli się Aminem, aby pozbyć się Miltona Obote (poprzedniego szefa rządu cywilnego w Ugandzie, obalonego przez Amina).

„Obote był właśnie takim aroganckim czarnym intelektualistą — powiedział Young z pewną dozą sarkazmu — **a więc zaczęli się rozglądać za innym facetem. Chcieli wychować sobie dobrego czarnucha, którego będą mogli kontrolować... i był nim właśnie Idi Amin".**

Słuchacze roześmiali się, nie po raz pierwszy zresztą od czasu rozpoczęcia spotkania, które zakończyło się, również nie po raz pierwszy, burzliwą owacją dla prelegenta.

Andrew Young nigdy nie znajdował się w kłopotach materialnych, z wyjątkiem może okresu, kiedy siedział w areszcie na głębokim Południu Stanów Zjednoczonych w związku z jego działalnością w Ruchu Praw Obywatelskich. 46-letni obecnie Young jest synem dość zamożnego dentysty, który mieszkał w dzielnicy Nowego Orleanu, zamieszkałej głównie przez białych. Jego ojciec był głęboko rozczarowany, gdy Andrew postanowił poświęcić się karierze duchownej, zamiast pójść w jego ślady. Pomimo, iż był on dumny z mianowania jego syna ambasadorem amerykańskim w ONZ, to jednak nadal uważał, że „miałby bardziej zabezpieczoną przyszłość, gdyby został dentystą".

Jeżeli nawet by tak było, to nie ulega wątpliwości, że obecny styl życia rodziny Youngów jest bardziej wytworny niż w przeszłości. On, jego żona Jean, która jest wizytatorem szkolnym oraz ich czwórka dzieci (trzy dziewczynki i chłopiec) mieszkają w oficjalnym apartamencie w Waldorf Towers (luksusowy wieżowiec z mieszkaniami do wynajęcia, wejścia strzeże tam portier w liberii i białych rękawiczkach).

Andrew Young i jego żona opiekują się również dziećmi zmarłego Roberta Sobukwe, którego Young spotkał w Kimberley na krótko przed jego śmiercią.

Jaki będzie następny etap kariery?

Może sekretarz stanu? Pewien brytyjski dyplomata zapytany, co o tym sądzi, oświadczył, że — jego zdaniem — byłaby to pomyłka. Young nie posiada bowiem „wystarczającego stopnia zainteresowania w badaniu szczegółów danego zagadnienia oraz poczucia ważności tej funkcji". Nie jest on również tak zdecydowany i logiczny w swych poczynaniach jak Cyrus Vance. A więc może prezydent? Niejeden zawahałby się przed postawieniem Youngowi osobiście takiego pytania, ale przynajmniej jeden obserwator sądzi, że Young nie wykluczył całkowicie takiej możliwości, aczkolwiek uważa ją za mało prawdopodobną.

To, co Andrew Young uczynił dotychczas, polega głównie na tym, iż pomógł on swym rodakom, zarówno w rządzie, jak i w najszerszych warstwach społecznych, lepiej zrozumieć i jednocześnie bardziej uczulić na sposób myślenia czarnej Afryki i można stwierdzić, że obecnie pojęli oni to w stopniu bez precedensu w dotychczasowej historii USA. Stał się on symbolem zyskującego na znaczeniu racjonalnego wpływu czarnych Amerykanów na amerykański system władzy, który to wpływ najwidoczniej zaczyna odgrywać coraz większą rolę. I to jest bez wątpienia najważniejsze osiągnięcie Andrew Younga".

PASTOR, KTÓRY ZOSTAŁ POLITYKIEM

EFFEL: POKÓJ – NAJCENNIEJSZE DOBRO

Twórczość Jeana Effela, znakomitego francuskiego rysownika, autora słynnych cyklów humorystycznych „Stworzenie świata" i „Stworzenie człowieka" — znana jest na całym świecie. Artysta, który niedawno obchodził 70 rocznicę urodzin, współpracuje z wieloma pismami nie tylko we Francji. A oto wywiad, jakiego udzielił niedawno autor „Stworzenia świata".

— Dlaczego występuje pan zawsze pod pseudonimem?

— Ponieważ moje prawdziwe nazwisko — Francois Lejeune, niewygodne było przy podpisywaniu prac. Zresztą nie wyrzekłem się swego nazwiska. Pseudonim powstał przecież z inicjałów „ef" i „el".

— Jakie były początki pana kariery?

— Zacząłem rysować w latach dwudziestych, po odbyciu służby wojskowej. Moim pierwszym pracodawcą był pewien drobny wydawca, który za każdy wydrukowany rysunek pozwalał mi zjeść u siebie śniadanie. Potem los zetknął mnie z Henri Barbussem. Zaprzyjaźniłem się z wieloma publicystami i pisarzami występującymi przeciw faszyzmowi, zacząłem współpracować z gazetą KPF „L'Humanite" i innymi pismami, rysowałem wtedy bez opamiętania karykatury i cykle satyryczne na aktualne tematy polityczne i społeczne. W czasie wojny ołówek był nadal moją główną bronią.

— Uważa pan siebie przede wszystkim za karykaturzystę, a przecież jest pan także autorem książek.

— Tak. „Popełniłem" 160 tytułów, wliczając w to albumy, które zostały przetłumaczone na 20 języków. Ale określenie „karykaturzysta" nie bardzo mi odpowiada. Nie zajmuje mnie beztroskie i krotochwilne wydrwiwanie rzeczywistości czy ludzkich przywar, co jest cechą charakterystyczną karykaturzysty. Uważam siebie za rysownika—dziennikarza, komentującego za pomocą kreski najważniejsze wydarzenia polityczne i społeczne.

— Sądząc po pana młodzieńczych rysunkach, dzieciństwo musiało panu upłynąć w pogodnej i szczęśliwej atmosferze.

— Wręcz przeciwnie. Czułem się wtedy bardzo nieszczęśliwy. Moja matka była kobietą surową i niezwykle wymagającą — nic dziwnego, wykładała przecież język niemiecki w szkole. Było nas siedmioro dzieci, ja urodziłem się drugi. Mój starszy brat, Michel, był stawiany mi zawsze jako przykład posłuszeństwa, inteligencji, pilności. Jest obecnie, notabene, jednym z najsłynniejszych lingwistów we Francji, członkiem Francuskiej Akademii Nauk, kieruje kilkoma instytutami naukowymi. W dzieciństwie już wszyscy go lubili i szanowali, podczas gdy mnie uważano za leniucha, nicponia i w ogóle nic dobrego. Matka, mówiąc o mnie, niezmiennie dodawała: „...i za co mnie los pokarał takim synem".

Rodzina moja należała do tzw. średniej burżuazji, matka uważała więc za swój obowiązek dać nam „przyzwoite wykształcenie", jak to się wtedy mawiało. Mieliśmy wychowawczynię, freulein Gartmann. To ona pierwsza nauczyła mnie patrzeć na świat i dostrzegać jego niezwykłość i piękno. Byłem dzieckiem skrytym, na zewnątrz cały nastroszony i gotowy odgryzać się każdemu, kto mnie zaczepił. Byłem bardzo nieszczęśliwy i pełen kompleksów.

— Co pan uważa za przełomowy moment w swoim życiu?

— Rok 1932. Miałem wówczas 14 lat, spotkałem cudowną dziewczynę, która mnie pokochała takim, jakim byłem. Wkrótce pobraliśmy się i po raz pierwszy w życiu byłem naprawdę szczęśliwy. W tym samym roku poznałem Andre Barbussa i zaprzyjaźniłem się z nim. Pod jego wpływem powstał mój pierwszy rysunek polityczny przeciw wojenie w Maroku, zamieszczony w „Le Monde", którym wówczas kierował Barbusse. Konkretyzowały się też coraz bardziej moje przekonania polityczne. Przekonałem się, że rysowanie może być nie tylko zabawą, przyjemnością, lecz także wkładem do walki o pokój, o społeczną sprawiedliwość. Zmienia się wymowa i treść moich rysunków.

— A co zaliczyłby pan do najważniejszych wydarzeń w swoim życiu w ciągu ostatnich kilku lat?

— 25 lutego 19. roku otrzymałem Międznarodową Nagrodę Leninowską „Za umacnianie pokoju między narodami". To był najważniejszy dzień w całym moim dotychczasowym życiu.

— Gdyby jeden z tych aniołków, które, znajdują się niemal na wszystkich pana rysunkach był w stanie spełnić każde pańskie życzenie, o co by go pan prosił?

— O pokój! Pokój to najcenniejsze dobro, jakie ludzkość posiada. Dlatego całe swoje twórcze życie poświęciłem propagowaniu idei pokoju, wzajemnego zrozumienia i przyjaźni między narodami. Pokój jest nieodłączny od socjalizmu. Socjalizm nie potrzebuje wojen, są one sprzeczne z jego podstawowymi założeniami. I gdyby mnie zapytano, jakie jest moje najgorętsze pragnienie, odpowiedziałbym: NIECH NA NASZEJ PLANECIE ZAPANUJE POKÓJ I SOCJALIZM.

W Zairze już od dawna nie ustają zbrojne wystąpienia mas ludowych. Kraj znajduje się w stanie chronicznego krachu, walutowego bankructwa i katastrofalnego spadku poziomu życia przytłaczającej większości społeczeństwa. Ludność, doprowadzona do rozpaczy nędzą, podatkami, nadużyciami, złodziejstwem organów administracji, korupcją i ogólnym chaosem chwyta za broń. Tymczasem władze wydają ogromne sumy pieniędzy na cele prestiżowe, próbując w ten sposób zamaskować swoje klęski na wszystkich frontach życia ekonomicznego, politycznego i społecznego.

Front Narodowego Wyzwolenia Konga (FNWK) skierował do ambasad USA, Belgii, Francji, Chin i Maroka telegramy z oświadczeniem, iż wśród powstańców prowadzących operacje bojowe w Szabie nie ma ani jednego żołnierza kubańskiego i ani jednego zagranicznego najemnika. W oświadczeniu mówi się, iż konflikt w Szabie jest wyłącznie wewnętrzną sprawą Zairu i nikt nie powinien się do niego wtrącać. Jest to walka szerokich warstw narodu przeciwko tyranii Mobutu. W innym oświadczeniu FNWK podkreślił mocno, iż „w obliczu katastrofalnej ekonomicznej i finansowej sytuacji w kraju, bezpodstawnych aresztowań i wyroków śmierci będących następstwem polityki reżimu, którą narzucił Zairowi gen. Mobutu, naród, w porozumieniu z FNWK oraz innymi ruchami opozycyjnymi, postanowił wziąć na siebie odpowiedzialność i położyć kres despotycznemu reżimowi Kinszasy".

W ciągu wielu lat prezydent Mobutu stworzył system rządzenia oparty na władzy jednego człowieka, otoczonego uprzywilejowaną i skorumpowaną elitą. Jednakże dziś na arenę polityczną wychodzi pokolenie młodzieży, głównie miejskiej, która nie była świadkiem wydarzeń okresu przedmobutowskiego i wskutek tego bardziej gwałtownie protestuje przeciwko nędzy, korupcji i zwiększającej się przepaści między elitą a pozostałą 25-milionową ludnością Zairu. Skazując na śmierć, w marcu tego roku, 13 wojskowych i cywilów, oskarżonych o spisek przeciwko prezydentowi, Mobutu Sese Seko Kuku jeszcze raz wyraźnie pokazał, iż nie zamierza liberalizować reżimu jednoosobowej władzy trwającego w Zairze już 13 lat. Zairski lider ma mnóstwo problemów i, jak wskazują na to nieustanne wyroki śmierci, uważa za konieczne prowadzenie czystki nie tylko w politycznych organach kraju, lecz również w wojsku. Mimo ogromnej pomocy mocarstw zachodnich — które nie mając jeszcze odpowiedniego „zmiennika" dyktatora, muszą nadal stawiać na niego — Mobutu jest bardzo zaniepokojony, jeśli wręcz nie przerażony, i ucieka się do terroru, widząc w nim jedyny środek samoobrony.

Masowy terror nie jest jednak możliwy bez aparatu represji, składającego się z ludzi ślepo zaprzedanych swemu panu i gotowych bez namysłu zabijać na jedno skinienie ręki. Mobutu sądził, że ma taki aparat. Okazało się wszakże, iż nawet wśród oficerów wiernej cesarskiej gwardii wielu jest takich, którzy by się chętnie od Mobutu uwolnili. Armia dla reżimu sprawującego władzę w Zairze jest jedyną jego podporą i jednocześnie źródłem śmiertelnego niebezpieczeństwa. Żeby dławić rozruchy co rusz wybuchające w różnych rejonach Zairu i jednocześnie walczyć z partyzantami na południu, wschodzie i północy kraju, Kinszasa powinna utrzymywać pod bronią co najmniej 60 tysięcy żołnierzy. Ale reżim Mobutu najbardziej nie dowierza właśnie armii, obawiając się, iż wśród jej oficerów mogą się objawić niebezpieczni konkurenci, gotowi rzucić mu wyzwanie. Przypomnijmy, iż po ofensywie sił zbrojnych FNWK w ubiegłym roku, która omal nie pozbawiła Mobutu życia i dalszej politycznej kariery, wielu oficerów i cywilów rozstrzelano tylko dlatego, że ich popularność mogła zaćmić samego Mobutu.

W końcu marca tego roku, w prowincji Kasai wybuchły zacięte walki między powstańcami a wojskami rządowymi. Przeciwko siłom FNWK rzucono wyborowe oddziały, którym kazano zniszczyć „najemników" i ująć przywódcę Frontu, gen. Mbumbę. Niebawem jednak myśliwi sami stali się zwierzyną: wszyscy oficerowie z tych wyborowych oddziałów, a w ich liczbie gen. Ikuku i trzech majorów, zginęli w walce. Pragnąc zachować pozory, reżim w Kinszasie poinformował opinię publiczną, że wszyscy oficerowie zginęli w katastrofie śmigłowca. Liczba partyzantów nieustannie rośnie. Uciekinierzy z Zairu, 50

ZAIR

POWSTANIE PRZECIWKO TYRANII MOBUTU

—75 tys. osób, którzy znaleźli schronienie w Sudanie i Ugandzie, stworzyli niedawno organizację, której kierownictwo wysłało do prezydenta FNWK, gen. Mbumby, list, w którym wyraża gotowość „wystąpienia w zjednoczonym froncie, ponieważ najbardziej efektywną bronią jest jedność działania". Godny uwagi jest fakt, iż kilka tysięcy powstańców, walczących na północy kraju, zmierza do koordynacji swoich działań z oddziałami powstańców walczącymi na południu. Poza tym w armii rządowej są oficerowie, którzy nawiązali już kontakty z przywódcami Frontu, dając do zrozumienia, że czekają tylko na odpowiedni moment, żeby przejść na stronę FNWK.

W kraju mnożą się spontaniczne wystąpienia ludności. W styczniu tego roku, podczas wizyty Mobutu w Paryżu i Brukseli, wybuchło powstanie w Bandungu, okrutnie zdławione. Równie krwawo stłumiono powstania, między innymi, we wsiach prowincji Kwilu — około 2.000 wymordowanych i w rejonie Idiof, gdzie publicznie powieszono 15 osób. „Wódz" zrozumiał wreszcie, że kraj wymyka mu się z rąk, nie można bowiem wysyłać spadochroniarzy do każdej wsi, do wszystkich zakątków tego ogromnego (ponad dwa miliony kilometrów kwadratowych) kraju. Zairski reżim ogarnął strach i pozostało mu tylko jedno: upaść na kolana przed Zachodem. Jednakże nie można, nie ryzykując utraty poparcia tzw. umiarkowanych krajów członkowskich Organizacji Jedności Afrykańskiej, pacyfikować kraju rękami zagranicznych żołnierzy. Tak więc reżim Mobutu znów przywołuje najemników. Paryski tygodnik „Afrique et Asie" informuje, iż operację werbowania najemników do Zairu finansują pewne koła w RFN, lecz punkty werbunkowe działają w Belgii, Francji, USA i Anglii. W Zairze „szefem sztabu" najemników jest b. belgijski major, niejaki Weber, który swego czasu był najemnikiem Czombego.

Powstaje pytanie: czy Mobutu utrzyma się przy władzy? Przypuszcza się, że tak. Przynajmniej na razie. Biali przedsiębiorcy z Zachodu oraz zairska elita — przedstawiciele prywatnego i państwowego biznesu na wielką skalę — są głęboko zainteresowani pozostawieniem Mobutu przy władzy, który gwarantuje istnienie gospodarki kapitalistycznej. W tym ekonomicznym chaosie, mimo rozpaczliwej sytuacji gospodarczej, można robić duże pieniądze i wywozić je za granicę. Działająca w Zairze tajna policja przy tzw. Narodowym Ośrodku Dokumentacji „tworzy klimat niekorzystny dla działacza politycznego, który by mógł wystąpić w roli przywódcy opozycji". Dobrze przeszkolone i doskonale opłacane jednostki ochrony prezydenta są wojskową elitą osobiście zainteresowaną w pozostawieniu Mobutu przy władzy. Jednakże nawet zachodni dyplomaci uważają, iż system Mobutu nie może długo istnieć w sytuacji pogłębiającego się kryzysu ekonomicznego. Dotąd system ten polegał na tym, że każdy, kto reprezentował siłę, siedział przy stole prezydenta i otrzymywał swoją porcję ciasta z rodzynkami. Teraz problem polega na tym, że liczba ludzi, którzy powinni zasiadać przy prezydenckim stole, jest dużo większa, a ciasta jest coraz mniej. Towarzyszy temu stałe niebezpieczeństwo wzrostu niezadowolenia z rządów Mobutu w centralnych i południowych rejonach kraju. Nastroje w wojsku są niebezpieczne i wiara w armię dowodziłaby braku rozwagi. Przykład: na 80-tym kilometrze szosy wiodącej do prowincji Szaba od granicy z Zambią, obdarci żołnierze rządowi wybudowali sześć ruchomych szlabanów, które otwierają, pobierając opłaty za przejazd: od dwóch miesięcy nie otrzymali żołdu. Takie same zapory wybudowali żołnierze armii rządowej na magistrali Matadi—Kinszasa. Mimo dochodów w zagranicznej walucie — jak podaje „Financial Times" — które w ub. roku sięgały sumy blisko 2 miliardów dolarów, Zair znajduje się w sytuacji bankruta. Jednakże politycy na Zachodzie, monopole i przeróżne lobby wiedzą doskonale, iż Zair jest potencjalnie bajecznie bogaty i warto go eksploatować, a twarda, antykomunistyczna polityka Mobutu jest częścią biznesu, którą proponuje on Zachodowi w zamian za poparcie i pomoc. Tak więc, ratując reżim Kinszasy oraz pragnąc zachować swoje pozycje w tym strategicznie i ekonomicznie ważnym kraju afrykańskim, USA, Francja, Belgia i Anglia dokonały zbrojnej interwencji w Szabie.

JERZY CZECH

USA

NOWE BRONIE JĄDROWE

Rząd Cartera zwrócił się do Kongresu o zatwierdzenie asygnacji na opracowanie nowego rodzaju bomby jądrowej, będącej przeciwieństwem działania bomby neutronowej: bomby o większej mocy wybuchu i mniejszej radiacji. Bomba z obniżoną radiacją jest tylko jednym z kilku typów opracowywanej obecnie bomby jądrowej, o czym współpracownicy Ministerstwa Energetyki poinformowali w ubiegłym miesiącu na zamkniętym posiedzeniu jednej z podkomisji. Podczas konferencji Donald Kerr, pełniący obowiązki pomocnika ministra energetyki do spraw programów obrony, poinformował komisję, iż proponuje się znaczne zwiększenie produkcji broni jądrowej w nadchodzącym roku budżetowym, na podstawie dwuletniego programu, zatwierdzonego przez prezydenta Cartera w grudniu 1977 roku. Podpisując ten dokument w ub. roku, prezydent Carter kontynuuje szeroki program tworzenia broni jądrowych, który rozpoczął prezydent Ford. Wydatki Ministerstwa Energetyki w bieżącym roku finansowym na badania i produkcję broni jądrowej wynoszą półtora miliarda dolarów. Obecne plany produkcji — powiedział Kerr — wskazują, iż w połowie 1980 roku budżetowego trzeba będzie uruchomić w pełni wszystkie moce produkcyjne. Żeby zaspokoić zapotrzebowanie na pluton i tryt do produkcji broni jądrowych, Min. Energetyki zaproponowało użyć do tego celu, na pełnych obrotach, trzy spośród jego reaktorów wybudowanych na rzece Savanna. Prezydencki dokument z grudnia 1977 roku zezwala na produkcję, aż do końca 1980 roku, nowej głowicy do balistycznej rakiety Trident w marynarce wojennej, nowej głowicy M 12A, do międzykontynentalnych balistycznych rakiet Minuteman 3, wystrzeliwanych z Ziemi oraz głowicy jądrowej do nowych taktycznych i strategicznych wariantów rakiet skrzydlatych, wystrzeliwanych z samolotów i okrętów, ponadto produkcję jednocześnie czterech wariantów nowej taktycznej bomby jądrowej nazwanej W 61. Trzy nowe typy broni neutronowej: głowice do rakiety Lance, 8-calowe i 150-milimetrowe artyleryjskie pociski — również weszły do planu produkcji, opracowanego w grudniu ub. roku. W tym samym dokumencie prezydent podjął decyzję o zakazie produkcji strategicznej jądrowej bomby W 77, przeznaczonej głównie do przenoszenia przez bombowiec B-1, którego produkcja została również wstrzymana. Jednocześnie Carter zgodził się na zakończenie technicznego opracowania bomby W 77, pozostawiając na później rozstrzygnięcie problemu jej produkcji. Komisja Izby Reprezentantów do spraw sił zbrojnych powiadomiła Biały Dom, że nie zaaprobowała zakazu produkcji bomby W 77. Komisja, która powinna jeszcze zakończyć rozpatrywanie projektu ustawy o zakupach broni jądrowej, może włączyć do niego środki na bombę W 77. Chociaż sumy, o których mowa, są tajne, to jednak liczby wymienione podczas posiedzenia w ub. miesiącu wskazują, iż na opracowanie bomby W 77 wydatkowano już blisko 195 milionów dolarów.

Jak poinformował Kerr, prezydent upoważnił także Min. Energetyki do opracowania planów kilku innych rodzajów nowej broni do 1985 roku. Oczekuje się, jak informuje dziennik „Washington Post", że oprócz bomb burzących, w stadium prac próbnokonstrukcyjnych znajdą się także inne rodzaje nowych broni jądrowych, takich jak: głowica do taktycznej rakiety Pershing 2 o zasięgu 640 km, oraz głowica do wystrzeliwanej z Ziemi rakiety skrzydlatej.

(C.)

DEBATA ROZBROJENIOWA

Specjalna sesja Zgromadzenia Ogólnego NZ skupia uwagę opinii publicznej. Debatuje się bowiem na najważniejszy współcześnie temat: rozbrojenia. Jego znaczenie podkreśla m. in. fakt nagromadzenia już takiego potencjału broni nuklearnej, że wystarczyłby do siedmiokrotnego zniszczenia każdego miasta na kuli ziemskiej. Nie mówiąc o dwóch największych mocarstwach, które dysponują 95 proc. światowych zapasów broni jądrowej i łożą na zbrojenia najwięcej — nawet kraje trzeciego świata ponoszą wysokie koszty zbrojeniowe i to takiego rzędu, że jak się oblicza, są to kwoty pięciokrotnie większe niż przeznaczane tam na inwestycje rolne. Słowem — jest wiele powodów najwyższego zainteresowania trwającą sesją.

Z pierwszego tygodnia obrad zwróćmy uwagę na dwa fakty w kolejności chronologicznej: **przemówienie min. E. Wojtaszka i propozycje min. A. Gromyki.**

Z przemówienia polskiego ministra spraw zagranicznych wybieramy te fragmenty, które odnoszą się do oczekiwań związanych z sesją.

Przede wszystkim **powinna ona przynieść realistyczny dokument,** który nie będzie miał charakteru deklaracji, lecz wytyczy najważniejsze kierunki działania w dziedzinie rozbrojenia, możliwe do zaakceptowania przez ogół.

„Musimy — powiedział min. Wojtaszek — ...określić jak najszerszy mianownik wspólnoty interesów zdecydowanej większości państw poprzez ustalenie podstawowych celów i zasad rozbrojenia, a także programu niezbędnych przedsięwzięć".

Sesja ponadto **powinna wpłynąć na „zdecydowane przyśpieszenie"** toczących się na różnych płaszczyznach rokowań rozbrojeniowych.

Po sesji wreszcie spodziewamy się, **że utoruje drogę i podejmie konkretne kroki przygotowawcze do zebrania się Światowej Konferencji Rozbrojeniowej.** Uważamy taką konferencję za „autorytatywne, ogólnoświatowe forum, odpowiednio zorganizowane, dysponujące organami roboczymi dla wypracowania praktycznych rozwiązań rozbrojeniowych, uwzględniających interesy wszystkich państw".

Przemówienie radzieckiego ministra spraw zagranicznych przyniosło **propozycję Kraju Rad przerwania ilościowego i jakościowego wzrostu zbrojeń i sił zbrojnych państw,** dysponujących wielkim potencjałem militarnym. Uwzględniając, że arsenały składają się z wielu komponentów — **ZSRR zaproponował konkretnie:**

— przerwanie produkcji wszelkich rodzajów broni jądrowej,

— przerwanie produkcji i wprowadzenie zakazu wszystkich innych rodzajów broni masowej zagłady,

— przerwanie opracowywania nowych rodzajów broni konwencjonalnej o wielkiej sile niszczącej,

— rezygnację z rozbudowy sił zbrojnych i zwiększania zbrojeń konwencjonalnych przez państwa, będące stałymi członkami Rady Bezpieczeństwa oraz kraje związane z nimi układami wojskowymi.

„Proponujemy — powiedział A. Gromyko — aby specjalna sesja powzięła pryncypialną decyzję o rozpoczęciu rokowań w sprawie rozbrojenia nuklearnego oraz w kwestii nie stosowania siły, aby ustaliła tryb przygotowawczy tych rokowań i konkretne daty ich rozpoczęcia".

Min. Gromyko podkreślił następnie, że ZSRR:

— wnosi pod obrady sesji kwestię nie rozmieszczania broni jądrowej na terytoriach tych państw, w których nie ma jej obecnie,

— opowiada się za całkowitym zakazem broni neutronowej,

— uznaje za pilną konieczność wprowadzenia zakazu broni chemicznej oraz radiologicznej,

— oczekuje postępów w sprawie redukcji budżetów wojskowych poszczególnych państw, co zalecone zostało przez ONZ,

— spodziewa się, że przebieg specjalnej sesji przybliży zwołanie Światowej Konferencji Rozbrojeniowej.

Radziecki głos w debacie generalnej wysłuchany został z największą uwagą i żywo komentowany jest w kołach politycznych.

W ub. tygodniu występowali także: wiceprezydent USA — **W. Mondale,** prezydent Francji — **G. d'Estaing** i kanclerz RFN — **H. Schmidt.** Komentatorzy piszą zwłaszcza o propozycjach Francji: powołania światowego instytutu rozbrojenia, który miałby być organem ONZ oraz zwołania konferencji rozbrojeniowej wszystkich uczestników KBWE.

Dyskusja trwa, propozycje wysłuchiwane są z zainteresowaniem. Aby jednakże sesja spełniła swe zadanie musi być spełniony jeden warunek — wszystkie państwa muszą chcieć rozbrojenia okazać dobrą wolę i przyjąć takie rozwiązania, które nie naruszałyby niczyjego bezpieczeństwa.

W. SŁAWSKI

recenzje

MŁODSZY BRAT TOWARZYSZA SZCZUKI

Na dobrą sprawę Jerzy Grzymkowski jest pisarzem jednego tematu, nieustannie piszącym jedną książkę. Wynika to zapewne z osobistego przeświadczenia autora „Zderzenia", iż twórca jeśli rzeczywiście chce coś powiedzieć, pozostawić po sobie nie tylko współczesnym ale i potomnym, to musi pisać o sobie, o swoim pokoleniu, o czasach, wydarzeniach i ludziach znanych z autopsji. Pisarz bowiem nie może i nie powinien być jedynie świadkiem wydarzeń, lecz w kategoriach społeczno-politycznych bezpośrednim uczestnikiem. A pisać o sobie, o swoim pokoleniu, to rozpisywać na wiele książek ciągle tę samą, tę jedną, najbardziej autobiograficzną, najbardziej osobistą opowieść. Ale też słusznie swego czasu Stanisław Zieliński w swoich „Wycieczkach balonem" pisał, iż „wszystko, co pisze Grzymkowski, tkwi w krajobrazie polskim, jest tego krajobrazu naturalnym składnikiem".

Składnikiem najbardziej współczesnym, a przez to nośnym i znaczącym w czytelniczym odbiorze. Stąd zainteresowanie i czytelnicze powodzenie książek Grzymkowskiego, który debiutując w 1965 roku, ma obecnie już na swym koncie dziewięć pozycji książkowych. Każda z tych książek tylko pozornie dotyczy innej problematyki, porusza inny krąg zagadnień współczesnego życia. Wszystkie bowiem one układają się w jedną wielką opowieść o pokoleniu Polaków współczesnemu pisarzowi. Pokoleniu, które urodzone w dwudziestoleciu międzywojennym, swoją społeczną, polityczną jak i historyczną świadomość kształtowało w tyglu jakże skomplikowanych i dramatycznych wydarzeń lat wojny, hitlerowskiej okupacji oraz czasów już powojennych, na łamach książek Grzymkowskiego zamykających się na latach siedemdziesiątych. Tak było w przypadku „Czarnej kołysanki", „Zderzenia", „Gdy byłem hutnikiem", „Salamuna". Tak jest też w przypadku najnowszej tego pisarza powieści „Wierne blizny", napisanej już w 1974 roku.

I gdyby też szukać dla niej motta, ściślej, pisarskiego uzasadnienia, gdyby szukać narodzin jej zamysłu, to można by się posłużyć fragmentem z napisanej w 1970 roku powieści „Ciemna rzeka": „Po wsiach jeździło wojsko. Wybierało broń ze skrytek, spod strzech i chłopów spod pierzyn. Bezpieczeństwo węszyło za najdrobniejszym nawet śladem. Byli tacy, co nocą wrzucali broń do Wieprza. Inni zakopywali. Nawet nie bardzo wiedzieli po co. Nie zdali jej w porę i teraz nie wierzyli w amnestię. Z przyśpieszonym biciem serca słuchali warczących nocami na szosach samochodów. Byli jednak i tacy, którzy wiedzieli, po co trzymają dobrze zakonserwowane automaty i karabiny. Czekali na sygnał. Na wybuch wojny".

W „Wiernych bliznach" tym właśnie ludziom przeciwstawia Grzymkowski ludzi młodych, którzy w pierwszych powojennych latach byli „egzekutorami historii lub, jak kto woli, rewolucji". To oni realizowali w codziennej, jakże trudnej i dramatycznej powojennej rzeczywistości nowe, które niosło ze sobą PKWN. Ale też ci młodzi jakże często płacili najwyższą cenę nie tylko z ofiary własnego życia ale również psychicznych załamań, tragicznych odchodzeń od prawd przez siebie głoszonych i wyznawanych. I trzeba było nie lada hartu ducha, aby mimo wszystkich przeciwności pozostawać do końca wierny ideom, w które się wierzyło i o które się walczyło na śmierć i życie.

Dzisiaj to już tylko historia, często zaledwie zarys wspomnienia mimo, iż pozostały po nich częściej psychiczne aniżeli fizyczne blizny. Ale może tym bardziej należy o nich pamiętać, utrwalać w powieściowej materii. Nie żeby je rozdrapywać czy osądzać, lecz pozostawić o nich pamięć potomnym, aby nieustanna lekcja historii nie stanowiła jedynie martwego przedmiotu wyliczającego fakty i daty. Historia bowiem bez względu na dawność czy świeżość wydarzeń, jest przede wszystkim relacją o żywych ludziach. I o tym doskonale pamięta Grzymkowski. Stąd w „Wiernych bliznach" mamy pokazaną najnowszą historię naszych dziejów poprzez żywego człowieka, który jest nieustannym uczestnikiem i twórcą wydarzeń. Kształtowany przez nie równocześnie sam je tworzy, aby później odnajdywać w nich sens swego istnienia, potrzebę działania. Bohater tej powieści jest świadomy w swoim działaniu i mimo niepowodzeń i klęsk pozostaje do końca wierny ideom, w imię których podejmował swoje działanie.

Ale też gorzka jest gama doświadczeń osobistych bohatera. Nie dająca sukcesów ale satysfakcję i wiarę w słuszność codziennego postępowania. Bohater powieści porucznik Madejski to jakby dużo młodszy brat towarzysza Szczuki z „Popiołu i diamentu". Też ta sama gorąca wiara w słuszność wyznawanej idei, też ta sama nieustanna chęć walki i pełna świadomość, że dla tej właśnie idei warto poświęcić życie. Madejski nie ginie od bratobójczej kuli, niemniej jednak doświadcza to wszystko co wpisała historia w nielatwe powojenne lata naszych dziejów. Grzymkowski poprzez losy porucznika Madejskiego kreśli to wszystko co nie tylko kształtowało powszechną świadomość każdego z nas, ale co również determinowało odmienność postaw i ocen kolejnych wydarzeń.

Madejski jest w jakimś sensie „człowiekiem z marmuru", człowiekiem - monolitem w kategoriach codziennego myślenia i działania w całej swojej strukturze psychicznej będącej wyznacznikiem jego postępowania. Ale jest też człowiekiem nieustannie na wskroś samotnym, w każdej sytuacji zdany na siebie. Można by się nawet było w tym doszukiwać u autora wiary w determinizm, w niemożność zawierzenia w przyjaźń, w dobro drugiego człowieka. Madejski bowiem w każdej sytuacji jest sam. Każdą też decyzję musi podejmować na własną odpowiedzialność. Ale może dzięki temu jest w stanie przetrzymać wszystko najgorsze. Nie tylko samą walkę o nową władzę, której na wsi skumanej z reakcyjną bandą, jest przedstawicielem, ale też i wszystko to, co dane mu było przeżyć w konsekwencji niesłusznych oskarżeń i pomówień, to wszystko co w sposób jednoznacznie dramatyczny rozgrywało się w latach pięćdziesiątych. Madejski tworząc konkretne wydarzenia, w konsekwencji stał się ich ofiarą. Wierząc jednakże w słuszność swego działania w imię racji nadrzędnych, nie załamuje się w obliczu prowokacji i niesłusznych oskarżeń. Do końca pozostaje wierny raz przyjętej i wyznawanej idei. Ale może dlatego rozważając nad kategoriami osobistych sukcesów, z perspektywy czasu oceniając to wszystko co dotychczas dane mu było przeżyć i doświadczyć, konstatuje, iż: „Moje osiągnięcie! Nie boję się ani nie wstydzę powiedzieć głośno, publicznie o tym, co w życiu robiłem".

Madejski z lat swojej służby wojskowej, późniejszych lat niesłusznego więzienia wychodzi z licznymi bliznami psychicznymi. Lecz właśnie te blizny powodują, iż jest człowiekiem twardym, głęboko wierzącym nie w sprawiedliwość w kategoriach pojęcia abstrakcyjnego, ale w sprawiedliwość codziennej praktyki. I być może, że jest w tej swojej wierze zbyt monolityczny. Tylko że Grzymkowski chciał pokazać osobowość człowieka przekonanego do końca o swoich racjach, o niepodważalności ich założeń, jeśli oparte są one o wielką ideę, jaką w przypadku Madejskiego jest komunizm.

I żeby na koniec jeszcze raz odwołać się do Stanisława Zielińskiego: „Grzymkowski wykłada historię przekonywająco. Przede wszystkim dlatego, że wielkie sprawy rozgrywa w kręgu ludzi małych, że zanim osądzi czy potępi, każdego stara się zrozumieć".

„Wierne blizny" są tego potwierdzeniem. I chyba dlatego ta książka jest jedną z tych nielicznych, jakie się ostatnio u nas ukazały, o których się będzie mówić, na które się czekało. Bo jest to powieść na równi rozrachunkowa co i kreacyjna, dająca model bohatera na pewno niełatwego do przyjęcia, ale nad losami którego warto się zadumać. A przecież wciąż narzekamy na brak bohatera czasów nam współczesnych.

TADEUSZ J. ŻÓŁCIŃSKI

Jerzy Grzymkowski: Wierne blizny. PIW. Warszawa 1978 r. s. 437, zł 45.

AUTENTYKI

Kolejny, trzeci już z rzędu film Krzysztofa Wojciechowskiego pt. „Antyki" potwierdza charakterystyczny styl filmowego pisma tego reżysera, wierność przyjętym od debiutu założeniom warsztatowym oraz — last but not least — postawie ideologicznej. Konsekwencja godna najwyższej aprobaty w naszym młodym kinie, gdzie wchodzący do zawodu reżyser musi z reguły ambitny debiut okupić filmem następnym, który jest już komercjalnym serwitutem (Piwowski, Krauze na przykład). Jednakże u Wojciechowskiego ten upór w realizowaniu nader jasno uświadomionej drogi twórczej w ostatnim filmie przyniósł efekty niepełne, które zdradzają pewien dogmatyzm w programie artystycznym reżysera. Wychodzą na jaw te niebezpieczeństwa, które w poprzednich filmach zaledwie zarysowywały się w urzekającym żywiole „filmowości".

Przypomnijmy o co chodzi, bowiem Wojciechowski, pupil krytyki filmowej jest reżyserem bardziej znanym z periodyków filmowych aniżeli z ekranów. Jego dwa poprzednie filmy przemknęły jak kometa przez kina studyjne i utknęły w magazynach dystrybucji ze stemplem „towar niechodliwy". Bowiem Wojciechowski uprawia kino, które może budzić aplauz członków DKF, ale rozmija się z masowymi oczekiwaniami publiczności kin premierowych, mimo iż ideowy program reżysera obliczony jest na jak najszerszy rezonans społeczny. Filmy Wojciechowskiego nie realizowały — jak dotychczas — znanego masowej publiczności repertuaru stereotypów tematycznych. Zarówno „Kochajmy się", jak i „Rodzina" nie były filmami fabularnymi w tym sensie, że konsekwentnie rozwijały jakąś story, która miała swoją dramaturgię, rozwinięcie, kulminację, kończyła się dobrze lub źle. Przywołuje ten zdawałoby się anachroniczny wzorzec, ale przecież współczesny film mimo wszelkie nowofalowe pałacowe przewroty nadal z powodzeniem nim się posługuje. Wojciechowski gardzi ostentacyjnie tym wzorcem, poszukuje tematów dla swoich utworów nie w literaturze i nawet nie w gotowych scenariuszach, lecz w tzw. „gąszczu życia". Ta orientacja na fakt, na autentyk, na dokumentalizm, na „wątki znalezione", a nie wymyślone jest stara jak kino i Wojciechowski nie jest w swoim nastawieniu szczególnie oryginalny. W tym kierunku paradokumentalnym, który od czasów włoskiego neorealizmu, a więc od lat z górą trzydziestu przenika współczesne kino nie chodzi o oryginalność, lecz o umiejętności warsztatowe, o możliwie najbardziej skuteczny sposób wydobywania pożądanych znaczeń i ekspresji, z surowej rzeczywistości. Reżyser z inscenizatora filmowej realności przemienia się w odkrywcę sensu, operując w swojej penetracji autentycznym materiałem. Film faktu posługuje się prawdziwą anegdotą konfliktem i ich scenerią, a także — co najistotniejsze — nie aktorami, lecz prawdziwymi uczestnikami fotografowanych sytuacji i zdarzeń. Wojciechowski ten typ relacji opanował w sposób mistrzowski, ale nie ustrzegł się jednocześnie grożących tej filmowej poetyce niebezpieczeństw. Instynkt dokumentalisty jest wyostrzony na psychologiczny, obyczajowy czy społeczny szczegół. Pogoń za autentyzmem za wszelką cenę powoduje, że reżyser widzi — mówiąc przenośnie — drzewa, a nie dostrzega lasu. Materiał, jego możliwości poznawcze i wyrazowe zaczyna wciągać autora filmu w swoją zdradliwą głębię, która jest zaledwie powierzchnią i rozpoczyna się proces intelektualnej inercji, który powoduje, że autorska intencja rozpełza się i zamazuje w chaosie skądinąd atrakcyjnej i wyrazistej obserwacji.

Otóż ten właśnie proces ilustrują kolejne filmy Krzysztofa Wojciechowskiego. „Kochajmy się", jego olśniewający debiut był dziełem jednolitym, zorganizowanym poprzez dramaturgiczny konflikt dzielący przedstawioną na ekranie wiejską społeczność na dwa zwalczające się zaciecie obozy.

Takiego schematu zabrakło, niestety, w „Rodzinie", gdzie założona przez reżysera opozycja pomiędzy „starym" i „nowym" nie znalazła w przywołanym dokumentalnym tworzywie dostatecznie wyrazistej artykulacji. Wojciechowski uwiedziony syrenim śpiewem bukolicznego pejzażu i jego egzotycznych osobliwości tracił chwilami cel i sens swojej wypowiedzi. Oba filmy łączyła swoista pasja etnograficzna artysty, tropienia we współczesnych wzorach kultury zastygłych narodowych archetypów decydujących o poczuciu zbiorowej więzi i tożsamości.

„Antyki" kontynuują ten trop myślowy ale już w nieco innych okolicznościach. Wojciechowski wierny swoim faktograficznym skłonnościom oparł swój nowy film na głośnej ostatnio aferze kryminalnej wywozu dzieł sztuki z kraju za granicę w celach komercjalnych. Reżyser wybrał temat sensacyjny, ciążący w stronę filmu kryminalnego, a więc gatunku o precyzyjnej linii dramaturgicznej. W „Antykach" temperament Wojciechowskiego zderzył się z wymogami gatunku, w ramach którego jego film — chcąc nie chcąc — funkcjonuje. Metoda reżysera polegająca na poszukiwaniu atrakcyjnych, egzotycznych scen luźno ze sobą związanych w tym filmie wyraźnie zawiodła. Kryminał wymaga precyzji, dokładnego zobrazowania przebiegu akcji. Wiem, że ambicje reżysera w tym filmie były większe, że chodziło mu o pokazanie cynizmu ludzi wystawiających na handel zabytki polskiej kultury, które decydują o naszym poczuciu historii i tradycji. Jednakże zgadzając się w całej pełni z tym przekonaniem, trudniej zgodzić się na sposób jego demonstracji w „Antykach". Film zamyka impresyjny finał zbudowany ze stereotypowych obrazów przeciwstawiających sceny z życia „zgniłego Zachodu" z wizualnymi ekstraktami polskości. Sposób kontrastowania tych dwóch światów jest zaskakująco prymitywny, demagogiczny, i w efekcie, niestety, ośmieszający zacne skądinąd intencje reżysera. Trudno wyrokować w jakim kierunku pójdzie dalszy rozwój tego interesującego filmowca, „Antyki" są jednak dowodem jego kryzysu artystycznego i intelektualnego.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

SEKS W PRZEDSZKOLU

Przypadkowo wpadła mi w ręce niewielka książeczka pt. „Wyjaśniamy dzieciom tajemnice życia". Napisał ją francuski lekarz i psycholog dr André Arthus, tłumaczyła Maria Brzeska. Tytuł nie budzi żadnych wątpliwości co do treści. Książka traktuje o sprawach płci, o uświadamianiu seksualnym. Ewenementem jest to, że została napisana z myślą o małych dzieciach, kilkulatkach zaledwie, podczas gdy większość tego typu lektur przeznaczona jest dla młodzieży w okresie dojrzewania. A przecież to najczęściej przedszkolaki zadają rodzicom „kłopotliwe" pytania. Młodzież radzi sobie sama. Młodzież już wie. Jaką wartość ma ta wiedza, jak została zdobyta, to już zupełnie inna sprawa.

Książeczka składa się z dwóch części: pierwszej przeznaczonej wyłącznie dla rodziców, drugiej — dla dzieci. Część pierwsza zawiera uzasadnienie dlaczego, kiedy i jak należy wprowadzić dziecko w zagadnienia płci. Więc: wiadomości z dziedziny seksualnej powinny być podane dziecku w taki sam naturalny sposób jak nauczenie go czytania, pisania itp., bowiem współżycie seksualne jest funkcją naturalną, właściwą wszystkim żywym istotom. Dbamy o to, aby dziecko odebrało jak najsolidniejsze wykształcenie, więc nie pozbawiajmy go wiedzy i z tej, bardzo ważnej dziedziny życia. O sprawach płci rozmawiajmy nawet z najmłodszym dzieckiem, zapewniamy w ten sposób jego harmonijny rozwój intelektualny i uczuciowy. Dziecko nieuświadomione, odsunięte od spraw płci jest „uczuciowo infantylne". W rozmowach z dziećmi obowiązuje zasada mówienia zawsze prawdy — dziecko nie wybacza rodzicom kłamstwa, uników, fałszywych informacji — traci zaufanie, co ma bardzo poważne konsekwencje wychowawcze. Ale jak? W jaki sposób przekazać dziecku konkretną wiedzę z tej delikatnej dziedziny? Mamy dobre chęci ale nie potrafimy znaleźć odpowiednich słów, nazw, określeń. Jak maluchowi przedstawić intymną stronę małżeńskiej sypialni, moment bodaj dla rodziców najtrudniejszy, a konsekwentnie nie można tego pominąć. Język naukowy jest tu zupełnie nieprzydatny.

I w tym właśnie pomaga część druga: książka — album, przeznaczona dla dzieci. Zawiera szereg zdjęć, częściowo ilustracji opatrzonych krótkim komentarzem słownym. Nic dodać, nic ująć. Każde zdanie wyważone, każde słowo odpowiednio dobrane na podstawie własnych doświadczeń autora oraz listów wielu czytelników — francuskich matek i ojców. Tekst prosty, zrozumiały dla dzieci z różnych środowisk i o różnym rozwoju umysłowym. Podano tu i zilustrowano podstawowe wiadomości z anatomii i fizjologii człowieka: różnice w budowie ciała kobiety i mężczyzny, fakt aktu płciowego, zapłodnienia, ciąży, porodu, pielęgnacji niemowlęcia itp. Podano w sposób, który nikogo nie powinien urazić, a dziecku może pomóc zrozumieć tajemnicę życia. Mam tu na myśli rodziców, gdyż dzieci wszystko przyjmują w naturalny sposób. I tak np: macica — to „kieszonka życia" umieszczona w brzuchu Mamy, w której rośnie dziecko aż do momentu urodzin. Dziecko powstaje z „maleńkiego jajeczka bez skorupki", ale do tego potrzebne jest „nasionko życia", które daje Tata. Nasionko życia musi połączyć się z jajeczkiem. Żeby tak się stało muszą rodzice leżeć obok siebie, muszą bardzo chcieć mieć dziecko, wtedy oboje czują, jak nasionko przedostaje się do kieszonki życia. W brzuszku Mamy rośnie dziecko dziewięć miesięcy, a kiedy już chce się urodzić przepycha się główką naprzód i przez „korytarzyk" między nogami Mamy wydostaje się na zewnątrz itd. itd.

Ale wychowanie seksualne to nie tylko określona ilość informacji anatomiczno-fizjologicznych. Jest to również sprawa uczuć, których musimy nasze dziecko nauczyć i to od początku. Na zdjęciach widzimy parę ludzi: Mamę i Tatę. Mają oni imiona — stwarzają wrażenie „historii prawdziwej". Mama i Tata kochają się — małżeństwo musi opierać się na miłości. Mają wspólny dom — dziecko czuje się w nim pewnie, bezpiecznie. Ponieważ oboje pracują, wspólnie zajmują się domem, wspólnie pielęgnują i wychowują swoje dziecko. Tata jest opiekuńczy, jego rola w rodzinie jest bardzo ważna. Celowo nie widać tutaj ojca czytającego gazetę i matki jednocześnie krzątającej się w domu. Wszak książka przeznaczona jest również dla chłopców, przyszłych mężów i ojców. Swojej roli, przede wszystkim społecznej, nie tylko biologicznej, muszą się dobrze nauczyć, a im szybciej, tym lepiej. W dobrej rodzinnej atmosferze wyrośnie czułe i wrażliwe dziecko.

Książkę tę można przeczytać dziecku, objaśnić ilustracje, a gdy już posiadło sztukę czytania, można mu ją dać do ręki — do dłuższego obcowania z lekturą. Lektura ta budzić może kontrowersje wśród rodziców, ale warto wiedzieć, że „taka pomoc dydaktyczna" istnieje. We Francji publikacja doczekała się szesnastu wydań, każdorazowo poprawianych i uzupełnianych na prośbę czytelników. W Polsce jej drugie wydanie w ilości 30 000 egzemplarzy błyskawicznie zniknęło z księgarskich półek. Specjaliści wiedzą, jak wielu zaburzeń rozwojowych, nieprawidłowości charakteru, nerwic seksualnych, niepowodzeń małżeńskich itp. udałoby się uniknąć, gdyby rodzice przywiązywali większą wagę do wychowania seksualnego swoich dzieci.

ELŻBIETA KAJZER

Dr André Arthus — Wyjaśniamy dzieciom tajemnice życia. PZWL WARSZAWA 1977.

zdarzenia i zwierzenia

PRZEKŁADOWE CIEKAWOSTKI

O przekładach poetyckich mówiło się dużo i bardzo serio na Festiwalu Poezji, jaki w maju odbywał się w Łodzi. Jeśli dziś wracam do tego tematu, to dlatego, aby przypomnieć nieco zabawniejsze strony twórczości przekładowej. Jest to bowiem obszar, na którym dzieją się rzeczy wielkie i poważne, ale także jest to teren literackiej anegdoty.

Ponad pół wieku temu **Michał Pawlikowski** ogłosił na przykład fragmenty przekładu „Iliady" Homera na... gwarę góralską. Nie był to — nawiasem mówiąc żaden żart. Otóż zdaniem tłumacza była to jedyna żywa polska mowa epicka. A poza tym Grecy to przecież też górale.

Tak więc Homer spod Giewontu uderzał w taki ton:

„Panno Święta. Ty sama
zaświadcz, jako było
Wtedy, kiedy pasyją rozsierdził się wściekłą
Peleusowy Achil. Tak się porobiło
Że moc od gniewu tego zacnej krwie pociekło
I niejedno życie chłopa ostawiło
Psom i hawraniom i precz wędrowało w piekło.
Tak już Bóg chciał od kiedy gniewy swoje kida
W nogach wartki Achilles i harnaś Atryda..."

Nie jest to wcale najdziwniejszy przekład w kręgu polskiej literatury. Palmę pierwszeństwa dzierży tu zapewne tłumaczenie mickiewiczowskich „Sonetów krymskich" na język perski. Otóż dziwność tego przekładu polega na tym, że autor, Pers — **Mirza Dżafar ibn Alimerdun bej** — tłumaczył sonety na podstawie dosłownego przekładu prozą perską.

Ale to nie wszystko. Ponieważ w literaturze perskiej forma sonetu w ogóle nie była znana, Mirza Dżafar przerobił sonet na tzw. gazelę i 14 linijek sonetu rozwinął w długą opowieść.

I tak na przykład pierwsze słowa sonetu piątego, brzmiące:

„Tam!... Czy Allah postawił ścianą morze lodu..." w przekładzie na perski brzmi mniej więcej tak:

„Wysoką górę postrzegłem śród pola: na czole jej śnieg, lód i zimne powietrze. Dreszcz mnie przebiegł na widok tej skały lodu. Co to za zjawisko — pytałem. Azali za sprawą Wszechmocnego Twórcy ze źródła lodu szerokie wylało się morze?..."

Oczywiście, powyższe słowa zostały przetłumaczone dosłownie z perskiego z powrotem na polski. Dodajmy jeszcze, że cytowane tu przykłady zaczerpnąłem z nieocenionej antologii **Juliana Tuwima „Cicer cum caule"...**

Jeśli jednak mowa o utworach, które po tłumaczeniu na język obcy z powrotem wracają na łono polszczyzny, to warto przypomnieć znany żart Tuwima.

Otóż poeta wysłał niemieckiemu tłumaczowi swój wiersz. Po otrzymaniu przekładu poprosił **Józefa Kramsztyka** (znanego w swoim czasie tłumacza Rilkego) o przełożenie tekstu na polski. Co z tego wyszło?

Oto fragment oryginału Tuwima:

„Smutnie wzdycha noc małomówna
Ciemną wodą piwnice bulgocą.
Tak umarła, pochłonięta nocą,
Ostatnia księżycówna".

A oto ten sam fragment przełożony przez Kramsztyka z niemieckiego na polski:

„Nocy, skąpej w słowa, umilkły milczenia,
Pożegnalny plusk wody dochodzi z piwnicy,
Tak nadszedł skon owiniętej cieniem
Ostatniej księżycowej dziewicy".

Niby to samo, a jednak zupełnie co innego. Może więc jest racja w znanym powiedzeniu, że poezja jest właśnie tym, co... ginie w przekładzie. A jednak sztuka translatorska rozwija się. Mamy coraz liczniejsze szeregi tłumaczy, którzy polskiemu czytelnikowi przyswajają skarby obcojęzycznych literatur. I co by nie mówić o niedoskonałości tej formy przekazu — jak by nie żartować na ten temat — jest niepodważalnym faktem, że bez tłumaczy i ich mrówczej pracy, całe obszary zagranicznych literatur byłyby niedostępne dla szerokich rzesz czytelników polskich.

WIDOK

GALERIA PISARZY ŁÓDZKICH
Konrad Frejdlich

Homer tak sobie uparcie mamrotał z cicha:
„I mnie by nie było gdyby nie było Frejdlicha!"

Rys.: Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

lewym okiem

KONFEDERAT Z SOPOTU

Niedawno na naszych łamach rozpoczęła działalność Poetycka Spółdzielnia Pracy „Radosna Twórczość", reklamowana przez jej założyciela jako pierwsza w kraju. Jednakże spółdzielnia ta bardzo mi przypomina niedawną, prowadzoną przez dwa lata, rubrykę w „Przekroju" — „Od Pegaza do Rosynanta", a także nieco wcześniejszą kolumnę „Hyde Park" w „Szpilkach". W tamtych rubrykach też zamieszczano wiersze; napisałem wówczas (w felietonie pt. „Ile mam boków", w „Odgłosach" nr 42/1036 z 16.X.77 r.), że nie bardzo wiem po co pokpiwa się z nieszkodliwych słabostek ludzkich, wydając cmokierom na żer niezbyt udane utwory poetyckie i ich autorów. Nie będę się powtarzał — zbyt mało czasu minęło; za pięć lat będzie można ten sam temat wygrać znów w którymś tam z kolei felietonie i pobrać odpowiednie honorarium, wcześniej nie wypada. Chcę natomiast zwrócić uwagę szanownej publiczności na fakt, że pełnienie odpłatnych usług poetyckich — autentycznych, a nie takich w przenośni — praktykowane jest naprawdę.

Na deptaku w Sopocie siada w pogodny dzień młody człowiek z brodą i stawia obok siebie wielką, ręcznie malowaną tablicę: „Piszę wiersze na zamówienie. Natychmiast. Cena 50 złotych". Podpisano: „Pretor Konfederat". Dokoła Konfederata tłoczy się bez przerwy grupa ciekawskich. Ludzie wyciągają szyje, żeby posłyszeć improwizującego twórcę, niestety zamówień jest mało, może dlatego, że w tymże Sopocie w dużym domu Zaiksu przebywa stale wielu konkurentów, wprawdzie dużo droższych, ale za to mających niezbędne kontakty.

Z „Życia Warszawy" wyciąłem niedawno takie ogłoszenie: „Odstąpię gotowe teksty piosenek, napiszę na żądanie, także wierszowe listy intymne Telefon... Oferty...." Ponieważ intymne listy wychodziły mi zawsze prozą, a chciałem chociaż raz do rymu — dzwoniłem pod wskazany numer parokrotnie — niestety, nikt się nie odzywał. No cóż, będę jeszcze próbował, skoro nasza odgłosowa spółdzielnia nie przyjmuje takich zamówień, a jej usługowość polega raczej na usłużnym drukowaniu nadesłanych, dowolnych tekstów.

Nieraz już wspominałem — nie ja jeden zresztą — że drobne ogłoszenia są czasem niezwykle ciekawą lekturą. Niemal każdy znajdzie tam coś dla siebie. Przed wojną wychodził w naszym kraju nielegalny, ale autentyczny organ zawodowych złodziei pt. „Nasze Życie", prawie w całości poświęcony właśnie ogłoszeniom. O czym? A na przykład: „Dziś na stadionie Legii odbędzie się mecz Polska — Dania. Przewidziany duży tłok przy głównym wejściu". Ogłaszano śluby wybitnych, bogatych par w warszawskich kościołach — po ślubie goście jechali na wesele, a więc panie miały już na sobie klejnoty, a panowie sporo forsy po kieszeniach. Byli wzruszeni, w kościele łatwiej kraść niż na terenie świeckim, toteż pamiętam doskonale wywieszki u Wizytek, gdzie najczęściej odbywały się snobistyczne zaślubiny: „Wystrzegać się złodziejów". Na lekcji polskiego dyskutowaliśmy wtedy z tej okazji, czy powinno być „złodziejów" czy „złodziei", na co profesor Kubiński odpowiedział: najlepiej, żeby nie było ani tych, ani tych. Wybrnął, ale do dziś nie wiem, jaka powinna być końcówka.

Złodziejstwo jako zawód przestało istnieć, nie ma już słynnej na całą Europę, podobno autentycznej, szkoły kieszonkowców przy ulicy Pieprzowej w Łodzi. Fachowców zastąpili amatorzy, działający w godzinach wolnych od zajęć. Tłok mamy dzisiaj wszędzie i zawsze, nie trzeba go anonsować, wyczekiwać, szukać. Wystarczy byle sklep: gdzie niegdyś sprzedawca witał z daleka klienta jak rzadkiego, cennego gościa, tam dziś robi co może, żeby się klienci od niego odczepili i dali odetchnąć. Wystarczy apteka, byle poczekalnia w byle biurze, przychodni, ośrodku; wystarczy przystanek, dworzec, ulica. Tłok jest zawsze i wszędzie, z wyjątkiem własnego kąta w M-3. Już się nie ucieka od ludzi do lasu. Przeciwnie: ucieka się od ludzi z lasu do domu. A klejnotów i tak nikt nie nosi, nie dlatego, że ich nie ma, tylko, że nie pasują do dżinsów i kożuchów.

Ale w tym tłoku widocznie komuś czasami potrzebny jest wiersz, skoro spotyka się Pretorów Konfederatów w Sopocie i w Warszawie.

ĆWIEK

propozycje

LEKTURY

W nocy z 27 na 28 maja 1978 roku wchodzi w życie nowy rozkład jazdy. Jak to słusznie w tym samym numerze „Odgłosów" zauważa Andrzej Makowiecki, rozkład jazdy służy przede wszystkim do wypełniania delegacji. Dla każdego księgowego ważna jest bowiem zgodność z dokumentami, a nie z faktami. Andrzej Makowiecki nie ma jednak racji, do końca, gdyż z uważnego studiowania rozkładu jazdy można wyciągnąć kilka istotnych informacji.

Gdyby nie rozkład jazdy, nie wiedzielibyśmy, kiedy przyjść na dworzec, aby czekać na pociąg, który albo przyjedzie opóźniony, albo odjedzie — rozpoczynając swój bieg — już z opóźnieniem. Jest to jedna z pożytecznych rzeczy, jakie niesie z sobą rozkład jazdy PKP.

Druga pożyteczna rzecz, to możliwość zorientowania się w paraliżu postępowym, jakiemu podlega nasza kolej. Gdyby nie rozkład jazdy, to nie wiedzielibyśmy na przykład, że osławiona modernizacja linii kolejowej między Łodzią Kaliską a Kutnem przyniosła minimalne rezultaty. Moglibyśmy sądzić, że dzięki temu wysiłkowi udało się znacznie skrócić czas przejazdu na tej trasie. Ale uważna lektura nowego „Rejonowego Rozkładu Jazdy Pociągów — Łódź" skutecznie wyprowadzi nas z błędu.

Oto bowiem ekspress „Pomorzanin", który do tej pory wyjeżdżał ze stacji Łódź — Kaliska o godzinie 14,35, teraz wyjeżdżać będzie o godzinie 14,45, ale dawniej i teraz przyjeżdża on — jeśli się nie spóźni, co się prawie nie zdarza — do stacji Gdynia Osobowa o godzinie 21,15. Cały zysk na trasie 410 km wynosi 10 minut. Ale z lektury tegoż samego rozkładu jazdy wynika, że wydłużył się czas podróżowania pociągami osobowymi i pośpiesznymi na trasie Łódź — Warszawa. Tak więc możemy się cieszyć jadąc do Gdyni lub Z Gdyni do Łodzi, że jutrzenka postępu zaczyna nam świecić na tej przynajmniej trasie. A podróżując do Warszawy i z Warszawy do Łodzi musi nas ogarniać smutek. Ileż urozmaiceń proponuje nam PKP!

Trochę gorzej z jutrzenką na trasie Łódź — Kaliska — Kutno. Pociąg, który dawniej wychodził o godzinie 4,20, teraz wychodzi o 4,28. Dawniej i teraz przyjeżdża on do Kutna o 6,01. Z tego wynika, że jedzie on teraz tylko 8 minut krócej. Inny pociąg, który teraz i dawniej wyjeżdżał z Łodzi o 6,50 przychodził do Kutna o 8,25, a teraz przychodzi o 8,20. Znów zarobiliśmy teoretycznie 5 minut. I tak można prześledzić wszystkie pociągi na tej trasie, ciesząc się, że o te kilka minut jedziemy do Kutna szybciej. Jutrzenka nadziei świeci tu nam wprawdzie słabiej, ale świeci.

Zupełnie źle natomiast wygląda sprawa dla śpiochów, którzy lubią sobie wejść do sypialnego wagonu, przebrać się w pidżamkę, położyć i obudzić się u celu podróży. PKP uznało, że takie zachowanie w pociągu jest niemoralne i... zlikwidowało wagony sypialne w pociągach, odchodzących z Łodzi do Gdyni. Niemoralnie podróżować mogą tylko mieszkańcy stolicy. Jest to decyzja słuszna. Podróż pociągami PKP nie jest bowiem przyjemnością, niech się więc nikt nie łudzi, a namiastka przyjemności może być tylko przywilejem tych, których los skazał na trudy mieszkania w stolicy. Należy im się bowiem jakaś rekompensata.

Jak z powyższego widać lektura rozkładu jazdy może dać człowiekowi nie tylko wiele przyjemności, ale wzbogaca jego wiedzę o kraju, skłania do refleksji, daje materiał do uogólnień. Jest to zatem lektura pożyteczna i szeroko polecam ją wszystkim amatorom podróżowania. Posługując się rozkładem jazdy pociągów PKP można przeżyć tyle autentycznych wzruszeń, których nie da człowiekowi samo podróżowanie. Rozkład jazdy zawiera bowiem maksimum informacji przy lakoniczności formy doprowadzonej niemal do perfekcji. Tu się ceni wartość znaku i słowa. W przeciwieństwie do innych wydawnictw.

Z „Expr ssu Ilustrowanego" dowiaduję się na przykład, że w PGO Widzew — Żdżary oraz w Janowie byli z wizytą radni z Komisji Rolnictwa, Leśnictwa i Skupu RN m. Łodzi. I słusznie, podejmując bowiem decyzje, muszą znać przedmiot swojej działalności. Aliści czytam dalej, że: „Zwrócono uwagę m. in. na przyczyny późniejszych w tym roku dostaw pierwszych warzyw, zwłaszcza zaś ogórków i pomidorów na rynek łódzki". I cisną się mi na usta liczne pytania: kto i komu zwrócił uwagę? radni ogrodnikom, czy ogrodnicy radnym, bo jest to różnica zasadnicza. Dalej: jakie to były przyczyny? I co z tego wynikniе dla łódzkiego rynku?

„Express Ilustrowany" pociesza mnie, że: „Następny, poważny „zastrzyk" zielonych witamin Łódź otrzyma z kombinatu w Janowie, którego budowa przebiega w dobrym tempie". Dowiaduję się również, że Janów korzystać będzie z pary „EC — IV". Tylko to mnie akurat nic a nic nie obchodzi. Niech sobie korzystają z pary dostarczanej z samego piekła. To ich „technologiczna" sprawa. Ja i tysiące czytelników „Expressu Ilustrowanego" chciałoby wiedzieć k i e d y będą te ogórki i pomidory z Janowa, k i e d y skończy się budowa kombinatu i czy dobre tempo zakłada już poślizgi? W końcu zupełnie mnie nie interesuje, gdzie jeżdżą i co wizytują radni, bo jest to ich obowiązek. Interesuje mnie natomiast, jaki jest ich s t o s u n e k do omawianych spraw, które wiążą się z zaopatrzeniem miasta. A o tym nikt mnie jakoś nie chciał poinformować. Szkoda.

MARCIN RODAK

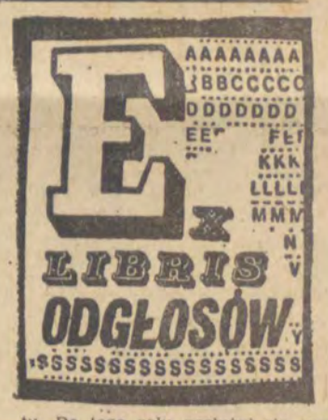

KABARETY

W Polsce bardzo silny jest mit przedwojennego kabaretu. Może dlatego, że żyją jeszcze Ludwik Sempoliński, Lopek Krukowski, Andrzej Bogucki i inni, którzy ten kabaret tworzyli, i którzy chętnie tamte czasy wspominają, jako złoty wiek polskiego kabaretu. Ryszard Marek Groński podjął się trudnej sztuki obalenia mitu przedwojennego kabaretu. Do tego celu posłużył się oryginalnymi tekstami z tamtych czasów oraz komentarzami, które napisał do tych tekstów i do historii przedwojennego kabaretu. A wszystko to razem zawarł w książce, która ukazała się na rynku wydawniczym za przyczyną Wydawnictw Artystycznych i Filmowych, i która nosi tytuł: „Jak w przedwojennym kabarecie — KABARET WARSZAWSKI 1918—1939".

Argumenty R. M. Grońskiego popiera w „Posłowiu" Witold Filler, który przypomina, że najczęściej tak rzewnie wspominane kabarety, to były te najlepsze, a o istocie ówczesnego świata kabaretowego stanowiły peryferyjne budy, gdzie panoszyła się autentyczna szmira, o czym kroniki milczą, podpierając tym tylko żywot mitów.

A więc, kto chce poznać prawdę o przedwojennym kabarecie i trochę się pośmiać przy lekturze starych tekstów, tego zapraszamy do lektury książki R. M. Grońskiego.

Ryszard Marek Groński „Jak w przedwojennym kabarecie", Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1978 — str. 220, cena 55.

CÓRKA ZŁOTNIKA

Dla miłośników literatury historycznej Wydawnictwo Literackie przygotowało powieść chorwackiego poety, publicysty i powieściopisarza Augusta Senoi pt. „Córka złotnika". Miejscem akcji powieści jest XVI-wieczny Zagrzeb, a jej tematem — konflikt mieszczan z wielmożą Gregorijancem przedstawiony przez autora w oparciu o stare dokumenty znalezione w archiwum w Zagrzebiu.

Tradycyjny romans historyczny nie może się obejść bez wątku miłosnego, tak więc w „Córce złotnika" na pierwszy plan wybija się historia miłości dwojga młodych, skomplikowana o tyle, że jej bohaterem jest szlachetny i dzielny syn znienawidzonego przez mieszczan wielmoży. Gawędziarska narracja, różnorodność ludzkich typów, dramatyczne sytuacje, mnogość szczegółów obyczajowych, to walory powieści Augusta Senoi, które z pewnością zadowolą wielu czytelników.

August Senoa „Córka złotnika", przełożyła D. Zdybicka, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1978, str. 254, cena zł 35.

GOSPODARKA DRUGIEJ RZECZYPOSPOLITEJ

Autorzy książki „Trudna niepodległość — Rozważania o gospodarce Polski 1918—1939" Zbigniew Landau i Jerzy Tomaszewski słusznie przypominają, że wielu Polaków, którzy pamiętają tamten okres lub słyszeli o nim od starszych mają wyrobiony pogląd na historię Drugiej Rzeczypospolitej. Bardzo często pogląd ten nie przystaje do tego, co o Drugiej Rzeczypospolitej mówi nauka, a skoro nie przystaje, to na ogół odrzuca się wyniki badań historyków, aby tylko zachować własne, nie zawsze racjonalnie uzasadnione zdanie.

Dobrze więc się dzieje, że teraz z okazji zbliżającej się rocznicy odzyskania przed 60 laty niepodległości, ukazuje się na rynku wydawniczym wiele pozycji traktujących o dziejach i ludziach Drugiej Rzeczypospolitej, co pozwoli skonfrontować nasze na ten temat wyobrażenia z faktami i sądami historyków. Wystarczy uważnie przeczytać ostatni rozdział książki Z. Landau i J. Tomaszewskiego „Trudna niepodległość", w którym autorzy zamiast bibliografii omawiają publikacje na temat Drugiej Rzeczypospolitej, aby przekonać się, że tych publikacji nie ma wcale tak wiele, a niektóre z nich są już przestarzałe, straciły swoją aktualność. Tym więc lepiej, im więcej ukaże się współczesnych książek na temat Polski międzywojennej, da to nam bowiem możliwość właściwego osądzenia tego, co zaczęło się w Polsce 60 lat temu i trwało przez lat 20.

„Trudna niepodległość" w sposób przystępny pokazuje złożone problemy gospodarki tego okresu. Jest to książka, która niewątpliwie wzbudzi ogromne zainteresowanie czytelników, chociaż wydaje się traktować o trudnych sprawach.

Zbigniew Landau, Jerzy Tomaszewski — „Trudna niepodległość", Książka i Wiedza, Warszawa 1978, str. 159, cena zł. 30.

MAGAZYN kulturalny Nr 11

DNI KULTURY, OŚWIATY, KSIĄŻKI I PRASY

KIERMASZE, KIERMASZE...

Na kiermaszu w pasażu Schillera swoje książki podpisują: Zofia Lorentz...

...i Wacław Biliński

Foto: W. Parys

REGAŁ PEŁEN BUBLI (4)

Foto: W. Parys

L. Szwykowski, J. Tomalak: Mały słownik francusko-polski i polsko-francuski Wiedza Powszechna. 1977, cena zł 110, s. 145.

DRUK: Zakłady Graficzne w Katowicach, ul. Armii Czerwonej 138, zam. 1990/3/1976, w marcu 1977.

Z ŻYCIA ARTYSTÓW

KNOL MA ATAKI KASZLU

„Tuż przed wejściem na scenę dostaję gwałtownego kaszlu" — wyznał tancerz Kazimierz Knol spytany o to, jak czuje się zazwyczaj przed premierą („Odgłosy" nr 21). Z dalszego ciągu wywiadu dowiadujemy się jednak, że po pierwszych taktach muzyki kaszel artyście Knolowi mija. Udowodniono już, że muzyka nie tylko łagodzi obyczaje, ale ma właściwości psychoterapeutyczne. Wyznanie p. Knola potwierdza to odkrycie, nam jednak wydaje się, że w tej sprawie powinni także wypowiedzieć się laryngolodzy.

TERRORYŚCI?

Podczas „Nocy z melodią i piosenką" nadawanej z Łódzkiej Rozgłośni PR, (a której gościem był Andrzej Dąbrowski), „niespodziewanie" wdarł się do studia Bogusław Mec Artysta Mec — cieszący się dobrymi stosunkami w łódzkim Radiu — nie został wyproszony. Istnieją obawy, że w czasie któregoś z najbliższych programów nocnych do studia przy ul. Narutowicza 130, wtargną inni jeszcze osobnicy podejrzanego autoramentu, licząc na podobne potraktowanie.

Z UZASADNIONYCH PRZYCZYN

Negatywnie rozpatrzono wniosek Kazimierza Kowalskiego o przyjęcie go w poczet członków Towarzystwa Trzeźwości Transportowców. Powodem decyzji jest fakt wykonywania przez solistę Teatru Wielkiego piosenki pt. „Wypiłem miarkę miodu"...

„NIE SFEMINIZOWAŁAM BULATOVICA..."

— oświadczyła tłumaczka Danuta Cirlić-Straszyńska (na łamach „Dziennika Popularnego" nr 112). Wśród wielbicielek „Bohatera na ośle" oświadczenie to przyjęto z zadowoleniem.

MIECZYSŁAW M. SZARGAN

IDĄCY

Szła jakaś osoba.
A! to Doroba.

RYSZARD DOROBA

Łódzka gwiazda MM (Szargan) raz jest chwalon, a raz szargan.

W Łodzi odbyła się ogólnopolska konferencja partyjno-naukowa na temat zadań organizacji partyjnych w pogłębianiu ideowym środowisk twórczych. Uczestniczyli w niej przedstawiciele centralnego i terenowego aktywu partyjnego środowisk twórczych.

•

21 maja był tradycyjnym Dniem Działacza Kultury. 35 osobom przyznano w Łodzi Odznaki Zasłużonego Działacza Kultury. Nagrody Ministra Kultury i Sztuki otrzymali W. EKIERT i A. HUNDZIAK. 7 osobom przyznano nagrody dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki.

•

Nowe premiery w łódzkich teatrach: w Teatrze Wielkim prapremiera „Julietty" B. Martinu w rez. i scenografii Ladislava Strosa, na Dużej Scenie Teatru Jaracza premiera melodramatu Aleksandra Dumasa — syna „Dama Kameliowa" w adaptacji i reżyserii Wandy Laskowskiej.

•

Od 1 lipca br. w samodzielny oddział przekształcone zostaną łódzkie Pracownie Konserwacji Zabytków. Mamy nadzieję, że za tą zmianą pójdzie zwiększenie mocy przerobowej i funduszy na konserwację i remonty zabytków łódzkiego województwa.

•

Odwołano XIV Łódzkie Spotkania Teatralne (odbędą się one prawdopodobnie w grudniu br.). Teatr 77 wespół ze szwedzkim Teatrem 9 dał polską prapremierę **„Skrzyżowania".**

•

W drugiej połowie maja trwały w Łodzi Dni Kultury Województwa Północnomorawskiego. Między innymi w Bibliotece Uniwersyteckiej otwarto wystawę dorobku edytorskiego wydawnictwa „Profil" z Ostrawy. Warto podkreślić, że wszystkie zbiory zgromadzone na wystawie zostały po jej zakończeniu przekazane łódzkiej BU.

•

Ponad 700 eksponatów ilustruje na wystawie pn. „Numizmatyczne skarby Hawany. Pieniądz na Kubie w XVI—XX w.", historyczny rozwój Kuby. Wystawa ta, zorganizowana w Muzeum Archeologicznym i Etnograficznym, jest pierwszą tego typu ekspozycją kubańską w Europie.

•

Trzeci już z kolei plener malarski o charakterze ogólnopolskim zorganizowano we wsi Ręczno w województwie piotrkowskim. Otwarto wystawę poplenerową „Ręczno-77". W tegorocznym plenerze wzięło udział 33 plastyków-seniorów.

•

W końcu maja przebywał w Łodzi Teatr Narodowy z Bukaresztu, pokazując „Autobiografie" H. Lovinescu i „Romulusa Wielkiego" F. Duerrenmatta.

•

Dodatkowe przedstawienia **„Lotu nad kukułczym gniazdem"** zorganizował w czerwcu — na życzenie publiczności — Teatr Powszechny. Oto terminy: **4, 9, 11, 14, 15, 16 i 18 VI.**

KRONIKA

Z cyklu „PUDŁA"

Nawet w najlepszym supermarkecie może się zdarzyć, że guma do żucia zaplącze się między kalosze (w obu wypadkach surowiec jest zbliżony...). Także i w naszym „MAGAZYNIE" (nr 9) wzmiankę o „Łódzkich Spotkaniach Jazzowych" uzupełniała fotografia z Turnieju Akademii Medycznych pn. „COMITAM" Wyszedł z tego co prawda może i dowcip, ale tym razem niezamierzony. Magazynier przeprasza zespół Vistula River Brass Band którego — mimo zapowiedzi — na zdjęciu zabrakło.

(t.s.)

KĄCIK PRZYJAŹNI

Nie chcąc pozostać w tyle za innymi periodykami postanowiliśmy wygospodarować w naszym „Magazynie" nieco miejsca na KĄCIK PRZYJAŹNI. Czekamy na zgłoszenia i propozycje naszych Czytelników, nie mniej oryginalne od listu pana Jurka Modrzejewskiego, który na jego prośbę drukujemy w całości:

„Szanowno Redakcjo! otusz czytając pismo odgłosy bardzo mie ciekawi Mam lat 30 pracuje zawodowo Chciałbym swoj adres podać do kącika przyjaźni Zajteresowanie geografia znaczki pocztowe Muzyka język Polski Czeski Rosyjski Angielski Sądze że za pomącą odgłosów dostane dużo listów z całego świata Na które czekam cierpliwe Wyglądam tygodnika w którym będzie wydrukowany moj Adres Z poważaniem
Mr Modrzejewski Jurek 91-465 Łodź Ul Murarska 3 m 31 bl. 2, Poland".

IGOR SIKIRYCKI

Utwory z książki dla dzieci pt. „Ogródek fraszek szkolnych", która ukaże się nakładem Instytutu Wydawniczego „Nasza Księgarnia".

PRZEPOWIEDNIA

Boi się doktora,
Boi się dentysty,
Zimnej wody, oraz
Wiatrów porywistych.
I mrówek się boi,
Przeraża go stonka,
Boi się komarów
I bąka na łąkach.
Boi się zastrzyków
I osy, i pszczoły,
I pieska małego
Na drodze do szkoły.
Rzecz tę można ująć
Krótko tymi słowy:
Wyrośnie z młodzieńca
Mężczyzna bojowy.

POSTĘP

Stach coraz lepiej gra na skrzypcach.
Chociaż nie chwali się nikomu,
Wiem o tym, bo już od tygodnia
Psy wyć przestały w naszym domu.

PRZYGOTOWALI NA DZIEŃ DZIECKA

BEZ PODPISU.
Rys. St. Ibis-Gratkowski

TEATR IM. STEFANA JARACZA — indiańską bajkę Jana Makariusza „Trzy białe strzały" (grana trzykrotnie w dn. 1. VI.);

TEATR POWSZECHNY — Jerzego Hornowskiego **„Historie o sosnowym pieńku"** (dwukrotnie 1 VI). Dodajmy, że bajka ta grana jest z myślą o dzieciach systematycznie co niedziela od 21 maja do 6 czerwca. Mimo trudności z transportem dzieci spoza Łodzi (Łódzkie przedsiębiorstwa turystyczne niechętnie przyjmują zamówienia na krótkich trasach, typu: Zduńska Wola — Łódź, Piotrków Tryb. — Łódź) liczba przedstawień „Historii..." przekroczyła już dziewięćdziesiąt;

TEATR LALEK „ARLEKIN" — bajkę Jana Wilkowskiego **„Tymoteusz wśród ptaków"** (tylko raz w dniu 1. VI);

TEATR LALEK „PINOKIO" — bajkę Rady Moskowej **„Dokąd pędzisz koniku?"** (dwukrotnie w siedzibie przy ul. Kopernika 16) i widowisko Henryka Cyganika **„Poproście Rzepa, by się nie czepiał"**, z którym wystąpi 1. VI. w Praszce.

2 czerwca „Pinokio" zaprezentuje bułgarską bajkę trzykrotnie, m. in. dla dzieci ułomnych w Szkole im. Korczaka. W „Pinokiu" — co warto podkreślić — akcja „Dzień Dziecka" trwa od 31 maja do 11 czerwca, tj. do zakończenia roku szkolnego. W tym czasie „Pinokio" występuje w Pabianicach, Zgierzu, Tomaszowie Maz., Opocznie, a także w Żyrardowie i Wałbrzychu. Na przełomie maja i czerwca, oprócz spektakli w siedzibie teatr bierze udział w imprezach Łódzkiej Wiosny Artystycznej, w „Fajce", Jarmarku Łódzkim, w Święcie „Głosu Robotniczego" w Sieradzu, a w lipcu — na specjalne zaproszenie w Święcie „Trybuny Ludu" w stolicy. Tradycyjnie też „Pinokio" gra w łódzkich zakładach pracy i w plenerze (4. VI. w amfiteatrze widzewskim i na Zdrowiu). 2 czerwca teatr wyjeżdża na gościnne występy do Chorzowa... Godna pochwały jest ta operatywność i pracowitość „Pinokia"...

OKRĘGOWE PRZEDSIĘBIORSTWO ROZPOWSZECHNIANIA FILMÓW — 16 tytułów bajek i filmów pełnometrażowych dla dzieci (szkoda, że tylko jeden film animowany: „Colargol na Dzikim Zachodzie"), dwie premiery filmowe w „Wiśle" — „Bałwanek płynie do Afryki", w „Iwanowie" — „Koncert na patelnię i orkiestrę" (oba produkcji NRD);

FILHARMONIA ŁÓDZKA — nic (w związku z planowanym wyjazdem do Włoch w dn. 28 czerwca — 7 lipca)...

TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ DZIECI — w kawiarni „Balaton" występy aktorów „Arlekina" i konkursy z nagrodami, w Pałacu Młodzieży — koncert zespołów szkolnych, projekcje filmów przygodowych. W Parku 1 Maja — festyn, w Lunaparku pokazy iluzjonistów, w Pabianicach — „sejmik kulturalny" dla najmłodszych (sic!), wystawa twórczości dziecięcej. Wiele dzieci wiejskich odwiedzi Łódź i inne miasta (ich teatry, muzea, ZOO). Poza tym TPD przygotowało wiele zabaw, wycieczek, rajdów itp., imprez o charakterze sportowo-wypoczynkowym.

PANOWIE TAŃCZĄ...

W OBIEKTYWIE RYSZARDA ŁUCYSZYNA

OD MAGAZYNIERA: Prezentowane tu zdjęcia zostały zrealizowane podczas Międzynarodowych Zawodów Kulturystycznych „Pabianice — 1978" (6—7 maja). Program tej imprezy przewidywał:

— wyciskanie sztangi w leżeniu na ławeczce, ocenę symetryczności sylwetki, ocenę umięśnienia, pokazy judo, karate, kendo oraz popis męskiej gracji, harmonii ruchu i ciała pn. „UKŁAD DOWOLNY — POZOWANIE", nie będący niczym innym, jak konkurencją „etiud baletowych" wykonywanych w takt muzyki (przy czym inspirowano się zarówno Beethovenem, Brahmsem, jak i „ABBĄ").

Kultura fizyczna jest częścią składową kultury społeczeństwa, toteż — jak nam się wydaje — nie powinna być w każdym szanującym się „Magazynie Kulturalnym" pomijana.

W związku ze zbliżającym się latem materiał „Panowie tańczą..." dedykujemy wszystkim naszym Czytelniczkom (wybierającym się na urlop)...

POETYCKA SPÓŁDZIELNIA PRACY „RADOSNA TWÓRCZOŚĆ" świadczy usługi dla ludności

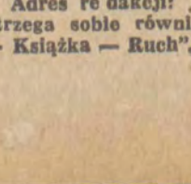

Autor

Napisał do Spółdzielni „z serdecznymi pozdrowieniami" znany nam skądinąd ulubieniec braci Sotyj i mgr Butrynianki — redaktorów „Szpilkowego" i — nie da się ukryć — zgniłokapitalistycznego „HYDE PARKU", student I roku astronomii we Wrocławiu, ale syn Ziemi Bełchatowskiej — JERZY MIECZYSŁAW MIELCZAREK, Poeta Mielczarek „ma nadzieję zostać członkiem PSP", z zastrzeżeniem „jeśli nie jest to jakiś „kawał" redakcji".

Na walnym zebraniu Zarządu (jednoosobowego) naszej Spółdzielni postanowiliśmy — mimo wielu obaw co do jego kontaktów — dać poecie Mielczarkowi szansę. Pełnoprawnym członkiem PSP zostanie on jednak dopiero wówczas, gdy zrezygnuje z permanentnego drukowania się w organie wyrosłym z przeciwstawnej i wrogiej nam tak światopoglądowo, jak i ekonomicznie formacji (czyli w rzeczonym „Hyde Parku").

PREZES

PS. Bardzo już długa kolejka ustawiła się (i ustawia nadal) do okienka „Radosnej Twórczości". Wszystkich kandydatów prosimy o cierpliwość. Zgodnie z demokratycznymi zasadami kierującymi naszą Spółdzielnią nikt nie zostanie pominięty, o ile dotrzymał warunków (i przesłał fotografię z życiorysem). Pana Marka Małaczka z Rzeczniowa i pana Andrzeja Krakowskiego z Łodzi uprasza się w związku z tym o nadesłanie osobistych fotografii.

WIERSZE

Gerwazy jesteś tam — rzekł Protazy
— nie ma mnie tu
— więc bądź sobie gdzie chcesz
gdy mnie nie ma tam, gdzie jestem
moja matka przychodzi i płacze
moja dziewczyna jest smutna
i tęskni za mną coraz bardziej

i moje wiersze czekają aż przyjdę
w miejscu gdzie jestem
gdy mnie nie ma tam gdzie jestem
przychodzi cyganka i wróży wierszom
przychodzą różdżkarz czarodziej poliglota
i tłumaczą wróżby na własne języki
Gerwazy, a cóż ty tam robisz
— rzekł Protazy
— robię sobie rymy na szydełku...

Wrocław 2. IV. 78.

JERZY M. MIELCZAREK

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Mickiewicza 12, kod poczt. 90-438. Telefony 652 44 i 680-99. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Nr indeksu 26762. Zam. 1192. I-10.